

5

149
KIELCE
maj 1983
rok XIV

cena 20 zł

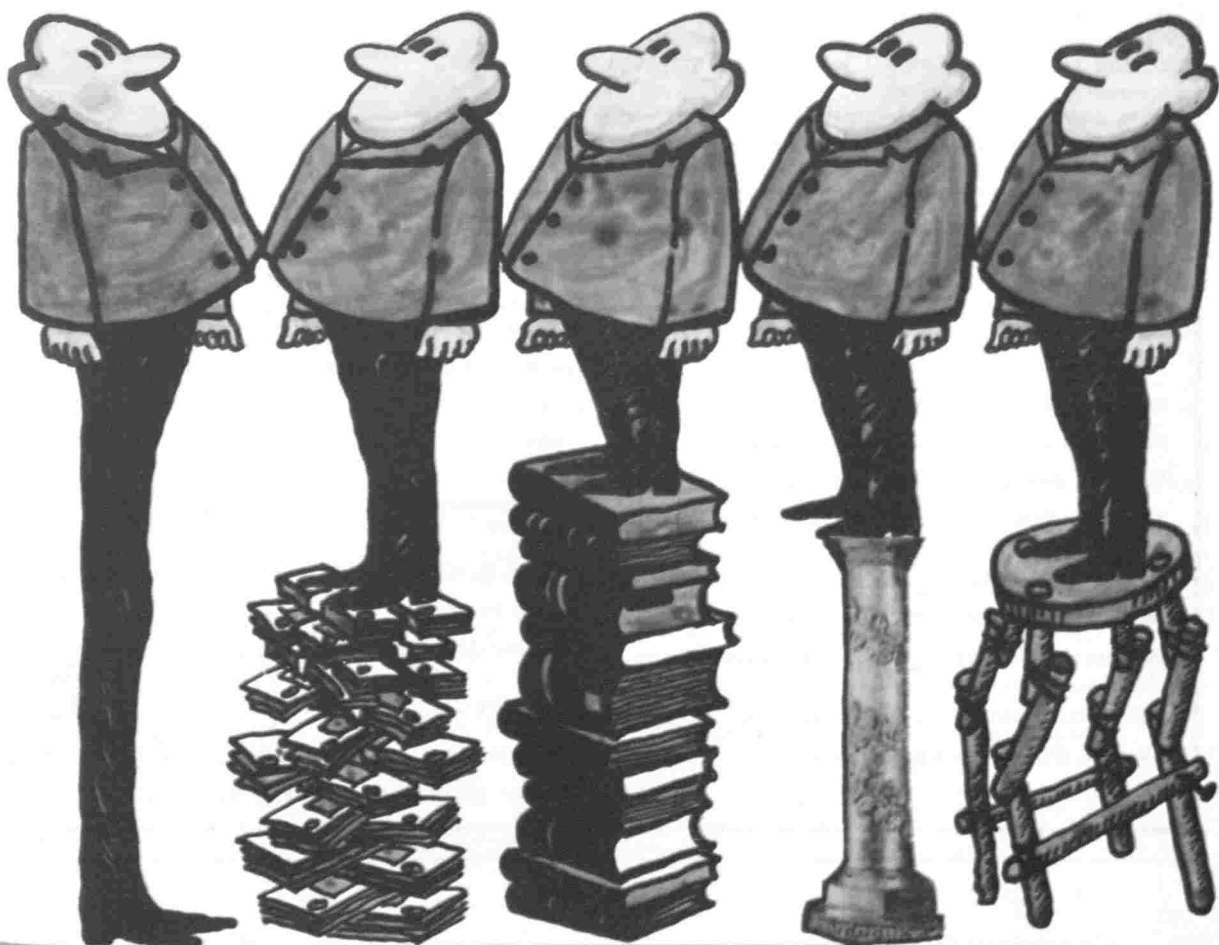
przemiany

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Równo
czy
sprawiedliwie?
str. 1—3

Exemplarz Obowiązkowy
WBP w Kielcach

06.415/83 Reg



przemiany

PYTANIE: „równo czy sprawiedliwie?” postawione w tytule publikacji otwierającej niniejszy numer – może zakrawać na przewrotną i prowokującą grę słowną, bowiem znalazło się w nim przeciwstawienie pojęć, które są potocznie odczuwane jako pokrewne, znaczeniowo bliskie, a więc niesprzeczne. Ale po pierwszym pobieżnym i takim właśnie wrażeniu nasuwa się spostrzeżenie, że dylemat, jaki wyraża pytanie, ani jest pozorny, ani sztuczny, choć też – co zabrzmi już paradoksalnie – nie zawiera alternatywy albo równo, albo sprawiedliwie.

Po prostu sprawiedliwie to wcale nie znaczy pło równo, na co najzupełniej trafnie zwracają uwagę robotnicy występujący w redakcyjnej dyskusji, upominający się w swoich wypowiedziach m.in. o to, aby pewien postulat, brzmiący co prawda jak truizm i nachalny frazes, ale przez nikogo nie kwestionowany jako niesłuszny, otóż żeby ten postulat nie pozostawał pustym dźwiękiem, a skoro panuje zgodność, że skutki jego urzeczywistniania mogą być

tylko dobroczynne – niechaj więc zostanie przekuty w praktykę dnia powszedniego. Nasze doświadczenia przynoszą wcale nie odosobnione przykłady, iż postulat ów głoszący zasadę „jaka praca – taka płaca” pozostaje sobie a życie sobie, a ponieważ doświadczenia kształtują nasze postawy, tedy nie okaże się zaskakujące, iż w ludziach rodzi się powątpiewanie w skuteczność funkcjonowania idei egalitaryzmu.

Oczywiście, powiedzieć można, gdzie tam jeszcze do egalitaryzmu w jego pełnym i szerokim wymiarze, gdzie tam do niego od spraw pracy i płacy, ale przecież gdzieś on się zaczyna, gdzieś ludzie do niego są wprawiani i konfrontują jego idee z życiem własnym. Powiedzmy dobitnie: słowo „egalitaryzm” nie jest w tym miejscu za wielkie, bo jest ono przecież nośnikiem zasad i nakazów etycznych, a kategorie etyczne przejawiają się w ocenie ludzi, a więc także ich pracy. Egalitaryzm eksponuje się przede wszystkim poprzez poszanowanie każdej istoty ludzkiej, jej praw, poprzez działania zgodne z poczuciem sprawiedliwości. Egalitaryzm wyraża zasadę równości, ale nie oznacza ona, jak chcieliby niektórzy, sposobu czynienia ludzi jednakowymi; byłoby to absurdalne, bo-

wiem od samego urodzenia jesteśmy sobie nierówni, przychodzimy na świat z różnymi predyspozycjami, więc zasada równości może oznaczać tylko równość szans dających każdemu możliwość wyboru najwłaściwszej drogi życiowej i prawo dostępu do każdego z celów. A więc egalitaryzm najlepiej będzie traktować jako pewną możliwość socjotechniczną, jako działanie w kierunku wyrównywania nierówności i znoszenia społecznych dysproporcji. Z ducha egalitaryzmu – tak to należy odczytywać – wzięło się przyznawanie punktów kandydatom na studia. Choć sposoby rozwiązania tej kwestii wzbudzają wiele sprzecznych odczuć – musimy zgodzić się w jednym: nie są równi przed komisją egzaminacyjną dwaj kandydaci na studentów – jeden z wielkomińskiego liceum, drugi ze szkoły małomiasteczkowej.

Egalitaryzm, jako wspomniana możliwość socjotechniczna, powinien służyć jako subtelna technologia zmniejszania nierówności będących wynikiem zróżnicowanej struktury społecznej i powinien prowadzić do pomnażania ogólnej sprawności społeczeństwa, prowadzić poprzez uzgadnianie dobra wspólnego z dobrem jednostek.

W NUMERZE:

Równo czy sprawiedliwie?	1	Plastyka	28
Stanisław Rams — Czerwony prywaciarz	4	Maria Garbaczowa, Wacław Urban — Dziedzic Staszowa na sułtańskim dworze	29
Jadwiga Karolczak — Reakcja po wstrząsie	8	Jan Krzysztofczyk — Kochany Walusiu Mój!	33
Wiesław Barański — Zacząć od siebie	10	Kino	35
Zbigniew Nosal — Jak się wszystko z latami odmienia...	12	Zenon Guldón — Chłopi wobec Konstytucji 3 Maja	36
Henryk Morawski — wiersze	16	Listy romantyków (Wypisy z klasyków)	37
Julita Twardowska — Folklor od kuchni	17	Książki	40
Barbara Wachowicz — Saga rodu Kurozwęckich	20	Tadeusz Zamogilski — Babcia i rozbójnicy	42
Wprawdzie pieniądze szczęścia nie dają...	24	Apteka natury	43
Ryszard Miernik — Dni Oświaty	25	Stanisław Medyński — Kreska, kropka i przecinek	45
Teatr	26	Kronika	46
		Krzyżówka	48
		Okladkę projektował LESZEK WOŹNICKI	

Równy czy sprawiedliwie?

Jak dzielić bledę: po równo, czy wedle innych zasad? Dylemat — minister powinien zarabiać tyle, ile robotnik, czy też raczej wprost przeciwnie?

Te pytania, prowokując uproszczone, przewijają się w licznych dyskusjach radiowych i telewizyjnych, poszukujących kryzysowego modus vivendi. Jeżeli każdemu po równo, to stare porzekadło „czy się stoi, czy się leży...” wzbudza nowe niepokoje. Wobec tego może słuszniej byłoby zastanowić się nad propozycją: komu, ile, za co?

Nasi rozmówcy: Jerzy Skocki — kontroler jakości z Radomskiej Wytwórni Telefonów, Jan Włodarski — tokarz z Zakładów Metalowych im. Gen. Waltera, radny MRN, Wojciech Węclawski — ustawiacz z Zakładu Tarcz Numerowych RWT, Czesław Taler — brygadzysta z Radomskich Odlewni, Zbigniew Osiej — spawacz z RO, Krzysztof Banach — mistrz z „Waltera” i Halina Kamińska — brygadzystka z „Radoskóru”, odrzucili — wbrew manifestacyjnemu przypięciu skrajnie pojętego egalitaryzmu — zarówno wariant „urawniłowki”, jak i teorię „jednakowych żółdków”.

WOJCIECH WĘCLAWSKI: — Sprawiedliwie, to wcale nie znaczy po równo. Są prace lżejsze i cięższe, jest sporo szkodliwych dla zdrowia. O tym nie można zapominać. W końcu to całkiem co innego wrzucić łopatą węgiel na przyczepę (praca ciężka, owszem), a co innego być tokarzem, wykorzystywać nie tylko siłę mięśni, ale także wiedzę i doświadczenie. Trzeba się znać na pomiarach, czasem poprawić coś o milimetr — dwa. Trzeba myśleć.

— Żeby było dobrze, to — moim zdaniem — jeden musi stać przy maszynie, robić swoje odtąd-dotąd, najlepiej jak potrafi: precyzyjnie i sumiennie. A narzedziowicę na przykład może sobie palić papierosa

sa i trudno go z tego powodu obciążyć zarzutem nierobstwa. Bo może on właśnie akurat w tym momencie rozwiązuje zawiłą łamigłówkę niezgodności wymiarów z rysunkiem? Więc nie można w wszystkich jednakowo traktować i wszystkim jednakowo płacić.

ZBIGNIEW OSIEJ: — Ja też tak uważam: równości nie powinno się utożsamiać ze sprawiedliwością. Tylko to zróżnicowanie musi być oparte na jakimś rozsądnym systemie. Tymczasem weźmy grupy zaszerogowania pracowników w zakładach: ludzie nie mogą pojąć, dlaczego w Przedsiębiorstwie Surowców Wtórnych już w siódmej grupie zaszerogowania stawka wynosi 34 złote za godzinę, a u nas

dopiero w dziewiątej osiąga się 32 złote. Praca w odlewni ciężka, toteż i fluktuacja ogromna. Ludzie — do słownie — przepływają jak woda. Szukają roboty lepiej płatnej. Kiedyś odlewnie były w przodzie, teraz wloką się w ogonie płacowym. Dlaczego — a kto to wie?

KRZYSZTOF BANACH: — U nas też brakuje pracowników. Żeby było śmieszniej, w „Walterze” stawkę 34 złotych za godzinę można osiągnąć dopiero w dziesiątej grupie. W innym zakładzie, po studiach zarabiłbym więcej. Mimo to poszedłem do „Waltera”, bo ten zakład — zważywszy moją specjalizację kierunkową — stwarzał mi szanse awansowania, pogłębiania wiedzy. Ale czy to jest równość: te same studia i taka rozbieżność zarobkowa, a także znaczące różnice w perspektywach na przyszłość?

„PRZEMIANY”: — To znaczy, że biorąc za przykład zarobki, upominacie się państwo o równość zasad, a metodę sprawiedliwego różnicowania, oczywiście i zrozumiałą dla wszystkich. Wygląda na to, że takiej metody nie ma.

WOJCIECH WĘCLAWSKI: — U nas dyrektor rozdzielił całe zyski zakładów na podwyżkę zarobków...

ZBIGNIEW OSIEJ: — „...bo mógł. Nowe zakłady są „do przodu”. Nie muszą wydawać wielkich sum na remonty, na ogół mają niezłe maszyny. My musimy się modernizować. Odlewnia liczy sobie sto pięćdziesiąt lat, dachy się wałają; co tam będę mówił. I na to idą pieniądze. Czy to nasza wina, że pracujemy w starej firmie?

Jerzy Skocki: — W reformie wiele zależy od dyrektora. Od jego operatywności. Nasz zaproponował nam przemyslenie, czy aby na wszystkich stanowiskach potrzebna jest taka ilość pracowników, jak obecnie. Bo może mniej osób wykonać tę samą robotę, a wtedy będzie można te same pieniądze podzielić między mniejszą ilość zatrudnionych?

— Niby korzystne wyjście, ale dzisiaj przy nierównym rytmie pracy, kryje się w nim niebezpieczeństwo zbyt pochopnego pozbywania się fachowców, którzy w tym miesiącu wprowadzić nie bardzo mają co robić, ale za kwartał okażą się niezbędnie potrzebni. Tak jest na przykład w narzędziowni.

— Również w ramach reformy dyrektor wprowadził tak zwany premię syntetyczną. Nie dostają jej

ci, którzy opuścili choćby jeden dzień w miesiącu. Po tym „eksperymentcie” już na drugi miesiąc nieobecności było znacznie mniej, ale to tylko jedna strona medalu. W mojej sekcji legalizacji przyrzędów elektronicznych miałem okazję zaobserwować, jak chore kobiety dosłownie podpierają się nosem przy maszynach. Przyszły do zakładu, żeby nie utracić premii.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI — O czym my w ogóle mówimy? Ja tu dziś jestem na zwolnieniu lekarskim. Trzy razy jakoś „przechodziłem” gripę, a już wczoraj się nie dało. To nie jest w porządku, żeby karać za chorobę. Nasz stary pracownik, z trzydziestoletnim stażem, miał zawał serca. Więc szpital, leczenie szpitalne, sanatorium. On ma teraz siedem tysięcy złotych „do tyłu”. Stracił, no to co? Kogo to obchodzi?

KRZYSZTOF BANACH — Paradoks: honorowi dawcy krwi mają, z racji świadczenia społecznej usługi — jeden dzień wolny. No i właśnie z tego powodu nie dostali premii. Poza tym — o ile w RWT nieobecność w jednym miesiącu nie wyklucza wzięcia premii w następnym, jeśli szczęśliwie człowieka nie dotknie choroba — to w „Walterze”, zgodnie z regulaminem wewnętrznym, wystarczy raz mieć nieobecność, żeby się pożegnać z premią na cały rok.

HALINA KAMIŃSKA — A u nas jest jeszcze inaczej. Nie ma premii syntetycznej, w zamian jest fundusz scalony.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI — Czyli funkcjonuje dawny system mistrzowski, tylko się inaczej nazywa.

„PRZEMIANY” — Nie wdając się w ocenę wyższości jednego systemu nad drugim nie sposób nie zauważyć, że jest ich wiele. Sądźmy, że wynikają one z samorządności wpisanej w reformę gospodarczą i że zalogi przedsiębiorstw same ustalają co i jak dzielić.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI — Skądże znowu! Kto to z nami uzgadniał? Nam się ciągle mówi o jednoosobowym kierownictwie. Związki zawodowe do niedawna nie działały, partia jakby umilkła. A moim zdaniem właśnie organizacja partyjna powinna w tamtym czasie, teraz też, zająć się tą sprawą. Skrzyknąć wszystkich: partyjnych i bezpartyjnych na otwarte zebranie, pogadać po ludzku.

JAN WŁODARSKI — Uzgodnień

jest stanowczo za mało. Ustawa sejmowa, wedle której za pierwsze trzy dni chorobowego bierze się połowę dniówki, poruszyła całe społeczeństwo. Sądząc po reakcjach ludzi — można by się zastanowić nad jej zawieszeniem. A tu wychodzi w telewizji taki facet i mówi, że „dali pracownicze” chciały tej ustawy, więc Sejm poszedł za „dołami”. Kpina, czy co? Przecież kiedy ukazała się pierwsza wersja, poleciałem do pła Baidy i mówię: szum się na wydziałach robi. Po co ustawa, kiedy mistrz i tak wie, kto choruje na niby, a kto naprawdę? Potem była druga wersja. I znów pokazał się w telewizji facet; z zadowoleniem tłumaczył, jak to wszyscy chcemy tego samego. Daje słowo — przez moment wahalem się, czy nie oddać legitymacji partyjnej. Toż dyskusji nie było żadnej!

„PRZEMIANY” — Czyżbyście nam chcieli państwo powiedzieć, że z jednej strony panuje w zakładach nie tyle samorządność, ile nawet daleko posunięta samowola, o czym świadczy cały ogromnie zawili system premiowania, a z drugiej — powraca się do dawnych wzorców uszczęśliwiania na siłę decyzjami centralnymi, przy czym „góra” i „dołom” rozmawiają różnymi językami?

JAN WŁODARSKI — „Góra” z „dołem”, „dół” z „górami”, rolnik z robotnikiem, przywaciarz z urzędnikiem. Myślę, że my się wzajemnie nie rozumiemy. A przecież można się porozumieć.

— Pamiętam czasy dyrektora Sopy. Nie tylko ja zresztą, cały zakład go wspomina i dziś jeszcze ludzie wnieśli by go na rękach do „Waltera”. Otóż wtedy, bez trzech „S” robotnicy mogli spokojnie pracować, bo dyrektor Sopa najpierw ustawił kierowników, wyjaśnił, czego od nich oczekuje i czego będzie wymagał. Taka jest kolejność porządkowania: od góry.

„PRZEMIANY” — Tymczasem „góra” znalazła się na cenzurowanym. Cały sierpniowy protest w 1980 roku wyrósł na dążeniu do sprawiedliwości, która w żaden sposób nie przystawała do jaśniepańskiego stylu życia wielu reprezentantów władzy i tak zwanych grubych ryb, powiązanych z różnymi strętami wpływów. Ci ludzie naruszali nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale zwykłą, ludzką godność. Pozostała nieufność.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI — Czy

ja wiem? Premier, ministrowie — niech mają komfort życia. Nie jesteśmy przeciwni. Tak jest na całym świecie. Władza reprezentuje naród i nie może go reprezentować w M-3. Wyższy od przeciętnego standardu życia jest słuszny w przypadku, gdy przypisany jest do stanowiska, nie osoby. Odchodzi dostojnik na emeryturę i niech żyje jak inni. Na ile go stać. Karać trzeba nieuczciwość i my musimy wierzyć, że będzie ukarana.

KRZYSZTOF BANACH — Wokół poczucia sprawiedliwości narosło wiele nieporozumień. Od pewnego czasu dość systematycznie pokazuje się w telewizji spekulantów, ludzi wzbogaconych ponad stan. Na spekulację — wiadomo — nie ma żadnego lekarstwa. Nie zlikwidują tego procedury ani doraźne sankcje, ani telewizyjne pokazówki. Zniknie czarny rynek na bazarze — zaciśnie się pokątny handel po piwnicach i strychach. Jeśli nie wyprodukujemy większej ilości towarów — będzie się rozwijał owocnie.

— A co do ludzi z wielkimi fortunami: myślę, że wystarczy ich rozsądnie opodatkować. Przecież człowiek zamożny, to niekoniecznie złodziej. Często ci pietnowani przez telewizję badylarze, przywaciarze, rzemieślnicy, wrzuceni bezmyślnie do jednego worka z tak zwanym marginesem, doszli do dobrobytu ciężką pracą i uczciwą drogą. Dlaczego mają budzić odrzeczność społeczną? W imię jak pojmowanej równości mam ich potępiać?

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI — Ja się mogę pogodzić z tym, że kryzys zwalcza się podwyżkami cen. Już niebawem — niewątpliwie, kogoś w tym kraju będzie stać na wypicie filiżanki kawy, ale nie będziemy to my, robotnicy. Czego by tknąć — dla zwykłego człowieka wszystko luksus.

„PRZEMIANY” — Luksus nie luksus, na lepsze życie trzeba zarabiać.

JAN WŁODARSKI — Zgoda. I każdy powinien robić to, co do niego należy. Ale tak nie jest. Ja wiem tylko, że miało być lepiej, a jest gorzej. Jak tak dalej pójdzie — zagubimy się w tym kryzysie.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI — Spróbowałbym dojść prawdy, czy istotnie każdy wywiązuje się należycie ze swoich obowiązków. Byłem w zakładowym zespole partyjnym, oceniającym kadry kierowniczą. Padł wniosek: sądząc ze stanowiska jed-

nego z szefów. No i co? Nie tylko go nie zdjęli, ale jeszcze awansowali. W niektórych przypadkach nie zgadzaliśmy się także z opiniami wydanymi przez administrację. I też nie. Więc ja się pytam: po co te sześć osób z zespołu lamalo sobie głowę nad oceną, po co one wypełniły sterty formularzy, po co było w tej sprawie zwołane zebranie sprawozdawcze? Dobór kadry kierowniczej idzie swoją drogą, a ocena – swoją.

JAN WŁODARSKI: – Powinno być tak: kierownik widzi nieroba i ostrzega: jeżeli będziesz się obijał, od jutra szukaj innej pracy. No, ale jak dzisiaj można tak mówić ludziom, jeśli oni często bezskutecznie wypatrują roboty? Wszystkiego brakuje. A to trzeba ukraść koledeż żarówkę, żeby oświecić swoją maszynę, więc żarówka – jakby im nogi wyrosły – wędrują od maszyny do maszyny. A to się poluje na nóż tokarski, żeby „zakosić” dyskretnie, bo inaczej nie ma czym robić. Jak by tu powiedzieć – kradnie się nie tylko w swoim, ale i społecznym interesie.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI: – U nas jest to samo z tarczami szlifierskimi. Nie podwędzisz koledeż – nie masz.

JAN WŁODARSKI: – Nie ma sprawiedliwego podziału pracy. Szwankuje organizacja. Zaopatrzeniowiec na moje pytanie o narzędzia pokazuje „korespondentkę” i mówi: ja zamówiłem. Uważa, że zrobił swoje.

„PRZEMIANY”: – I swoje pieniądze za pracę dostanie, choć w niewielkim stopniu przyczynił się do tego, żeby firma miała, co jej potrzeba. Państwo godzicie się na to?

KRZYSZTOF BANACH: – Rzecz w tym, że nie premiuje się ani operatywności, ani fachowości. Kiedy zaczynałem pracę w „Walterze” – obowiązywał trzymiesięczny staż. W tym czasie zarabiałem dwa i pół tysiąca złotych i musiałem się naprawdę bardzo starać, żeby zwierzchnicy jak najszybciej mnie zauważyli, docenili, awansowali. Teraz stażu praktycznie nie ma.

ZBIGNIEW OSIEJ: – Zdarza się, że fachowiec po trzydziestu latach pracy zarabia tyle, ile startujący w zawodzie absolwent szkoły zasadniczej, który nie bardzo wie, jak ruszyć pilnikiem. Nikt mu złego słowa nie powie, bo ludzi do roboty wciąż mało. Łapie się więc tych,

którzy pod ręką i „podkupuje” wysokimi wynagrodzeniami. Tworzy się dość osobliwa równość. Czy warto się starać?

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI: – Właśnie. Przyszła do nas dziewczyna po szkole skórzaną. W „Radaskórze” zarobiłaby cztery i pół tysiąca złotych miesięcznie, u nas – tłucze na taśmie detale za osiem tysięcy. Na nic się przydało fachowe przygotowanie. No a w „Radaskórze” też potrzebują rąk do pracy.

KRZYSZTOF BANACH: – Pracuję zgodnie z kwalifikacjami. Jestem inżynierem w dziedzinie obróbki cieplnej, pełnię funkcję mistrza. Muszę zorganizować pracę dla ośmiu osób, ponoszę odpowiedzialność za wszystko: za jakość, za terminy. Zarabiam przeciętnie o tysiąc złotych mniej niż moi podwładni.

„PRZEMIANY”: – Istotnie, to nie jest mobilizujące. Przecież chyba da się zmienić?

JAN WŁODARSKI: – To nie takie proste. Pracuję trzydzieści jeden lat w „Walterze”, cały czas przy maszynach. Przyszła choroba, szpital, operacja. Już nie mogłem wrócić na dawne miejsce. Poprosiłem o lżejszą pracę i dostałem ją. I nagle wszystko się zmieniło. Byłem dobry, paki przy maszynach. Teraz czuję się jak piate koło u wozu, a na dodatek straciłem dwa i pół tysiąca złotych na zarobkach. Ludzie mówią: tyrałeś jak wół i co z tego masz na rok przed emeryturą? Niby dawny minister Obodowski mówił, że pracownik przeniesiony ze względu na stan zdrowia do innej roboty nie może stracić na poborach, ale w praktyce człowiekiem rzadzi tabela. Czy to ma być ta mądra równość? Po tylu latach pracy usłyszałem: „trzeba było nie chorować”.

WOJCIECH WIĘCŁAWSKI: – Jest nauka: nie warto się skarżyć, występować w swojej ani cudzej sprawie. Po co? Żeby usłyszeć: „o, już poszedł, już rozrabia”? To się później liczy przy rozdziale premii, w ogóle – inaczej patrzą na człowieka. Nie warto zabierać głosu, nie warto dyskutować. Nic z tego nie wynika, a jeśli już – to kłopot. Tylko w telewizji mówią – co ludzi okropnie denerwuje – że teraz „doly” trzęsą zakładami. „Doly” trzęsą, ale portkami będzie z czego robić, czy nie? Zarobi się go-dziwie, czy byle jak?

„PRZEMIANY”: – Czyżby miało z tego wynikać, że nikt nikogo nie

będzie bronił, bo nie warto? Jeśli każdy nabierze wody w usta, żeby się nie „wychylić”, stanęmy się nie tylko bezsilni, ale i okrutni wobec siebie.

KRZYSZTOF BANACH: – Szczegół może mówić tylko zwykły robotnik. On nie ma nic do stracenia. Robotę zawsze znajdzie. Jak nie tu, to gdzie indziej.

HALINA KAMIŃSKA: – A jednak wszystko zależy od ludzi. Zmieniłam wydział i kierownika. I właściwie wszystko się zmieniło. Okazało się nagle, że bez nadrad i okolicznościowej wrzawy można podnieść temperaturę na hali z trzech do osiemnastu stopni. Wystarczy założyć dodatkowe drzwi. W ciągu paru dni skończyły się narzekania. Myślę, że szefowie i podwładni powinni ze sobą więcej rozmawiać, a wtedy nie trzeba będzie stawiać spraw na ostrzu noża. Znajdzie się zadowolenie z pracy, z siebie, z życia, choć łatwe nie jest. Absolutna równość? To chyba absurd. Raczej rozsądne partnerstwo, bo interesy mamy wspólne.

„PRZEMIANY”: – Rzecz w tym, żeby sobie tę wspólnotę w pełni uświadomić. Żeby robotnik, o czym usłyszał tuż po państwie, nie musiał czekać na rozmowę z dyrektorem, jak na audiencję u dygnitarza, wypełniać specjalny formularz z nazwiskiem, stanowiskiem i problemem, który go sprawdza przed „wysokie progi”. Żeby nie czekał, aż ów dyrektor z asystentem dojdą do wniosku, że sprawa warta jest ich fatygi.

Poza tym – pora zejść na ziemię: samorządność ma pewne granice, za którymi przekształca się w samowolę, anarchię nawet. Czyż nie świadczy o tym dość oryginalny i czasem krzywdzący system premiowania w zakładach, które państwo reprezentuje? Dyrektor powinien mieć duże uprawnienia, ale nie aż tak ogromne, żeby zarządzenia – wyraźnie chybione – były nie do skorygowania.

W naszej rozmowie padały często słowa: odpowiedzialność, sprawiedliwy podział pracy i wynagrodzenia za nią. Bez wyjaśnienia co one właściwie znaczą, pytanie: komu, ile, za co, będzie pustą i irytującą gadaniną.

Rozmowę prowadzili:

**JADWIGA KAROLCZAK
JULITA TWARDOWSKA**

Czerwony prywaciarz

Stanisław Rams

MAGISTER Wiesław Bodzenia, towarzysz partyjny a zarazem dyrektor naczelny skarżyskiej odlewni, nie chciał na podsuwany temat rozmawiać. Dyskusja po trochu przypominała wschodnie przysłowie: pop swoje, chłop swoje. To nie sprawa prasy, mówił rozdrażniony magister, to sprawa partii i jego osobista — Błachuckiego. Niechaj się prasa do tego nie wtrąca, powiadał magister, dziennikarze piszą tendencyjnie, na rozkaz, a ja pana zaskarżę, jak będzie coś przekrecone...

— Przypadki chodzą po ludziach, ale wróćmy do tematu.

— Domyślam się, znowu jakaś nagonka. Mnie do tego nie mieszają. Błachucki nie popełnił nic takiego, co nie mieściłoby się w normach prawnych.

— Pańskim zdaniem, czy jego czyn można oceniać w kategoriach ideowo-moralnych?

— Dajmy pokój wielkim słowom. Błachucki jest towarzy-

szem partyjnym i tylko partia może jego postępek oceniać. To jego osobista sprawa.

Argumentacja mojego rozmówcy nie rozwiała wątpliwości. Trzeba było ostro postawić problem.

— Nie tylko partyjni mają prawo do myślenia — twierdziłem nieco monotonna, co u mnie zawsze oznacza znaczny ubytek cierpliwości. — Nie da się nałożyć aresztu na ludzkie myślenie. Jeśli miasto o tym mówi, ocenia, opiniuje w różnych pogawędkach, jest to zatem także zajęcie dla prasy. Bo na pewno pobudza do dyskusji fakt, że towarzysz Błachucki, niedawny pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego partii w Skarżysku, działacz także szczebla wojewódzkiego, raptem decyduje się zmienić swe kwalifikacje, a również upodobania. Zostaje rzemieślnikiem, za państwowe pieniądze buduje sobie drobną wytwórnię, najmuje ludzi do roboty i zaczyna żyć z ich trudu.

— Nie moja rzecz, mam własne kłopoty. Jeśli przekreśli pan moje słowa, zaskarżę!

— Prezydent Reagan też nas straszy...

Nie miałem tego dnia szczęścia. Także Krzysztof Łapa, kierownik Rejonowego Ośrodka Pracy Partyjnej w Skarżysku wykazał niechęć.

— Mnie się bardzo śpieszy, towarzyszu, a sprawy Błachuckiego nie znam dokładnie. Jestem tu od niedawna. Najlepiej byłoby, aby wypowiadali się ci, którzy go znają, niedawni współpracownicy. Tak myślę.

— Nie oceniamy zatem człowieka, podyskutujmy o jego czynie.

— Ale ja naprawdę nie chciałbym się wypowiadać. I najlepiej byłoby, abyście w gazecie nic nie wspominali o naszej rozmowie.

* * *

Skarżysko, pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców: robotników i chłopów, urzędników i kolejarzy, miasto karłowego kapitału, wytwórców dorabiających się mleczkiem. Rozrzucone na dużej przestrzeni, wśród leśnych drzewostanów, na skrzyżowaniu dróg żelaznych i kołowych, stanowi także ważny punkt krzyżowania się różnych interesów.

Ulica Młodzawy nosi własne piętno. Gromadzi właścicieli prywatnych posesji, drobnego handlu, hodowców zwierząt, warsztatów rzemieślniczych, małych wytwórni. Ulica ogrodów, sadów i poletek. Tutaj inne prawa rządzą. Liczy się zysk drobnych posiadaczy. Wszystko inne mniejszą ma wagę.

Posesja Zdzisława Błachuckiego, magistra ekonomii, nie wyróżnia się niczym spośród tych obiektów. Piętrowy dom, jeszcze w stanie surowym, przyległy doń pawilon produkcyjny na kilka stanowisk roboczych zaledwie, wokół trochę rozgrzebanej ziemi, sterty zużytych desek, stojaków, resztki żwiru, pustaki. Chłodne przedwiośnie, przydymione słońce.

Drzwi zamknięte. Owczarek lasi się u nogi. Słychać rytmiczny stukot maszyny. Tu się już pracuje.

Właściciela nie ma w domu. Swoją czas wykorzystuje na działania społeczne. Przeważnie siedzi w biurze Miejskiej Rady Narodowej, jest przecież jej przewodniczącym. Wiele spraw ważnych dla miasta trzeba załatwiać, różne problemy rozstrzygać. Zaś jego najemnik, Kazimierz Kostrzewa, niewiele może powiedzieć. Na pewno z prasy? — pyta niedowierzająco. Bo tu różni się kręca. Twierdzi, że nie wie za ile pracuje. Majster mu tylko powiedział, że lepiej zarobi niż w poprzednim miejscu. Tutaj jest zatrudniony dopiero od kilku tygodni. Razem z nim są najeżdżający słusarzy, którzy przychodzą po południu.

Kostrzewa jest mało rozmowny, wciąż patrzy nieufnie. Co jego to wszystko obchodzi, robi swoje. Gdzie poprzednio pracował? U Bastrzyka, przy ulicy Metalowców. Tam jest większy warsztat produkcyjny, zatrudnia się dziesięciu najemnych. Wyciągał kilkanaście tysięcy miesięcznie, pod nadzorem Blachuckiego. Bo ten Blachucki był jakby współnikiem Bastrzyka. Teraz się usamodzielniał, sam sobie panem. Wyrabia się tutaj, na tych maszynach, różnego rodzaju klucze nasadowe. Bardzo potrzebny towar, zbyt zapewniony — poprzez spółdzielnię rzemieślników. Jakiś zakład państwowy odbiera, ale jaki, on Kostrzewa mało o tym może powiedzieć. Nie jego rzecz. Robić, słuchać pana, takie ma zadanie. Za to mu płać.

Czy są plany dalszego rozwoju tej placówki? Tak, stoi czasem o tym w różnych pogawędkach, ale niech majster o takim czymś mówi. Na razie nie ma miejsca na więcej niż kilku pracujących. Ale łatwo pawilon przedłużyć, dobudować kilkanaście metrów. Tak, można rozkręcić interes, przyjąć nawet większą ilość najemnych; czy prawo zezwoli? Może kiedyś, jak się rozpogodzi w kraju. Teraz surowe warunki. Tak, kiedyś z pewnością będzie można. Wszystko w takim kierunku idzie. Prawo stanie się łagodniejsze, taki mus. Rynek chce towarów.

— Tyle mogę powiedzieć od siebie — decyduje się najemny Kostrzewa. — Resztę może dopowie pan Blachucki.

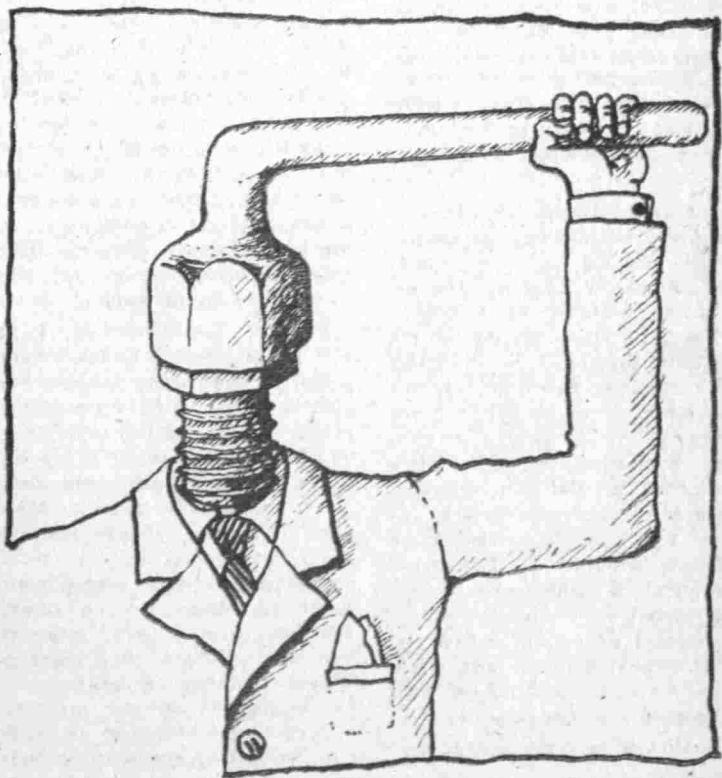
W pokoiku na piętrze budynku Komitetu Miejskiego partii czekała na niego towarzysza Jadwiga Krokowska, inspektor ewidencji. Dobrze zna niedawnego pierwszego sekretarza Zdzisława Blachuckiego; kiedyś był jej szefem. Tak się składało, że przez jakiś czas pełniła funkcję sekretarza organizacji partyjnej, do której również i on należał. Zna dobrze tę postać działacza, pamięta wypowiedzi sprzed kilku lat, na różnych naradach, zebraniach. Pamięta jego decyzje o dużej randze dla mieszkańców Skarżyska, jego pryncypia, krytyczne uwagi pod adresem opieszłych i mniej wyrobionych.

— Ja powiem szczerze, co myślę — obiecuje tow. Krokowska.

złamać, zeszmacić. On po prostu nie dał się zeszmacić. Nie załamał się, nie rozpił jak inni. Znalazł sobie wyjście z zawiątku. No i dobrze.

Proszę towarzyszu zważyć, że odszedł z aparatu w szczególnych warunkach politycznych. Wówczas „Solidarność” szalała, jego najwierniejsi koledzy stulili uszy po sobie. Nikt mu wtedy nie pomógł, nie podał ręki. Udawali, że go na ulicy nie dostrzegają. Teraz znaleźli się gniewni.

Wybrał rzemiosło. Owszem, szkoda człowieka. Mógł wiele jeszcze zrobić dobrego w pracy partyjnej. Ma duże doświadczenie. Przeszedł różne szczeble kariery. Pracował w starogardzkich zakładach obuwniczych, w wojsku był oficerem, w stoczni w Uście kierował działem zaopa-



Rys. Leszek Woźnicki

— Może komuś nie będzie w smak, trudno. Ten Blachucki to wspaniały człowiek, o wysokich walorach osobistych, moralnych. Tak myślę. Duża indywidualność, niętużinkowy. Energiczny, ambitny. Wiele zrobił dla swego miasta. Ale jego potem chcieli

trzenia, podobnie zresztą jak w przedsiębiorstwie rybackim „Korab”. W latach przełomowych, gdy Gierek dochodził do władzy, Blachucki pełnił różne obowiązki: jako zastępca dyrektora w Zakładzie Stolarski Budowlanej we Włoszczowie, przez jakiś czas

obarczone go funkcją przewodniczącego Prezydium PRN, w końcu wybrali pierwszym sekretarzem KP partii w Jędrzejowie. Stamtąd przyszedł do nas, kiedy powiaty likwidowali. Szefował miejskiej organizacji partyjnej w naszym mieście, przez dwie kadencje. Członek plenum KW, radny miejski, wojewódzki, dwukrotny delegat na zjazdy partii, aktywny delegat na konferencje wojewódzkie. Co więcej, absolwent moskiewskiej szkoły partyjnej. Odznaczany, wyróżniany, okłaskiwany, a było za co! Jak poszedł szturm na niego, nikt mu nie pomógł. Został sam. Powieś się człowieku, jesteś już niepotrzebny...

Z wypowiedzi Działacza, robotnika zakładów metalowych.

— Twarde są rygory walki klasowej, on o tym nie wiedział? Komunisci swą krew przelewali, gdy trzeba było. Blachucki dość szybko zdezerterował z linii frontu. Jak na mój gust, za szybko! Powiem tak: ktoś tutaj próbuje gmatwać sprawę; zaciemnia, a jest ona klarowna, jednoznaczna.

Zdzisław Blachucki, pierwszy sekretarz skarżyskiej instancji i główny ideolog w naszym mieście za czasów rządów Gierka, powinien wiedzieć gdzie kończy się socjalizm i zaczyna strefa kapitału. Blachucki, z wykształcenia magister ekonomii, zapomniał sobie co to jest wartość dodatkowa? No, to ja mu przypomnę: kapitalizm jest tam, gdzie właściciel prywatnych środków produkcji wyzyskuje pracę innych ludzi, przywłaszcza sobie wartość dodatkową. Towarzysz Blachucki za państwowe pieniądze zdobył owe środki produkcji, założył prywatną wytwórnię, najął sobie ludzi i okrada ich z tejże wartości dodatkowej. Co tu więcej jest do gadania.

— Mówią, że żyć z czegoś musiał...

— Czy koniecznie na etacie dyrektora, prezesa lub innym kierowniczym stanowisku? Na szczęście pracy w Polsce jest dosyć. Tfu, gadać się nie chce...

Aktywistka ze skarżyskiej odlewni.

— Co, znów huzia na Józia? Ech, wy prasa, zawsze jednacy. Ustalmy w końcu reguły gry:

rzemiosło jest trwałym elementem gospodarki socjalistycznej, czy nie jest? Jeśli jest, a potwierdził to chociażby ostatni zjazd partii, więc po co ten krzyk? Chyba, że owych deklaracji najwyższych władz kraju nie należy traktować poważnie, bo są tymczasowe. A, to co innego. Nie mówmy więc o nowej linii. Mówmy o tym, że kiedyś znów społeczeństwo będzie wystrzygnięte na dudka. I że jednym rozkazem można przekreślić wszelkie deklaracje, uchwały, ustawy, prawa, ba nawet Konstytucję wciąż nowelizować. Mówmy więc o zaufaniu do władzy jako takiej.

Dezercja, dezercja. Naprawdę nie rozumiem, czego oni chcą od tego człowieka. Najpierw go wywyższyli, potem skopali, sponiewierali, odebrali satysfakcję z dotychczasowej pracy. Powiem krótko: sekretarz Blachucki miał prawo zmienić swój zawód, przekwalifikować się, zostać rzemieślnikiem. Niewolnik czy jak? U nas to tak się ułożyło, że ten kto poszedł w dyrektury, umrzeć musiał jako dyrektor. Kto został sekretarzem, może tylko awansować, piąć się w górę po szczeblach partyjnej kariery, albo szczeznąć w upokorzeniu i biedzie. A cóż to za bzdury!

Powiem jeszcze inaczej. Tu o coś innego chodzi. O tak zwane taniutkie pryncypia, nie skazone głębszą myślą. Niektórym wydaje się, że socjalizm to ustrój biedy. Nikt nie może się wychylić. Bieda jest tu wyróżnikiem ideowego hartu, samozaparcia. Masz dom, samochód, umiesz sobie w życiu radzić, oho, coś tu nie w porządku z twoim kręgosłupem ideowym. Możesz być pijakiem, sakramentem leniem, ostatnim łotrem, bylebyś był biedny. Wówczas nikogo nie będzie w o-czy kłuło. Tak powiem: najwyższy czas zweryfikować te pojęcia. Na takiej cherlawej kobyli do socjalizmu nie zjedziemy. Padnie nam na którymś kilometrze. Zdechnie nam, rozumie pan, zdechnie!

Tyle do notesu. A po co nazwisko? Wystarczy krótko: aktywistka, zawiadziona aktywistka. Może jeszcze podać, czy jestem dziewicą?

Spojrzałem uważnie na kosty-czną kobietę.

— Och, nie trzeba, intuicja mnie nie zawodzi...

Znów rozmowa, raczej przypadkowa, na przystanku autobusowym w Skarżysku, osiedle Milica. Też czekam na emkaes. Podchodzę do starszego człowieka, emeryta — jak później dowiedziałem się, Ubiór, elokwencja nie wskazują na robotniczą profesję. Pracował przed laty w skarżyskich zakładach metalowych.

— Czy znał pan sekretarza Blachuckiego?

— A któż by go nie znał?

— Mówią teraz o nim, że czerwony prywaciarz...

— Jaki tam czerwony! On u nas ma tylko czerwone, że wstydu, nic więcej. Okazuje się jeszcze raz, że ludzie, którzy opanowali partię po roku siedemdziesiątym, niewiele mieli wspólnego z prawdziwym socjalizmem. Narzucili partii burżujską myśl gospodarczą, mieszczańską moralność. Bogacie się za wszelką cenę. Nawet za cenę wartości etycznych. Zabiegajcie o własne dobro, bądźcie egoistami, wilkami, skaczcicie sobie do gardła o każdy ochlap. Oto ich dewiza.

— Jest pan niesprawiedliwy.

— A to, że sekretarz Blachucki został drobnym kapitalistą, nie jest dla mnie zaskoczeniem. Zwykła konsekwencja tamtych tendencji.

— Jaki, on kapitalista!

— No, raczkujący. Na razie raczkujący. Jak mu pozwolić, szybko się uwinie. Ale przepraszam, na mnie czas, nadjeżdża.

Wmieszał się w grupę czekających i dał się wciągnąć do środka autobusu.

Krystyna Łopatka, radna MRN w Skarżysku, pracownica węgla kolejowego, członek partii.

— Skrzywdził go. I to bardzo. Nie wolno tak upokarzać człowieka. Usiłovali złamać, wykończyć. Szukał daremnie jakiegoś zajęcia, ale gdzie tam! Czuli, żeby się nie podźwignął. Każdy jakoś znalazł sobie miejsce, a jego wszędzie odpychali, bo aparatczyk z ekipy Gierka. Ileż to było plotek, oszczerstw, jadowitych zarzutów przeciw niemu! Za wille, że samochody, że się dorobił! A on miał wtedy skromne mieszkanie i stary samochódzik. Ludzie jak się uwezmą na

kogoś, potrafią zgnioć, opluć bezkarnie, podeptać. Co w tym złego, że się im nie da? Że sam znalazł sobie pracę, też pożyteczną?

— Czy nie mógł zostać robotnikiem, zacząć od początku?

— Nie ma zapotrzebowania na romantyków. Chciał zachować niezależność. Jest człowiekiem ambitnym, energicznym. Zresztą na stanowisku robotniczym też daliby mu w kość!

I znowu rozmowa. Władysław Jelonek, prezes spółdzielni „Młnax” w Skarżysku, członek partii.

— Dziwię się bardzo, że u nas w partii tak jest, że jeden drugiego rozrabia. Ile pasji ludzie wkładają, aby bliźniego wykończyć.

— Nikt nie lubi dezertów...

— On dezert? Nie odszedł dobrowolnie, to jego wypędzili! Wiem o tym aż nadto dobrze, bo po jego odejściu przez jakiś czas byłem pierwszym sekretarzem Komitetu Miejskiego. Starłem się znaleźć mu pracę, interweniowałem w różnych zakładach. Wszędzie te propozycje przyjmowano chłodno, czasem z szyderstwem: pchacie nam skompromitowanego aparaczyka? W najlepszym przypadku kreślił, oblicywali, na tym wszystko kończyło się. Uplywały miesiące, a Błachucki wciąż bez pracy. Chodził skołowany po mieście jak ta błędna owca. Przecież to upokarzające.

Owszem, przyznaję, nie musiał iść do rzemiosła. Można lepiej wykorzystać jego kwalifikacje. Ale wówczas była taka sytuacja, że nic nie dało się zrobić. Żelazki fabryk, sterowane przez krzykliwe kierownictwa „Solidarności”, były mu niechętne, czasem wręcz wrogie.

— Mógł iść do prostej pracy...

— Na robotniczym stanowisku też trzeba mieć właściwe kwalifikacje. On nie miał wykształcenia technicznego. Iść do łopaty, zostać kopaczem? Tak, mógł. Ale zagrały chyba ambicje. Nie chciał tej walki oddać walkowerem. Zniszczyć się nie dał. Człowiek z charakterem, taki zgnioć się nie da. Swoim wrogiom nie chciał dać satysfakcji. Znalazł sobie niezależność w swoim życiu. Ja go nie potępiam. Teraz

łatwo krytykować, mądrzyć się. Trzeba było wtedy mu pomóc.

Chwila odpoczynku w przydworcowej kawiarni. Coś podkuśło jednak; przysiadłem się do steranego wiekiem człowieka. Dla postronnego obserwatora byłoby duetem gawędzących przyjaciół. Sterany wiekiem człowiek miał dziwne usposobienie; bez przerwy uśmiechał się przyjaźnie, kiedy ciągnął swój monolog. Bawił się przy tym łyżeczką, mieszając w szklance fusy. Dopiero gdy ochłopałem, zanotowałem coś z jego wypowiedzi.

— Teraz wiem, po coś się przysiadł, ty pismaku! Znowu sukinyńny atakujecie? Uch, ja bym was wszystkich! Napierw z lewej, potem fangę z prawej... Żyć ludziom nie dajecie. Uch, takim sierpowym, potem poprawić hakiem, hakiem, ani byś pisał...

— Bokser na emeryturze, czy kibic?

Nie odpowiadał, rozmarzył się.

— Jeden prosty by cię rozłożył. Uch, zatańczyć po zeberkach, polkę albo kujawiaka, wszystko jedno. I słuchać jak zeberka trzaskają jakby zapalki, co za cudowna melodia, słyszeć jak zeberka trzaskają...

— A, muzykant z pana? Niestety, tego nie da się zrobić.

W rozmarzeniu milczał, uśmiechał się do swojej wizji. Był chyba szczęśliwy.

— Nie da się zrobić — powtórzyłem — bo ja też biję!

* * *

Zdzisława Błachuckiego nie zastałem w wytwórni. Aktywizuje się jako przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, poza tym jest także radnym wojewódzkim. Najczęściej można go zastać w biurze Urzędu Miejskiego. Wpada nieraz do Komitetu, aby jakieś sprawy uzgodnić, załatwić. Wiele lat spędził w tym budynku; chyba sentyment wciąż go ciągnie tutaj. Właśnie spotkaliśmy się w pokoiku Instancji partyjnej, aby nieco podyskutować.

Powiedział mi tak:

— Czuję się wtedy osaczony ze wszystkich stron. Zaszczuty. I znikąd pomocy. Konferencja

partyjna uchwalila, że ci, co piastowali funkcje w aparacie, nie mają prawa zabiegać o ponowne objęcie stanowisk w partyjnym aparacie. I w taki sposób wypadłem z orbity, osiadłem na gołej ziemi. Ciężko przeżyłem, zbyt gwałtowny był to upadek. Przez pół roku dawali mi pensję, ale te pieniądze parzyły mi rękę. Wiedziałem, że są darmowe, że-branina. Potem? Na utrzymaniu żony. Jest ona pracownicą wydziału oświaty. Zarobki tam niewielkie, a dzieci trzeba nakarmić, no i mnie, bezrobotnego.

Starania o pracę zawiodły. Przyjaciele i znajomi rozkładali ręce w swej bezradności. Taki był czas, że każdy się bał. W Komitecie Wojewódzkim partii też pomocy nie otrzymałem. Dali do zrozumienia, żeby mi sam jakoś radził. Takich spraw mieli tysiące.

Niektórzy podpowiadali mi: weź z banku milion pożyczki, zbuduj sobie warsztat, przekwalifikuj się, bo zgimesz z głodu. Będziesz niezależny, sam sobie panem. Tak też zrobiłem.

— A rolnictwo? Tu jeszcze większa niezależność...

— Do rolnictwa trzeba się urodzić. Trzeba tę robotę lubić. Poszedłem na kurs ślusarski, wyrobiłem sobie papiery czeladnicze. Rozpocząłem produkcję kluczy nasadowych, z początku w innym lokalu, obecnie mam już własny warsztat. Zamówień mnóstwo, rynek chłonny. Na targach namawiano mnie, abym zwiększył produkcję wielokrotnie. Są możliwości nawet eksportowe. Ustawa zezwala mi na zatrudnienie dziesięciu ludzi. Dziś zatrudniam tylko trzech ślusarzy. Cały zbyt idzie przez spółdzielnię rzemieślniczą.

— Czy można żyć wśród tylu przeciwników?

— Z tymi wrogami to przesada. Za swojej kadencji wiele zrobiłem dla tego miasta. Pomagałem ludziom w nieszczęściu, zmartwieniach. Wśród sprawiedliwych nie straciłem opinii dobrego człowieka. Mam ich zaufanie. A to mi całkiem wystarcza.

□

STANISŁAW RAMS

Reakcja po wstrząsie

Jadwiga Karolczak

CZY pani — pan czyta prasę? Równie przed rokiem, odpowiedź na tak postawione pytanie, nie byłaby miła ani dla wydawców, ani kolporterów, ani dziennikarzy. Rynek prasowy po prostu rozpadł się. W województwach kieleckim i radomskim, czterdzieści procent gazet (dzienników, tygodników, miesięczników o zasięgu krajowym i regionalnym), odkładało się jako makulatura. Tak zwane zwrotnie „Ruchu” pracowały na pełnych obrotach, a powiedzenie, jakoby prasa była jedynym towarem nie tylko łatwo dostępnym, ale wręcz „trudno zbywalnym”, było szczere i prawdziwe.

Przyczyny takiego stanu rzeczy bez wątpienia będą potraktowane przez stosowne instytucje i placówki badawcze z należytą wnikliwością, bowiem są o wiele głębsze niż wzrost cen poszczególnych tytułów. W wielu pismach zabrakło znanych nazwisk, a „zastępcy” nie zawsze dorównywali „mistrzom”.

Powoli miały szok cenowy, a nawet — w tak zwanym międzyczasie — gazety taniały, co w naszym pejzażu ekonomicznym zwyczajne nie jest. „Zastępcy” nabrali dziennikarskiej wprawy, a czytelnicy — ciekawości. Czy dzisiaj pani — pan czyta prasę? Ależ tak! W województwach kieleckim i radomskim, w okresach szczytowego czytelnictwa przed grudniem 1981 roku, sprzedawało się trzy i pół tysiąca egzemplarzy „Polityki”, podczas gdy dzisiaj nie wystarcza siedem tysięcy. Przy zmniejszonych prenumeratach, wprost z kiosku.

W obydwu województwach wznowiono sprzedaż z „teczek”, zakładanych w kioskach „Ruchu”, bowiem — jako forma najwygodniejsza dla klienta

— miała ratować wątki kupowania. Jest ich dwadzieścia pięć tysięcy. Aż okazało się dzisiaj, że do tych teczek brakuje gazet. Nie sposób zamówić „Gospodynię”, „Filipinkę”, „Film”, czy „Motor”. Prawdziwym rarytasem są pisemka dziecięce. Słowem — po ubiegłorocznej mizerii nie ma śladu. Przy nie zmniejszonych nakładach — gazety sprzedaje się dobrze, bardzo dobrze nawet. Znow — jak przed niespełną dwoma laty — stają się towarem deficytowym. To znaczy — gwoździ ścisłości — na czytelnicznym placu boju padły „Rzeczywistość”, „Tygodnik Robotniczy” i „Twórczość Robotnicza”. Nie przyjęły się, „odłogują” w kioskach, co widać gołym okiem.

To, czego nie widać, a co musi skłaniać do głębszych refleksji, tkwi w indywidualnych przyczynach bardziej lub mniej chętnego sięgania po prasę, w wyborze takich a nie innych tytułów. Ot, kto wyjaśni następującą kabałę: dlaczego, mimo to, mieszkańcy Skarżyska czytają, relatywnie do ilości mieszkańców, więcej niż kielczanie czy radomiacy? Dlaczego, spośród moich siedemnastu rozmówców w Radomiu, aż dwunastu uważa, iż najpełniej zaspokaja ich ambicje „Przekrój”, a wśród tej samej ilości mieszkańców Skarżyska dziewięciu wymienia „Politykę”?

Ekonomista z dużej radomskiej fabryki ujmuje to tak:

— Czytam „Przekrój”, bo nie jest prowincjonalny. Są interesujące wiadomości ze świata, podane w formie pozbawionej agitacji. Jest moda prosto z Paryża, czy Londynu i pełny przegląd tego, co się dzieje w życiu kulturalnym. Jak to — gdzie to znajduje?! W rubryce „Zaprosili nas”.

Wychowawczyni z przedszkola:

— Czytając „Przekrój” człowiek czuje się światowcem. To tak, jakby droga do Warszawy, krótka i wygodna, skróciła się jeszcze wyraźniej.

Moja uwaga, że „Przekrój” wydawany jest w Krakowie wzbudza odruch niechęci. Fakt — z Radomia do Krakowa blisko nie jest.

Mieszkańcy Skarżyska też lubią „Przekrój”. Jedna z urzędniczek powiada:

— Taki relaksowy, sympatycznie plotkarski. Może nie skłania do zbyt intensywnego myślenia, ale w zamian pozwala oderwać się od codzienności, a to też jest potrzebne.

Nauczyciel ze szkoły podstawowej:

— Lubię wieczorem poczytać o dalekich podróżach, egzotycznych obyczajach, trochę próży z pogranicza horroru, fantazji i science-fiction. „Przekrój” mi to gwarantuje.

Zmierzając w kierunku „wielkiego świata”, któremu Radom wciąż depcze po piętach z pasją niemal mistyczną, pytam o „Forum” — bądź co bądź wygotowane w tyglu światowych wydarzeń.

Urzędnik państwowy niepodłej rangi utrzymuje:

— Pismo jest dobre, ale tendencyjne. Za dużo o polityce. Można byłoby przedrukowywać z zagranicznych pism coś, co interesuje każdego: o życiu i obyczajach w krajach wysoko cywilizowanych. Choćby po to, żeby kogoś naśladować. Nasze wzorce nie są najlepsze.

Nauczyciel historii w liceum:

— Najchętniej wybieram w „Forum” publikacje o kulturze. Czasem są to wywiady ze znanymi artystami, pisarzami, czasem relacje o filmach, które do nas nie docierają. Interesuje mnie wątek socjologiczny, sprawy rodziny i małżeństwa w dzisiejszej cywilizacji. Polityka? O tyle, o ile.

Sądy na temat „Forum” w Skarżysku są nieco odmienne. Inżynier na budowie pośpiesznie formuluje je następująco:

— To trudne pismo, ale po pewnym czasie poszerza horyzont myślowy człowieka. Uczy go dystansu do wielkiej polityki, pozwala na nią patrzeć chłodniej, bez emocji.

Nauczyciel języka polskiego ze szkoły średniej:

— „Forum” jest jakby sprzeczne z naturą Polaków. Zawsze dziwię się wielości poglądów na świat, zawartych w przedrukach z pism wydawanych w jednym kraju. U nas wszystko jest na tę samą modę; gdzie nam do mądrej tolerancji Francuzów? I do tego szalenie emocjonalne traktowanie polityki przez naszych publicystów, tak różne od racjonalizmu, a nawet chłodu intelektualnego tych z zagranicy!

I w Radomiu, i w Skarżysku „Politykę” zaczyna się czytać od końca, to znaczy od felietonu Daniela Passenta. A w ogóle — „Politykę” czyta się chętnie, choć proporcjonalnie do ilości mieszkańców — Skarżysko jest bardziej czytane. W Radomiu słyszę, że w wielkim mieście ludzie mają dystans do tego, co pisze się w gazetach i dlatego nie rzucają się z takim entuzjazmem na prasę, jak ci z prowincji. Robotnica z „Fosko” usiłuje swoje racje, przemawiające za czytaniem, uzasadnić tradycjami miasta:

— Co druga rodzina tutaj, w Skarżysku ma kolejarską przeszłość. To było miasto kolejarzy. Teraz trochę się zmieniło, ale zwyczaje zostały. Pamiętam, że ojciec zawsze przywoził ze szlaku gazety. Wszyscy przywozili. Bardzo różne, dużo kolorowych. A mama kupowała „Słowo Ludu”, żeby było wiadomo, co się dzieje u nas. Przyzwyczailiśmy się do czytania. I w rodzinie brata, i w mojej kupuje się to, co interesuje dzieci i nas, rodziców. U mnie: „Politykę” dla męża, „Razem” dla syna, „Przekrój” dla córki, „Kobietę i Życie” mam dla siebie a „Słowo Ludu” i „Echo Dnia” — dla wszystkich. Z wyjątkiem „Polityki” każdy zagląda do tych gazet. Najciekawsze artykuły z „Polityki” wybiera mąż i czyta głośno.

— Tak, wiem, że są „Przemiany”. Kioskarka opowiadała kiedyś taki artykuł o cudotwórcy, czy uzdrowicieli, ale już nie było ani jednego egzemplarza do kupienia. Zresztą — na więcej już nas nie stać.

Sugestia, jakoby u podstaw przywiązania do prasy w Skarżysku leżał kolejarski rodowód miasta, wydają mi się nieco uproszczone i cokolwiek naiwne. Chociaż być może, coś w tym jest. Ogólna ruchliwość przyczynia się zazwyczaj do głębszości intelektualnej. Wszak „podróż kształcą”, z czego jednak nie wynika wprost, iżby kolejarze byli ludźmi ze wszystkich najbardziej wykształconymi.

Nauczycielka z wieloletnim stażem pracy w skarżyskim liceum mówi wprost, że nie wyobraża so-



Rys. Zbigniew Morawski

bie wychowywania młodzieży bez osobistych „prasówek”:

— Dzisiaj młodzi ludzie są szalenie krytyczni. Utrzymują, że prasa kłamie. I rzeczywiście — różna jest jakość publikacji w różnych gazetach. Czasem są to naiwne relacje, przypominające słabutkie wypracowania „na zadany temat”, z których nie wynika wcale, że piszący zadał sobie trud poznania prawdy. Więc czytelnik nie wierzy. Ale czytając wiele pism — zawsze mogę odesłać młodzież do innego tytułu. I robię to z zupełnie dobrym skutkiem. Najwyżej cenię „Politykę”, „Tu i teraz”, „Forum” i „Tygodnik Powszechny”, a także — to wcale nie kurtuazja wobec redakcji, którą pani reprezentuje — „Przemiany”. Z dzienników — „Życie Warszawy”.

Pisma regionalne sprzedają się dość znamienicie. Radom bierze zaledwie jedną trzecią część tej ilości „Słowa Ludu”, jaka ledwie wystarcza Kielcom, Skarżysko wchłonęłoby dużo więcej, niż dostaje. Podobnie jest z „Echem Dnia”. Zwroty „Przemian” w ogóle są niewielkie, ale podczas gdy w styczniu do Radomia wyeksponowano tysiąc dwieście egzemplarzy miesięcznika, z czego do lutego „leżakowało” w kioskach sto siedemdziesiąt, Skarżysko wzięło tysiąc egzemplarzy i sprzedało niemal wszystkie. Poponuję wziąć pod uwagę wielkość obydwu miast, a proporcje same się ułożą.

Kioskarka w Radomiu tłumaczy to tak:

— Ludzie tutaj Kiele nieciekawili. Chcą większego świata. Mamy własne „Życie Radomskie”, a teraz „Tygodnik Radomski”. Trudno wytrzymać z taką konkurencją. Widzę to na co dzień.

Plastyk, którego odwiedzam, mówiąc wręcz, że bez „Słowa Ludu” i bez „Przemian” raczej nie wyobraża sobie jakiejś takiej orientacji w sprawach własnego środowiska.

— Jeżeli się zamknijemy w kregu li tylko radomskich spraw, będziemy jeszcze bardziej śmieszni z tą swoją oślawioną tęsknotą do wielkości, niż rzeczywiście jesteśmy. Złośliwi i tak się nabijają, że traktujemy się jak przedmieście Warszawy. No cóż, identycznie mówią ci z Grójca. Osobiście czytam także „Tygodnik Radomski” i cieszę się, że jest. Czy się do niego zdążyłem przywiązać? Powiedzmy — umiarkowanie. I dlatego proszę o nieujawnianie nazwiska, bo w tym mieście obowiązkuwko trzeba się przywiązywać do wszystkiego, co radomskie.

Opinia pracownika kultury jest raczej odmien-
na:

— Te pisma, które wychodzą w Kielcach, pozbawione są oddechu, szerszego otwarcia. Ja nie mówię, że na Radom, ale w ogóle — na życie. Wszystko w nich stłamszone, wszystko bez rozmachu. Ani się z autorami publikacji zgodzić, ani kłócić. No to po co czytać? Nie kupuję ani „Słowa Ludu”, ani „Echa Dnia”. „Przemiany” uważam za istny zaścianek prasowy. „Tygodnik Radomski” może i nie jest doskonały, ale przynajmniej nie zdążył skostnieć.

Skarżysko także nie jest bezkrytyczne wobec lokalnej prasy. Styszę, że szczególnie „siadł” magazyn „Słowa Ludu”. Sprzedawczyni w sklepie mówi, że czytanie gazety czasem ją złości, a czasem otwiera oczy na różne sprawy.

— Kupuję „Słowo Ludu”, „Echo Dnia” i „Przemiany” też. Bo jest o leczeniu ziołami, pokrzywa, kapusta. Kapusta mi pomogła na nogi.

Maszynista z tutejszego węzła powiada, że kiedyś o kolei było więcej w gazetach. I w „Słowie”, i w „Echu”.

— Ja nie mówię, że powinno być często, ale my mamy wiele problemów, które są i ciekawe, i ważne. A tu wciąż tylko o butach z „Fosko” i robotach kuchennych z „Mesko”. Też trzeba pisać, bo naród podnosi wrzask, że boso będzie chodził i my o tych butach czytamy. Ale i o swoich sprawach by się chciało.

Różne są przyczyny, dla których człowiek sięga po gazetę. Najważniejsze, że sięga. Nie to, że radomskiemu prowincja kojarzy się z Kielcami, a wielki świat z kąciakiem mody Barbary Hoff w „Przekroju”. Myślę, że więcej w tych opiniach tradycyjnych uprzedzeń, niż rzeczywistego rozoznania w ofercie pism regionalnych i w definicji, co to takiego jest prowincja. Nie to. Najważniejsze, że tytuły znów znikają z kiosków. Po „Razem” trzeba biegać bladym światem, na „Film” urządzać zasadzki, „Forum” upolować, jak tylko się pokaże. I „Przekrój” i „Panoramę”. Reakcja po wstrząsie jest typowa: po rocznych wahanach dochodzimy do równowagi. A że prasa może i powinna być ciekawsza? To oczywiście. W końcu nikt z sentymentu dla tytułu nie będzie wspierał wyprzedzący kłopskich „wypracowań na zadany temat” w sytuacji, gdy codzienność natarczywie atakuje całym mnóstwem niespodziewanie atrakcyjnych tematów.

JADWIGA KAROLCZAK

KRYZYS DUCHA

Zacząć od siebie

Wiesław Barański

„KRYZYS DUCHA” — pod takim tytułem w poprzednim numerze „Przemian” ukazał się tekst poświęcony tzw. kryzysowi moralnemu.

Pani docent Szyszkowska mówi m.in., że trzeba sięgać w obecnej krytycznej sytuacji po wzorce literackie z lat przeszłych, pan sędzia Romański słusznie dodał, że wzorce bliższe współczesności upadły na naszych oczach i cokoły opustoszały, a znany działacz gospodarczy pan Zawistowski idzie jeszcze dalej twierdząc, znów nie bez racji, że żyjemy w czasach niechęci do człowieka.

Nie chcę rozpatrywać tej kwestii w kategoriach dawnego pokolenia, które niestety nie ma zbyt wielu powodów do dumy z osiągnięć. Owszem, zbudowaliśmy nawet sporo i od tej strony patrzeć na siebie nie jesteśmy wiele gorsi od innych: fabryki dymią, domy stoją, kółka się kręcą. Tylko czy w tym konstruowaniu nowego materialnego życia nie zgubiliśmy czegoś bardzo istotnego, mianowicie człowieczeństwa?

Sądząc po publikacjach prasowych, a zwłaszcza telewizyjnych osiągnięliśmy w tej dziedzinie dno: informacja dziennika telewizyjnego na dobrą sprawę dzieli społeczeństwo na dwie zasadnicze grupy: złodziei i policjantów, wspieranych przez sporą podgrupę nieudolnych menadżerów, którzy zawsze chcą dobrze, a wychodzi im źle. Oczywiście, przesadzam i upraszczam, istnieje przecież potężna, milcząca większość ludzi, którzy nie kradną ani nie łapią złodziei, za to uczciwie i solidnie pracują w nadziei, że jednak kiedyś to wszystko się skończy i będzie normalnie.

Ale co robimy, aby było normalnie, żeby nowe, następujące po nas pokolenie Polaków zostało przygotowane do normalnego życia?

Odpowiedź na to pytanie ma w moim przekonaniu znaczenie kluczowe i żadną miarą nie można go pominać milczeniem.

A więc wzorce godne naśladowania. Mamy ich sporo, w zależności od potrzeby chwili wybieramy te lub ową postać przystającą akurat do sytuacji. Ale przecież nie dwie lub dziesięć świetlanych postaci tworzyły historię Polski lecz właśnie wszystkie owe historyczne nazwiska stanowią o naszej przeszłości, której tak bardzo nie trzeba się wstydzić. Wygląda na to, że się jednak wstydzimy, gdyż nawet autorzy podręczników szkolnych

zamieszczają tam postacie jednoznaczne, zweryfikowane przez historię, pomnikowe. Każda szkoła ma swego patrona: bojownika, poety, kompozytora, pisarza, niekiedy nawet wynalazcę lub tylko organizatora życia gospodarczego. Ale wszyscy korzystają z numerów szkół: „12”, „10”, „2”. Dlaczego? Wstyd pisać, ale może dlatego, że o tych sławnych ludziach patronujących szkole mało wiedzą nie tylko uczniowie lecz również nauczyciele?

Jest rzeczą zrozumiałą, że kraj tak często napadany, grabiony oraz dzielony przez zaborcy ma kompleks wolności, a więc wzorzeć walki z najeźdźcą lub okupantem. Ludzie walczący o wolność są etatowymi bohaterami narodowymi, należą im się „izby pamięci”, kwiaty na cmentarzu oraz miejsce w podręcznikach historii. Jednakże innym np. wznoszącym miasto, wytyczającym tam nowe ulice, produkującym towary lub trzosiącym się o wyкарmienie narodu – też należą się słowa uznania, a nawet, być może, odrobina uwagi nauczycieli przedmiotu pod nazwą wychowanie obywatelskie lub techniczne. Dlaczego nie pokazać dzieciakom Białogonu, Samsonowa, Maleńca, by przekonać ich, że Stanisław Staszic był równie zasłużony dla kraju jak walczący partyzant.

Mówi się, że nasze dzieci mają konsumpcyjny stosunek do świata, wszystko co chcą mieć – otrzymują, gdyż rodzice od ust sobie odejmą a kupią dzieciakowi magnetofon, dzinsy lub motorower. Tak, ale który z rodziców spróbował przekazać synowi lub córce jak ciężko musi pracować i w jakich warunkach, żeby na to wszystko zarobić. Wstydzą się? Czego, uczciwej pracy, złanej oliwy fabrycznej posadzki, bałagonu, butelek po wodzie na budowie? Oczywiście, ideał tatusia to gość w służbowym aucie, z teczka i pod krawatem. Można i tak, ale dlaczego tylko tak? By zaspokoić swoją dorosłą ambicję?

Na potrzeby dzieci muszą więc wystarczyć wzorce podręcznikowe, niestety, za gróź nie przystające do tych z życia. Jak można być dumnym z tatusia leżącego co parę dni na konapie z powodu opilstwa, natomiast na trzeźwo szepczącego brzydkie wyrazy w łazience pod adresem szefa, który go w pracy potwornie maltretuje. Oczywiście, opinia swą „bohaterski” tatuś dzieli się szepciem tylko z mamą i wujkiem, w oczy szefowi nie powie co myśli, bo... „i ty gnójku w szkole nie puskaj, bo ci pani lufę wstawi, siedź cicho”. Dziecko się buntuje, nie chce siedzieć cicho, wstawia się za niesprawiedliwie ukaranym kolegą u pani. I niestety wychodzi na to, że tatuś miał rację, sprawdza się jego filozofia co do jaty. O to się już postarała pani.

Dzieci są pojętne, uczą się szybko: nie nudzić rodziców, nie przejmować się kolegami, nie trudzić nauczycieli. Raczej mieć rower, magnetofon, kolorowy telewizor, żeby oglądać i słuchać tej „zbuntowanej”, „ogłupiającej” muzyki.

I słuchają, bo cóż, prawdę mówiąc, mogą robić innego. Kiedyś było harcerstwo, złoty, piosenki przy ognisku, wędrowki pieszkie, blwaki, zwiedzanie przy okazji zabytków itp. Po harcerstwie ślad zginął, a szkoda, gdyż wycieczka autem lub autobusem nad zalew do Cedzyny, to nie to samo: mama wyjmie z siatki kanapkę, najeże z termosu herbaty. Nudy na pudy zwłaszcza w porównaniu z noclegiem w namiocie, czy w stodole na sianie oraz smakiem ugotowanej przez siebie na ognisku herbaty. Odebraliśmy naszym dzieciom te najlepsze w życiu chwile.

Zabawa przed blokiem jest zabroniona, gdyż dorośli niezwykle szanują zieleni. Nawet bardziej niż własne dzieci, które mogą kopnąć piłkę tylko pod śmietnikiem lub na parkingu, jeżeli akurat nie stoją tam samochody. Odbijanie piłki tenisowej od ślepej ściany budynku jest zabronione, gdyż ściana niszczy się i brudzi, natomiast dzieci muszą być zawsze czyste. Szkoda.

Ani szkoła, ani rodzice nie wyrabiają w dzieciach nawyku chodzenia do teatru, muzeum lub na koncerty w filharmonii specjalnie ułożone i prowadzone z myślą o nich właśnie. Teraz albo filharmonia, albo rock na 3 tys. krzeseł, kilka metrów kwadratowych szyb z towarzyszeniem milicji. Więc w teatrze dzieci nie bardzo wiedzą jak się zachować – nikt im tego wcześniej nie wyjaśnił – trochę biegają, szleszczą papierkami. Panią to potwornie zdenerwowało więc powiedziała, że do teatru nie pójdą nigdy więcej. I rzeczywiście nie chodzą.

Może zaprosić do szkoły aktorów, żeby coś o teatrze powiedzieli, pokazali jak należy mówić wiersz, a jak prozę. Też raczej nie, gdyż zdaniem pani – teatr jest kiepski, gdyż bez gwiazd znanych z telewizji. Uczą więc dzieci deklamacji osobiście panie polonistki. Siedziałem kiedyś w jury wojewódzkiego konkursu recytatorskiego, wiem jak to wygląda: zgnile liście, cmentarze, rozpacz, a wszystko z tym szkolnym monotonnym zaśpiewem deklamacyjnym. Pani może być dumna, jednak czegoś nauczyla.

Można by dziecko wysłać na parę dni chociaż do babci na wieś, żeby z bliska zobaczyło konia lub krówkę, ale babcia stara i niedołężna: „kto ci synku zrobi i poda śniadanko?” O tym, żeby synek podał ja babci nie ma mowy. Chyba że za jakieś punkty potrzebne do stopnia z zachowania.

Cóż jeszcze zostaje? Książka, której nie ma gdzie kupić, telewizja, w której dorośli albo szarpią się za klapy, albo kradną, albo zopominają o swych sterowanych życiem rodzicach lub w ogóle o swych obowiązkach, a wszystkim i dlatego – dzieci wiedzą już – w jezdniach są dziury, w sklepach nie ma słodyczy oraz pepsi-coli, brakuje mieszkań i dzieci nie mogą jeździć na kolonie letnie.

Za to latem dziecko może być zabrane przez rodziców na Mazury lub nad morze, ale nie bardzo, raczej będzie się bawiło koło bloku, z kluczem na szyi, była tylko nie deptała trawy. Jak przyjedzie cyrk to pójdzie kiedyś z tatusiem, w niedzielnie przedpołudnie, albo pojedzie na ryby, bo ojcu też się coś należy od życia. Chyba że jest dzieckiem lepiej urodzonym. Wówczas może się spodziewać wakacji z rodzicami w Złotych Piaskach, w Mamoi, nawet w Dubrowniku: starzy pobiegną do sklepów, a ono będzie się gapilo przez szybę samochodu na wystawy sklepowe. Szczęśliwie.

A jeszcze później? Mogą być papierosy, narkotyki, wódka, włamanie do kiosku, cokolwiek, żeby zabić w sobie tę potworną nudę lub tylko niechęć do czegośkolwiek. Może też być rozczarowanie tym niepojętym światem dorosłych, który jest – kto by się spodziewał – aż tak beznadziejny. Mogą też być fochy i gniewy powodujące podobne reakcje ze strony dorosłych. Może być wszystko!!!

Odpowiedzmy zatem uczciwie do czego są nam potrzebne dzieci, skoro nikt dla nich nie ma czasu, właściwie od wywiadówki do wywiadówki, a tylko pieniędze, które dziecku mają zastąpić tamto wszystko. Doś. Zawartkowa skłania się ku poglądowi, że winna jest „choroba szybkiego awansu”. Istotnie, awans był piorunujący, właściwie dla każdego z nas: żyło się szybko, było jak, bez żadnego pomysłu na to życie. Łapało się, co niosł z sobą każdy dzień, ci, co nie łapali uważani byli za tumanów i alamałdy. Trzeba do przodu, jeszcze wyżej, jeszcze szybciej – tak trzymać.

Niestety, nie udało się. Ładowanie jest twarde i bolesne, ale chyba konieczne. Więc jedna uwaga: zanim zaczniemy niszczyć ten kryzys moralny wokół siebie czyli u innych spojrzmy krytycznie, z dystansem na siebie. Może będzie lepiej kiedy zaczniemy tę walkę z kryzysem ducha od tak mało znaczących dla nas dorosłych spraw jakimi żyją nasze dzieci, czyli od siebie.

WIESŁAW BARAŃSKI

Jak się wszystko z latami odmienia...

Zbigniew Nosal

MIAŁEM siedem lat kiedy umarł mi ojciec, Piotr Patej. Urodziłem się w 1909 roku. Siedem lat miałem, kiedy pomarł. Młodo, miał trzydzieści cztery lata. To był bardzo zdolny, proszą pana, człowiek. Grał na skrzypcach, kapelę tu prowadził w Witowicach, pisał wiersze, wysyłał do gazet. Drukowali je w „Zorzy”, „Zaraniu”, w piśmie „Lud Polski”. Opowiadał mi jeden, że ojciec spotykał się na jakichś zebraniach z chłopami po kryjomu, w piwnicy, ale skąd mogę wiedzieć, co to były za zebrania? Za głupi byłem na to, za mały.

Ojca znali nie tylko w charsznickiej gminie, ale w całym powiecie. Nie przeszedł spokojnie przez miechowski rynek, wszyscy go — aptekarz, adwokaci, lekarze — do siebie zapraszali. Popularny był, bardzo popularny. Zachował mi się zeszyt z jego

wierszami. Jest tu jeden długi poemat „Opis dworku witowskiego”. Cała historia o tym jak dziedzic Jakubowski, którego żona stała w Krakowie siedziała i bawiła się, a rządcą Walenty kradł ile wlezie, popadł w długi i musiał piękny dwór, folwarki, pola i lasy sprzedać Żydom, Grajcarowi i Erlikowi. Przykro było, oj, przykro stąd odchodzić.

Na końcu tego wiersza — posłucha pan? — ojciec pisze;

Niech powiastka owa płynie
wśród rodaków naszych kola
i po polskiej tej krainie
niech ogłasza i niech wota.

Za swawole wy panowie
znoście klęski, karę Bożą
Dziś wam pewno świta w głowie,
lecz zwierzchności władze grożą.

Za zdradzanie w Targowicy
za „liberum veto” wasze,

na tulaćkę, bez różnicy
własne goni was poddasze

Za tzy ludzi i cierpienia
upodlonych polskich kmieci,
każdy szlachcic z swego mienia
ze swą pychą niech wyleci.

A tę ziemię niech posiadą
„cisi i błogosławieni”,
na tem słowa Boże będą
przez proroctwa

sprawdzone!

Patrz pan, ułożył dwudziestego
października tysiąc dziewięćset
dwunastego roku nieuczony
chłop z Witowic. Mój ojciec.

o pierwszym muzykowaniu

Po ojcu chyba mam i wierszopisanie, i muzykę. Grałem już jako dziecko. Na fujarcie. Szło się za gęsiami, za bydłem na łąkę i grało. Och, jak to pięknie niosło po pagórkach. Potem miałem organki. I skrzypki. Cudaczne. Sąsiad zrobił z klepek od beczki po cemenocie, cement wtedy w beczkach sprzedawano. Marny instrument, byle jaki. Kilku na nim próbowało, żaden nie potrafił, ja się nauczyłem. Mój starszy przyrodni brat Wladek, który służył w wojsku w Rzeszowie, widział że mnie granie, muzyka interesuje, przysłał mi harmonię, dwurzędówkę na dwanaście basów. W poniedziałek ją dostałem, w sobotę już umiałem zagrać ze trzy kawałki, poszedłem na wywózki. Kiedy Wladek przyjechał na urlop i usłyszał moje granie, powiedział: „Stefek, harmonia dobra dla dziada na odpuszcie. Kupię ci skrzypce. Muzykant musi grać na wszystkich instrumentach, a skrzypki piękna rzecz”. I kupił. I grywałem na nich. Wszystko ze słuchu.

Dobrze już grałem, gdy zainteresował się moim muzykowaniem stryj Stanisław z Dąbrowy Górniczej. On się uczył w Śląskim Konserwatorium gry na wiolonczeli. Mówił, że szkoda się męczyć grą ze słuchu, że trzeba poznać nuty, ich podział, rytmikę, harmonię i solfeż. Mama wysłała mnie do niego na naukę. Uczyłem się ze sześć tygodni, nie bardzo przecie widziała mi się ta nauka, myślałem: „umiem grać,

a on mnie nutami męczy". Jakoś wytrzymałem. Nauczyłem się nie tylko czytać nut, ale i muzykę nimi zapisywać. Nieźle się poduczyłem. To było jakoś w 1927 roku. Wróciłem z Dąbrowy i akurat była zabawa w Witowicach. Poszedłem tam ze swoimi skrzypcami i w przerwach zagrałem parę kawałków. Nowych. Szlagiery. Wtedy muzykanci na wsi jeszcze nie umieli. To była „Titina”, „Ta ostatnia niedziela”, coś tam jeszcze. Spodobało się moje granie młodym, spodobało się szefowi kapeli Mentelowi, co grywał na kornecie.

Pogadał ze mną, wziął mnie do zespołu. Mentel grał na klawecie, drugi Mentel na skrzypkach sekond, ja na skrzypkach, no i jeszcze jeden na basie. Zaczęło się grywanie po zabawach i weselach.

o weselach dawnych i dzisiejszych

Grywaliśmy w całej okolicy. Tylko w środy, sobotnie wesela później, już po wojnie nastały. Dawniej zaczynało się wesele w środę, w czwartek graliśmy cały dzień, kończyło się o północy, żeby nie zarwać piątku. Post. We wtorek odbywały się „pustochy”. To było takie zejście się družbów i kolegów w domu pana młodego. Tam sobie wypili, zawołali parę dziewczuch, potańczyli do pierwszej po północy i muzyka zostawała w domu do rana. Spaliśmy. Rano z panem młodym i jego gośćmi furami do panny młodej, stamtąd do ślubu. No i wesele.

Kiedy goście przychodzili na wesele, nie tak było, jak teraz, co częstują od razu, zastawiają stoły jedzeniem. Nie. Gospodarz wyszedł z butelką wódki do sieni i tam se wtykał szyjkę flaszki do kieliszka, lał po troszku i przypijał do każdego gościa. Każdy gość wypił kieliszek we drzwiach. Na przelaku był znowu chleb porznięty na kromki z kawałkami sera. Nie z kiebasą, z serem.

Po poczęstunku we drzwiach wszyscy wchodziłi do izby. Tam po jakimś czasie znowu im dawano po kieliszku gorzałki. Cały czas częstowanie z butelki, nie

tak jak dziś, co wystawiają na stole, jak na półce w monopolowym sklepie. Piło się z jednego kieliszka. Choć nie powiem, teraz są domy, gdzie przed ślubem nie biorą wódki do ust. Wszystko czeka. Młodzi wezmą błogosławieństwo, zagra się marsza i jecha do kościoła, a dopiero po ślubie, po uroczystości, stoły zastawione, obiad gotowy, a potem wódka, zakąski, torty i placki. Jedni tańczą, drudzy popijają, częstują się i na zmianę — tańczący za stoły, inni przed muzyką. Tak do rana.

Wędlin na weselach bywało mało. Prawie nic, chyba że mięso gotowane wieprzowe. Tłusty

boczek, żeberka pokrojone w kawałki na talerzach. Do tego chleb, barszcz. Mięso podawali z tamtej strony Miechowa, od Racławic. Strona podwoibromska trochę biedniejsza, na gorszych ziemiach, to i plackami zwykłymi drożdżowymi nadganieli, herbatką. Mówiliśmy o nich herbarciarze.

I patrz pan, co się robi, jak się wszystko z latami odmieniło. Z Zebrakowego wesela — tu pełno takich, co się tak nazywają — każdego gościa taksówką, znaczy samochodem odwozili do domu. A gości było! Nie pięćdziesięciu. Na wesela teraz nawet po dwieście par proszą.



Rys. Jan Walasek

o wieczorowych, czyli nieproszonych gościach

Zarabiał się wtedy od wesela przeciętnie pięć złotych. Nie było przyjęte, jak teraz, że gospodarz muzykantom płaci. Grywalimy na kawalki. Płacili goście za taniec, za poleczkę, oberka, co tam komu podchodziło, pasowało, po pięćdziesiąt groszy. Jak było łyche wesele to się i mało zarobiło, albo się uciekło zaraz po ślubie przed bijatyką. Różnie było. Widzieliśmy, że się bitka stroi, to my w nogi. Poznało się, wychodziło. Goście pojechali do ślubu, a wieczorowi — powiedzmy — piją już gdzieś po sąsiedzku, szykują się, czasem im chodziło o pannę, która właśnie ślub brała, czasem między nimi a któryś z družbów były zastarzale porachunki, niesnaski, to przychodzili nie proszeni trochę potaćńczyć, a przy okazji załatwić sprawę. E, nie, dziś o wieczorowych nie ma mowy. Nawet sąsiad, gdy nie zaproszony, za płot nie zajrzy. A wtedy? Bywało ich więcej niż gości. No, najsam-pierw z braku oglady, kultury, potem że nie bywało innych od muzyki rozrywek, no i zwyczaj.

Wieczorowi z byle czego bitkę zaczynali. Weselny na ten przykład polkę se kazał grać, wieczorowy podchodził, rzuca pieniądze na stół i „Oberka” — mówi. Gramy polkę. On łapie za smyczek, zatrzymuje: „mnie grać, oberka.” Gramy, oberka. Gościowi weselnemu nie honorowo! „Ja byłem pierwszy! Co jest grane?!”

Od słowa do krawatki i bitka! Pod stołem my niejeden raz siedzieli. Zarzucił który czapkę na naftową lampę, światło zgasiło i zaraz pisk, krzyk, wszystko ucieka do drzwi, a tam biją, a my pod stół, aż się chmara wygarnie na pole i tam zacznie gonić między zabudowaniami.

Tak, kiedyś tylko wyczuli, że bez bitki się nie obejdzie, to gdy goście do ślubu, my do domu. I po weselu. Po graniu. To było nie raz, nie dwa i nie dziesięć.

o bójkach

Rzadko gdzie, żeby się nie bili. Aż z Wolbromia bić się wieczo-

rowi na wsie przychodzi, a gdzież Wolbrom? Ze czternaście kilometrów. Przyszło takich oprychów, cwaniaków dwunastu i już gospodarz drżał biedak, wyglądał przez uchylone drzwi do izby. A z tamtych który, żeby go lepiej postraszyć, wyjął nóż i w stragarz wbija. Chłop bez ducha. Dla świętego spokoju postawił im litra, żeby nie wariowali.

Nie zawsze litra pomagała. Pamiętam w Marianowie. W Jezówce byli jedni cwaniacy. Podlesice też słyngły ze swoich asów. Przyszli na wesele do Marianowa. Przychodzi taki jeden z Podlesic — po co mówić nazwisko, już nie żyje — przychodzi, mówi, i do nas: „muzykanty, jak dam znać ręką — uciekajcie”. Gramy. Po jakimś czasie tamten faktycznie macha do nas, my z kąta do drzwi od komory i w nogi. Basista biedny został, bo mu się basetta w drzwiach nie zmieściła. Stał w tych drzwiach i wołał: „tu muzykant! Mam basy, uważajcie na basy!” Jakoś wyszedł z tej opresji, a tam w izbie pięć do dna rozebrali rzucając w okna ceglami do wieczorowych, bo przez okna się do izby też pchali. Wrzask był, krzyk, rumot. W tym wrzasku strzali.

Kiedy się uspokoiło, wyszliśmy z chlewika, co był za tą komorą. W izbie ruina i na podłodze leży jęcząc ten ranny, którego z rewolweru w nogę postrzelili. Leżał we krwi i jęczał.

Podlesice, wygrali. Zabrali nas, muzykę, do siebie na wieś, zaprowadzili do meliny, gdzie wódka, musieliśmy się pięknie uśmiechać i grać im do rana. Jeden z drugim tańczył.

W Witowicach znów na zabawie, muzykant zginał, Mentel, który grywał na altówce. Miał z jednym jakiś spór drobny, tamten popił, podszedł do niego z rewolwerem i z bliska strzelił mu w brzuch. Mentel po dziesięciu dniach w Krakowie, w szpitalu, umarł.

o ożenku

Nie tylko muzykowanie w moim życiu. Jako dzieciak pasalem gęsi, krowy, potem w zarnach mełłem zboże na ospę, albo ma-

kę, sieczka była moim obowiązkiem i wszelkie inne w gospodarstwie roboty na równi z roźdzeństwem, które chociaż przyrodnie, muszę powiedzieć, bardzo mnie lubiło.

Przyszła moja pora, ożeniłem się mając dwadzieścia dwa lata. Za żonę wziąłem dziewczynę przybytnią do Witowic z sąsiedniej wsi Kamienicy, Marysie Sygulanek. Miałem trzy tysiące złotych spłaty. Ziemię, osiemnaście morgów, matka zapisała na najstarszego brata i siostrę, po połowie, ja z trzech morgów miałem mieć po tysiącu, druga siostra też spłatę i „osobnicę”, taki kawałek ziemi. Wziąłem te pieniądze, a że teściowi brakło na kupno całego gospodarstwa — bo był kryty strzechą dom i siedem morgów — dołożyłem, a potem wszystko wziąłem za żonę, w wianie.

Wesele. Już w tym nowo kupionym domu, we środę oczywiście, w karnawale. Grał Chorażczyk Witek ze Stroszyc, jeden Mentel na trąbce, drugi — ten później postrzelony — na skrzypcach i Andrzej Kozioł na basach. Wesele, jak wesele, nie za bogate. Grandy się bałem, wieczorem sporo ich naszło, zabrałem żonę i do siebie, do matki.

o radiowych audycjach

Nie same wesela się ogrywało. W 1930 roku własną kapelę założyłem. Głośno o moim muzykowaniu było w okolicy, a że wtedy wszyscy prawie nauczyciele po wsiach, w każdej szkole robili przedstawienia, po których były zazwyczaj taneczne zabawy, zapraszali. Beze mnie się nie obeszło, zwłaszcza, kiedy prócz „Żyda w becze”, albo sztuki „Werbel domowy” chcieli zagrać „Królowa Przedmieścia”. O, to już prawie operetka na wiejskie warunki. Śpiewy potrzebne, muzyka. Grałem.

Zaprosił mnie na występ Jan Micek, kierownik szkoły w Swojczech, a tam akurat Cierniak był, Jędrzej, który pracował w Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie. Zaproponował, żeby zrobić dla radia dożynki. Wyszło, że najlepiej w Tczycy, to jakieś osiem kilometrów od Witowic.

Przygotowaliśmy występ. Władysław Kurbiel, nauczyciel i Michał Widacha z Jęlczy pomagali, do mnie należała muzyka i przyspiewki. Pomagali mi w tym stare babcie. Śpiewały, ja spisywałem słowa i nuty. Raz, pamiętam, gdy pisałem nuty do słuchanej przyspiewki, taka babunia zapytała: „Duzo pan będzie wiedział z tych kropeczek”. Wiedziałem. Występ na żywo szedł przed mikrofonami podłączonymi do telefonicznych drutów do Krakowa, a stamtąd z radiostacji na całą Polskę. Kobieta moja w domu słuchała przez takie radio na słuchawkę, na kryształek.

Dobrze wyszło, to później wystąpiliśmy od razu w studio z „Miechowskim weselem”. Potem byli Katowice, tam nagrywaliśmy „Okolodowanie”, a czwartym znowuż razem „Ostatki”.

W „Wici” działałem. Przed wojną wspólnie z Ochotniczą Strażą Pożarną, dzięki pieniądzą za zabawy taneczne i przedstawienia w małej szkółce powszechnej, a dzięki własnoręcznej pracy wybudowaliśmy w Witowicach dom ludowy. Nie tylko zresztą na miejscu się działało, bo i w Przybysławicach, w całym niemal powiecie.

o okupacji

W wojnę rozleciały się artystyczne zespoły. Niemcy na nic takiego nie pozwalali. Nie rezygnowałem, u siebie w domu robiłem występy. Schodzili się z partyzantki, z BCh przyjaciele i przy świeczce, przy szklaneczce bimbru ćwiczyliśmy „zakazane piosenki”. Właśnie u mnie w domu nauczyli się Marsza Batalionów Chłopskich.

o akademiach, nowych zespołach i „Charszniczance”

Po wojnie zacząłem w świetlicy kolejki wąskotorowej w Charsznicy akademią na Pierwszego Maja. Krzysztof Krzyżanowski tam był, on zaproponował. Tam, pamiętam, wiersz swój „Będzie wolna Polska cała” napisał jeszcze za okupanta, mówiłem. Długo w tej świetlicy zespół mi przyszło prowadzić ładnych parę lat, teraz już za-

od dwunastu mam „Charszniczankę”. Dobry zespół, liczy jakieś szesnaście kobiet i paru mężczyzn. Starsi, młodzież się niezbyt garnie. Kapela przy „Charszniczance”: ja ze skrzypcami, Budyn Franciszek — harmonia, akordeon pięciorzędowy, Felek Józek — kontrabas i brat jego — sekond. Czterech z nami chór. Pieśni są ludowe, dużo satyrycznych, które sam piszę i nawet do nich melodie komponuję. Część melodii mam starych, część zupełnie nowych. Nutki do różnych tekstów podstawię. Własne i zasłyszane. Od weselników, jakże by? Od przyspiewek przed muzyką. Gość stawał przed nami: „teraz chłopaki mnie zagrają, ale ja se to zaśpiewam”. I śpiewa. Jak do rzeczy, od razu pojnowaliśmy. Falszował, prosimy o powtórkę. Do trzech razy sztuka. Pod Racławicami jeszcze dziś tak przed muzyką śpiewają. A piosenki różne — śmieszne, ładne i brudne. Jak na weselach.

Tak, w całym powiecie przyszło mi po wojnie występować, zespoły tworzyć, próby z nimi robić, mówili, że dla tych instruktorów od kultury jestem prawą ręką. Może. Pamiętam, raz mnie z wesela ściągnęli na jakąś akademię specjalną, żeby im swój wiersz powiedzieć. Sklekościłem taki wierszyk na tysiąclecie, podobał się i chcieli usłyszeć. Nie powiem, odwieźli mnie na to wesele.

Dla charsznickich kobiet też mam wierszyk. Tak idzie:

*Ej, dziewczyno spod Charsznicy
młodocianych pięknych licy,
jak ty zujesz? Powiedz przecie.*

*Dobrze mi żyć na tym świecie,
bo gdzie tylko kogo spotkam,
buzi daję, bom ja słodka.
O kochaniu myślę z cicha
i nikogo nie odpycham.*

*Ej, dziewczyno spod Charsznicy,
młodocianych pięknych licy,
nie boisz się nigdy grzechu?
Zawsze robisz to ze pośpiechu*

*i śmieję się zawsze z tego,
bo kochać się to nic złego.
Takie prawo jest na świecie,
kochają się wszyscy przecie.*

Sporo zwrotek; długo by mówić.

o weselu raz jeszcze

Kobiety z Charsznickiego Koła Gospodyń zazdrośnie, że nie tylko z nimi współpracuję. Poprosiła mnie kierowniczka klubu z Rędzin, żeby im coś przygotować. Nie odmówiłem, choć to przecie od Witowic kawał drogi, trzeba koleją do Tunelu, a stamtąd jeszcze dwa i pół kilometra do klubu. Nie odmówiłem, a na szczęście miałem napisaną pierwszą część „Miechowskiego wesela”. Byłem u nich parę razy na próbach, co trzeba odpowiedziałem, melodię nauczyłem, a że akurat odbywały się wojewódzkie eliminacje zespołów artystycznych w Pińczowie, pojechali. Dostali pierwsze miejsce. Myśmę z zespołem charsznickim przyjechali do Pińczowa na drugi po nich dzień. Pytam o wesele, o, piękne, powiadają, to wesele z Marcysią. Na szczęście „Charszniczanka” też miała pierwsze miejsce, inaczej nie mógłbym się zespołowi na oczy pokazać.

o społecznej pracy

Za pracę z zespołami grószyć nie biorę. Lubię te rzeczy, lubię to robić. Tak ze mną, jak z tym, co gołębie chowa. Jak to mówiał „jastrząb mięso, wiatry pierze, a gołębiarz...”. No, nie, czasem przyjemnie. Ludzie do człowieka z szacunkiem, a sztuka umiła. Odnaczenia mam, dyplomów na niejedną ścianę. Wystarczy.

Mówią niektórzy — synowej mojej, wdowie, by traktor pozwolił kupić, bo ziemi dość, a my przecie z żoną na rencie, ale nie myślę prosić. Kogo? Zresztą, co by miało mieć jedno do drugiego?

o czterdziestu sześciu położonych na rękę

Siedemdziesiąty czwarty rok mi idzie, jestem już niby w starszym wieku, ale przecie nie myślę jeszcze rezygnować. Zawsze byłem mocny, nad wyrzą. Raz, pamiętam, na weselu, położyłem czterdziestu sześciu chłopów, kiedy się próbowali ze mną na ręce mocować. □

ZBIGNIEW NOSAL



Morały

Nie wyrzucaj za siebie
Dekalogu i rzymskich praw
Tristana i Izoldy
Don Kichota
i Podbięty
nie wyrzucaj
choć tacy niedzisiejsi

Nie wyrzucaj z siebie
strachu Kafki
i pogardy dla lat pogardy

Nie gardź historią
choć kłębkiem jest błędów
i własną słabością nie gardź

To wszystko twoje człowieku
nie zostań przy sobie s a m

Odpusty zupełne
święci niebiescy dzielą dobrotliwie
zaliczkę na targowiska zdrad nowych

stare błędy szkolne
niewczesne żale
i niewygasłe nadzieje

błędne ogniki mamlą utudą
arki płynącej przez sady białe
śladami wiernej pamięci
co nie chce zachodzić rdzę

w muzyce ciszy ścieżki brodate
do pasiek rojnych wiodą
gdzie pszczoły pioletun zbierają skwapliwie
z ostów pejzaży znajomych

kłuje pod sercem miejsce
dotąd zda się tak mocne
twoja pięta Achillesa

na szczęście ją jeszcze
masz

Wiersze z arkusza poetyckiego pt. „U źródła”, który ukaże się w br. **Starym** Zarząd
Wojewódzkiego ZSMP i Klubu Literackiego w Radomiu.



Rys. Zbigniew Kurkowski

PRZY „pajakach” można się narobić. — Najgorsze — twierdzi Genowefa Czachor z Jarszek — jest cięcie słomki. Tnie się, tnie i końca nie widać. A każdy kawałek musi być co do centymetra wymierzony, no i bez żadnych załamań, żadnych zagnieceń, broń Boże. Sama konstrukcja to już drobiazg. Idzie szybko, jak kto ma wprawę.

Pani Genowefa, znana artystka ludowa, twórczyni pięknych plecionek, pisanek, wycinanek, ma wprawę niewątpliwie. Ale „pajaków” na konkurs „Ludowa plastyka obrzędowa i dekoracyjna”, organizowany przez Muzeum Wsi Radomskiej, nie zdążyła przygotować.

— A ten, który wisi u sufitu? — patrzę z zachwytem na misterną „strukturę kryształu” ze słomki. Wydaje mi się dziełem skończonym.

— Przecież nie ma kwiatków — stwierdza zgodnie z prawdą zresztą pani Ania, etnografka z muzeum.

— Ale ładny — mówię.

Okazuje się, że to nie jest argument. Muszą być różnorodne kwiatki z bibułki na krawędziach. Muszą, bo tak każe tradycja. „To ona — pisał dr Stefan Rosiński, szef pani Ani, dyrektor Muzeum Wsi Radomskiej — jest nadal kopalnią motywów znamienych dla sztuki ludowej, dla zasadniczej formy dzieła, w której mieści się własny dorobek wnoszony do ogólnej sztuki, poprzez wzbogacenie tematyczne, przemianę porządku artystycznego, dającego jakąś odmienność całości”. Trochę to mętne, ale jak się dobrze wczyta...

— Mnie też podoba się taki „pajak” bez ozdóbek — mówi pani Małgosia z działu konserwacji, która przyjechała szukać „w terenie” stolarzy dla muzeum. I dodaje konspiracyjnym szeptem:

— Kwiatuszki spaskudzą, prawda? My, mieszczuchy, lubimy ludowość do pewnych granic.

Jeszcze jeden „pajak” wisi w kuchni. Pani Ania mówi o nim fachowo: „tarczowy”, pani Genowefa obrazowo: „żyrandol”. Ten z kolei nie nadaje się na konkurs, bo swoje najlepsze miesiące już przeżył i „kwiatki na nim spłyły”, a poza tym gospodyni chce go mieć u siebie w domu.

Na stole leżą przygotowane pisanki.

— Ładne. Tylko po co lakierem malowane? — pyta pani Ania.

— Nie trzeba? — odpowiada pytaniem stropiona nieco twórczyni. — Ja przedtem robiłam tłuszczem, teraz spróbowałam lakierem, bo wydawało mi się, że lepsza barwa będzie. A naklejanki chcecie?

— Jak już pani zrobiła, to weźmiemy. Ale naklejanki nie występowały na tym terenie.

Są jeszcze palmy na konkurs.

— O palmach wielkanocnych — mówi pani Genowefa — trzeba myśleć już w lecie. Ja z lata zasuszam nadwodną trzcinę i kwiat szczawiu — podstawowe rzeczy, bo „kotki” to tylko dodatek. Z palmą były związane różne zwyczaje. Pamiętam, że mój tata uderzał nią krowy przed pierwszym wypasem, na wiosnę, bo to miało chronić bydło od zarazy, od paraliżu. Ja tego już nie robiłam, ale nadal na przykład obchodziłam całe obejście ze święceniem. I musowo w moim domu kto pierwszy wraca w Wielkanoc z rezurekcji, ogłasza głośnie: „Pan Jezus zmartwychwstał”. Kiedyś w Wielką

Folklor od kuchni

Julita Twardowska

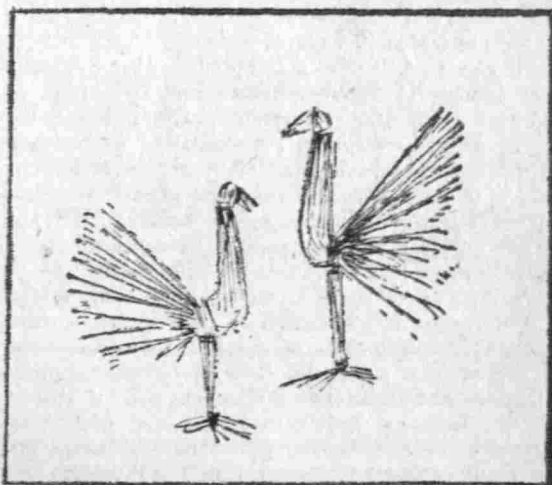
Niedzielę nie wolno było nic robić: ani czesać się, ani golić, ani butów czyścić, ani nawet skrobać kartofli.

— Słyszałam — mówi pani Ania — że w okresie postu zdejmowało się z izby wszystkie dekoracje „pajaki”, korony z kwiatów na obrazy, „rózgi”...

— „Różgi”? Ja nie nazywam „rózgi”.

— A jak? „Kije”?

— Nie, mówimy: „bukiety na kiju”. Tak jak te drugie: „bukiety w glinie”. Zresztą osobnych kwiat-



ków nikt nie robił, bo nijakich flakonów nie było. A w post rzeczywiście zdejmowało się wszystko, żeby na Wielkanoc wnieść świeże. Na zielną jasz-

cze wtedy za weześnie, więc dekorację stanowiły „pajaki”, kwiaty z bibułki. Na obrazy, na okna wycinało się firaneczki z papieru. Przyklejane były na rogach klejem z maki. Były jeszcze wycinanki na ścianach, przeważnie nad oknami i drzwiami. Nie w jednym rzędzie ale rzucane w różnych miejscach. Ja jeszcze sporo takich rzeczy robię dla siebie, dla domu. Zresztą, panie widzą... Tylko że teraz nie bardzo jest z czego.

Dlatego też organizator konkursu zakupił wszystkim uczestniczkom kolorową bibułkę, na rynku niemal zupełnie niedostępną. Bo konkurs mógłby nie dojść do skutku przez brak surowca. Ale o tym usłyszałam już w drodze.

— Słuchajcie, wstąpmy choćby na parę minut do jubilata. Być w Jedlni-Kościełnej i nie zajrzeć do Denkwicza?

Zatrzymaliśmy się przed furką. Mistrz, który niedawno obchodził siedemdziesiąt rocznicę urodzin, właśnie podjechał rowerem. Ani się zdiwili na nasz widok, ani ucieśli.

— Zmęczony jestem — obwieścił na wstępie. — Całą noc rzeźbiłem.

— Coś pilnego?

— Zamówienie z RFN. Wejście, zobaczcie.

Poprowadził do drewnianej chałupy ze słynnym już szyldem: „Stanisław Denkwicz, Rzeźba ludowa”. Drewniana chałupa była kiedyś zwyczajnym domem (póki za nią nie stanął drugi dom, murowany), a teraz jest pracownią. W pierwszej izbie warsztat: kawałki lipowego drewna, narzędzia, puszki z farbami, w drugiej ekspozycja: rzeźby na półkach, płaskorzeźby, dyplomy, medale za osiągnięcia, kronika z pamiątkowymi wpisami.

Oglądamy wszystko po kolei, a mistrz wyciąga skądś stare zdjęcie. Na zdjęciu popiersie Piłsudskiego.

— To ja rzeźbiłem — z uciechą obserwuje nasze zaskoczenie. — Dokładnie pół wieku temu. Byłem wtedy w wojsku. Podobne?

— Do Piłsudskiego jak najbardziej — mówię.

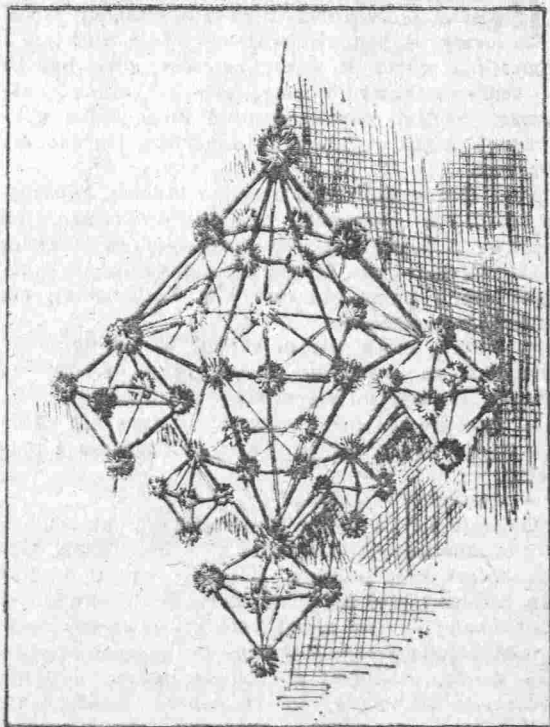
— Całkiem natomiast niepodobne do tego, co stoi na półkach.

— Pokazałem, że różnie potrafie.

Ujawnienie, że wcale nie całe życie rzeźbiło się toporne, grubo ciosane twarze, brylowate postacie o charakterystycznej naiwnej deformacji, jest posunięciem dość ryzykownym. Na szczęście chłopska rzeźba Denkwicza broni się sama i chyba nikt nie podda w wątpliwość prawdziwie ludowego rodowodu tych prac, nie będzie węszył mistyfikacji, a jeśli nawet — to z marnym skutkiem. „Denkwicz jest świetny, bo autentyczny” — powiada dr Rosiński i często cytuje słowa mistrza: „Jak nie porzeźbić dwóch — trzech godzin dziennie, czegoś mi brak”.

Na stole w pierwszej izbie stoi rząd kilkunastu figurek z drewna poustawianych parami (kobieta i mężczyzna w ludowym stroju), od największej do najmniejszej. Każdej z nich nadany został jakiś rys indywidualny, jakiś szczegół wyróżniający ją od pozostałych. Zamówienie z RFN. Nad tym biegał się mistrz dzisiejszej nocy, aż przyblił mocno i nawet nie zdążył się ogolić.

Patrzę na te figurki i myślę sobie, czy ktoś tam w RFN będzie się zastanawiał nad detalami stroju



radomskiego, które ludowy rzeźbiarz starał się tak wiernie oddać. Dlaczego Denkwicz nie chciał pójść na łatwiznę? Ma zamówień więcej, niż sił, by im sprostać, a wciąż słucha jakiegoś wewnętrznego zakazu chałturzenia. Dziwny człowiek i artysta nietypowy.

No, pora do odjazdu, przed nami jeszcze Strykowie Górne pod Zwoleniem. Po drodze słucham opowieści o strykowskich kobietach, które uparły się ratować to, co odchodzi w zapomnienie: dawne ludowe obrzędy, zwyczaje, obyczaje. Najpierw wskrzesiły KGW, potem założyły zespół folklorystyczny, a rej wodzi bibliotekarka, Wanda Kra-wiec.

— Te kobiety potrafią wszystko — mówi z entuzjazmem pani Ania. — Śpiewają, inscenizują różne obrazki jak np. pieczenie chleba czy darcie pierza, umieją szyć, tkąć, a teraz kilka z nich bierze udział w naszym konkursie na ludową plastykę.

Zatrzymaliśmy się przed biblioteką. W dość dużej czytelni zrobiło się rojno jak w ulu. Ich dwanaście, nas cztery. Tyle bab naraz dopiero po jakimś czasie może się porozumieć.

— Mammy wszystko na konkurs, mamy!

— Ja wieniec dożynkowy przygotowałam, Jaśka trochę pomogła, bo to kupa roboty, ponad sto kwiatusków w wieniec. Zrobiłam gwiazdę na cztery ramiona, o, tu stoi, a Jaśka ma jeszcze drugą, na sześć ramion!

Prosimy zobaczyć: pisanki, bukiety, girlandy, strój na firanek, wianuszeki świętojańskie... A to jest przybiór dla koni weselnych. Przy uździe się dekorowało, do kantar.

— Skaczący pajacyk? To Bikowa zrobiła. Zmyślna zabawka, nie?

— Mammy różne zabawki na choinkę, łącznie z aniołem, którego się dawano na czubek choinki.

— A pani Pyciarzowa jeszcze coś obiecała zrobić. Już nie na wystawę — konkurs, ale dla muzeum.

— Wiem, wiem! Te męskie majtki z kłapą. Uszyłabym już, ale wstyd było, bo się kobiety śmiały.

Pani Ania przekonuje o konieczności skompletowania stroju, pani Pyciarzowa docenia potrzeby muzeum i chyba w końcu rekonstrukcja majtek z kłapą dojdzie do skutku. Jeśli tylko pamięć nie zawiedzie.

— No, kobiety zaśpiewajmy coś! Rogalina, solistką jesteś, zaczynaj! Najpierw „*Stoi oset koto drogi, nigdy nie tykany, rozmaryja, pivojnija, różę przepiatany*”. — To stara piosenka z tych okolic. — mówi Wanda Krawiec, bibliotekarka, nazywana przez wszystkich Danusia. („Bo jak my ją na wychowanie wzięli, tak od małego była dla nas Danusia. Siedem lat miała, kiedy my o metrykę musieli się starać i wtedy się okazało, że po prawdzie to ona Wanda” — wyjaśnia Pyciarzowa).

Śpiewają. Rogalina ma głos jak dzwon.

— A teraz coś własnego! No? „*Nasze chłopcy rozmawiali, że ich baby oszalały. Krowy ryczą, świnię kwieją, a one piosenki ćwiczą*”.

— Mnie mąż pytał: jak ci się tak chce na stare lata? A ja mu na to: urodziłam sześcioro dzieci, jedno wprawdzie zmarło, ale pięciorko wychowałam i już trójkę wnucząt mamy, teraz se odbije, bo ty zawsze kawaler — śmieje się Kazimiera Drózd.

— Ja mam gospodarkę, czworo dzieci i bibliotekę, ale na trenowanie w zespole zawsze czas znajdę. Trzeba tylko chcieć — odwołuje się do swoich doświadczeń Wanda-Danusia. — Byłam w siódmym miesiącu ciąży, kiedy na przeglądzie występowałyśmy. Miała Magdusia dwa miesiące, jak pierwszy raz mleka krowiego jej ugotowałam, dał mąż i ani biegunki dziecko nie miało, ani żadnego bólu brzuszka.

— Trzeba się czasem od głowy odbić — sentencjonalnie stwierdza Rogalina, a ja tę złotą myśl skrupulatnie zapisuję, bo nawet przeczytać miło.

Jest ich siedemnaście w zespole, nie licząc męskiej kapeli. Same planują repertuar, opracowują różne scenki — obrazki rodzajowe, same reżyserują, robią scenografię, same piszą teksty, gdy zajdzie potrzeba — a Bikowa jest w tym najlepsza. Nie mają żadnego mecenasa: ani od spraw merytorycznych, ani od finansów. Może to i lepiej?

Nie wiem, czy gdyby przeszły na system bardziej zorganizowany, miały zamiast swoich spotkań stałe zajęcia z instruktorem, przyjmowały uwagi różnych znawców folkloru — pozostałyby tak naturalne i tak spontaniczne w pomysłach.

Na estradzie potrafią nie tylko improwizować dla zatuszowania jakiegokolwiek wpadki, w ogóle umieją mówić „poza tekstem” („bo przecież to wszystko z życia”). Ale estrada nie wydaje im się jedynym miejscem występów. Dlatego przychodzą na wesela, na chrzciny. Jak dawniej bywało. Staną w tych swoich przediochach, zapaskach, burkach, zaskoczą przygotowanymi w tajemnicy przyspiewkami i same się tym bawią. Po co im mecenas?

Zawsze miałam wątpliwości co do potrzeby ingerowania w samorodną twórczość i ustawiania

artystów, żeby byli bardziej „ludowi”. Pamiętam, jak pewien „ekspert od folkloru” radził wiejskiemu rzeźbiarzowi: „Rzuć pan te proporcje, przecież ich nie ma w rzeźbie prymitywnej. A już broń Boże żadnych eksperymentów z pokostem. Prawdziwy twórca ludowy nigdy tego nie robi”. Wiejski rzeźbiarz, któremu dotąd wydawało się, że jest prawdziwym twórcą ludowym, miał tylko jedną odpowiedź: „Ale ja się chcę rozwijać”.

Wszystko jest w ruchu, co już przed wiekami zostało stwierdzone. Wprawdzie we wsi, do której jeżdżę każdego lata, stary Jura do dziś uważa broń za szczyt mechanizacji w swoim gospodarstwie, nadal młóci cępem, softysowa nadal wyciąga z komórki odziedziczoną po matce kierzankę, by ubić masło na cały tydzień i obojgu ani na myśl nie przyjdzie, że pracują na muzealnych eksponatach. Dla nich to są wciąż przedmioty użytkowe.

Alé dwadzieścia kilometrów dalej w dół Pilicy, w niedużej wiosce pod Nowym Miastem zobaczy się sytuację akurat odwrotną. Młody inżynier rolnik postawił dom, który nowoczesnie umeblował, a jeden pokój postanowił urządzić w stylu wiejskim. Powstała z tego nie tyle izba wiejska, ile izba pamięci. Drewniane koło od wozu przerobione zostało na żyrandol, w olbrzymim saganie stoją zasuszone trzciny i kwiaty, na ścianie wiszą zardzewiałe nożyce do strzyżenia owiec, obok rzeźbiona rozpinka tkacka i przesiłca.



Rys. Alina Włodars

Młody inżynier nie jest „przeplacowanym” na wieś mieszcuchem. On wyrósł w tej wsi i tu wrócił. Z rozebranej chałupy rodziców ocalił przedmioty, które dziś mają dla niego już tylko dekoracyjną wartość. Cepeliowską. I taka też może być naturalna kolej rzeczy.

JULITA TWARDOWSKA

Saga rodu Kurozweckich

Barbara Wachowicz

9 LIPCA 1888 roku wyjechał Zeromski z Kiele do Kurozwek. „Kilkadziesiąt chat zbudowanych w czworobok, chat nie włościańskich, gdyż mają staromieszczańskie portyki o oryginalnie (...) rzeźbionych słupach, studnia na środku rynku, bożnica, kościół i klasztor „szarytek”. Tak zobaczył tę osadę na pograniczu Sandomierskiej i Kieleckiej ziemi. Przyjechał do brata ciotecznego, Józefa Saskiego, który był rzadczą majątku hrabiego Marcina Popiela.

„Trzeba (...) przemaszerować po białych mostkach wygiętych (...) — aby ujrzeć w całej pełni pańskie oblicze pałacu. Na szczycie jego bieleją herby (...).”

Opis z „Dzienników” ulegnie po latach literackiej metamorfizie w „Popiołach”. Białe ściany „przeglądające przez precudnie plecioną koronkę brzoź płaczących”, ściemniają i wzniosłą się groźnie przed parafianinem z Tarnin. Stanie Rafał Olbromski

przed rezydencją księcia Gintuła w Grudnie: „Pałac, przebudowany na fundamentach starego zameczyska, otaczały zbiorniki spleśniałej wody. Mury jego były kilkutokciowej grubości, szczególnie na dole, gdzie pozostały izby sklepione jak w więzieniu i okna zakratowane. Grube, ukośne skarpy, niby potworne nogi, grzęzły w podstępnych wodach starej, głębokiej obmurowanej fosy”.

Litosierne dzikie wino, szcerwienie pod jesień, obrastało czerni zdrapanych ścian dumnego pałacu, kiedy go zobaczyłam w zaawansowanym upadku. Był rok 1967. Na półkolistym frontonie kruszały herby Sołtyków. Arkady krużganków, owalnie wygiętych, przecinały deski na krzyż zabite.

„Osobom obcym wstęp na teren budowy wzbroniony”. Przeleźliśmy pod jakąś dechą, z osobą, nieobcą, dozorcą pałacu, Kazimierzem Zielińskim. Buchnął

przykry zapach starego, zaniebanego, opuszczonego wnętrza...

— Opowiadał ci brat mój cudeńka o zamku. Jaki był pokój króla. Jaka sala czerwona. Jakie drzwi w same rzeźby... Nieraz się marzyło, żeby to móc zobaczyć chociaż. A jak to teraz do nas należy niby wszystkich — to co? Jedna ruina i smutek.

Trochę ludzie mieszkali. Potem wynieśli się, bo kto to opali. Wodę w fosie spuścili, bo uchlał się jeden z drugim, wpadł, rżęsa oblaź. A tu się zamek bez tej wody wali... Dopiero krzyk. Przyjechali. Oglądają, naradzają, stukają, wachają... No i niby wstępnie zabezpieczyli... Mają odbudowywać...

W roku 1973 Ministerstwo Kultury i Sztuki ogłosiło akcję „Pałac na sprzedaż”. Na wystawie był też, dziwnie powabnie i biało prezentujący się „zespół pałacowy Kurozweki” z adnotacją: „Czas powstania — XIV, XVII, XVIII w.; Styl — wczesny klasycyzm (pozostałości gotyckie i renesansowe) (...) proponowany rodzaj zagospodarowania — dom pracy twórczej, ośrodek plenerów malarskich, „wczasy w siodło” (...) konieczny zakres robót — remont kapitalny, wzmocnienie fundamentów i konstrukcji murów, odwodnienie i odgrzybienie; orientacyjny koszt robót — 12 mln zł; historia — pałac Sołtyków, przebudowany ok. 1770 roku, zapewne wg projektu Ferdynanda F. Naxa, z zamku Kurozweckich, pochodzącego z drugiej połowy XIV wieku”.

„Róża biała w czerwonym polu”

Jest legenda jak nastali tu rycerze z rodu Porajów, herbu Róża. Podczas polowania w puszczy nieprzebytej zablakał się jeden z drużynnikami. Dopieroż kura donośne pianie naprowadziło ich do chatki zacnego smolarza. Smolarz ugościł czymś miał utrudzonych myśliwców, a rycerzowi tak podobala się ta wyniosła, lesista skała nad szumiącymi borami królująca, iż miasto postanowił tu założyć, a od kura wezwania — Kurozwekami je nazwać.

Niemają ambarasu to rdzenie polskie linie przysporzy la-

cińskim pisywaczom dokumentów.

Będzie tedy w kodeksach małopolskich występował w roku 1246 Comes Mstigneus de Kuroswansch (czyli Mścigniew z Kurozwęk), będą akta klasztoru w Zawichoście wymieniać w 1257 roku posiadłość Curozvechi a w 1262 Curozvanci... U Długosza w „Kreslao de Kuroswanky” domyślać się należy Krzesława z Kurozwęk.

Skąd wiódł się ów ród Porajów, Kurozwęk założycieli? Też z legendy? Ale jakże pięknej. I rzetelnie przez Długosza potwierdzonej. Otóż, gdy biskup praski, Wojciech, na znak protestu przeciw złym obyczajom rodaków schronił się w klasztorze na Monte Cassino — Czesi „niezdolni osiągnąć swą zemstą nieobecnego (...), naprzód pięciu braci ś. Wojciecha rodzonych (...) srogim skatowyanych męczeństwem zabijają, a potem wszystkie ród jego męskiej i żeńskiej pici krwią niewinną broczą”.

Papież żąda od Wojciecha powrotu do Pragi, albo wyjazdu na misję do pogan. Wojciech wybiera to drugie. Jedzie do Prus. Przez Polskę. Tam czeka nań — „szósty z braci rodzonych imieniem Poraj (...) na dworze Bolesława księcia Polskiego, syna Mieczysława”.

Gdy święty Wojciech ginie, przeszyty włócznią Prusaka — tylko Poraj „jeden z całego domu i plemienia męża świętego za Opatrznością Bożą ostał się przy życiu, ażeby ród tak zacny na ziemi nie zaginął. Gdy potem Bolesław księżę Polski widział go w ustawicznym żalu i smutku, oplakującego zgon braci i własną dolę (...) ze zwykłą sobie dobrocią pocieszając młodzieńca” ofiarował mu „znaczne w Królestwie Polskim dziedzictwa i posiadłości (...), przygarnął i umieścił w liczbie poddanych swoich i rycerskim poczęcie szlachty polskiej. (...) urosło to potomstwo męża Bożego w ród wielki i szeroko rozgałęziony, który zowią Różykami; ma ten ród za godło różę białą w czerwonym polu, a Poraj za miano”. Zaś od nazwy najpotężniejszej włości, przez Chrobręgo ofiarowanej pisze się — z Kurozwęk. Albo — Kurozwęccy.

Imię chorążego sandomierskiego Zawiszy z Kurozwęk, spotykamy po raz pierwszy na dokumencie nadania prawa magdeburskiego miastu Kazimierz, które Stefan Zeromski nazwie „Murowaną legendą o wielkim marzycielu, o mocnym władcy, o potężnym rozumie i niezłomnej woli”. „Młotwał pokój, prawdę i sprawiedliwość. (...) za jego czasów żaden z potężnych panów lub szlachty nie śmiał biednemu gwałtu uczynić...” Tyle Janko z Czarnkowa, podkanclerzy miłujący Kazimierza Wielkiego i u boku jego przytomny.

Pisze Henryk Samsonowicz: „...niewątpliwie pozytywną cechą osobistą króla Kazimierza była umiejętność doboru ludzi (...) Rzecz ważna — obok Kazimierza nie wyrastali pochlebcy, ludzie robiący karierę na odgadywaniu myśli swego pana. Otoczenie monarchy stanowili politycy, realizujący plan przebudowy państwa”.

Obok Kazimierza wyrosli — Dobiesław z Kurozwęk i jego dwaj synowie — Krzesław i Zawisza.

Panowie z Kurozwęk u tronu

Imię Dobiesława. Kurozwęckiego spotkamy na edykcje powołującym 12 maja 1364 uniwersytet krakowski, potem Jagiellońskim zwany, spotkamy też na statucie z Wiślicy (1346) — regulującym wymiar sprawiedliwości, znoszącym odwieczne prawo pozwalające zagarniać panu mienie bezdzietnie zmarłego chłopu. Właściciel zyskuje dostęp do sądu monarchy. Władza pana nad nim przechodzi pod nadzór.

Gdy listopadowego dnia 1370 roku z chrzestem łamano proporcje nad marami króla, owitego w całun, złotem przytłakany — „tak głośne rozległo się zawołanie, tak wielki płacz i lament wszystkich ludzi” (Janko z Czarnkowa), „że nie tylko katedra krakowska, ale całe miasto Kraków brzmiało skargami (...) Raz po raz padały z różnych stron pytania, co będzie potem”. (Długosz).

Potem Corona Regni Poloniae rozłamuje się na dwa stronni-

ctwa. Wielkopolską opozycję, popierającą prawa do tronu księcia Kaźka Szupskiego. I grupę panów małopolskich, stronników Ludwika Węgierskiego — siostrzeńca Kazimierza Wielkiego.

Prymat wśród Małopolan obok Spytka z Meisztyna i Dymitra z Goraja dzierży rycerze z Kurozwęk. O Dobiesławie powiada Szymon Starowolski: „W rycerskim kunszcie wyćwiczony, skorą w odczynie w senacie Polskim osiadł, siła dla niej tak w pokoju, jako i na wojnie pracował”. O jego synu — „tak zaś był przypadł do serca królowi Panu Zawisza, że pod niebytność swoją w Polszcze wszystką administrację królestwa” jemu powierzył. Został Zawisza z Kurozwęk, kanclerz i biskup krakowski — regentem.

W 1380 roku wszedł obok ojca Dobiesława, jako „supremus consiliarius” do czteroosobowego kolegium, rządzącego państwem. Był duszą stronnictwa andegaweńskiego, zabiegającego o sukcesję polskiego tronu dla córek Ludwika. Historycy uznają Zawiszę z Kurozwęk za twórcę aktu koszyckiego, zawartego 17 września A.D. 1374, wielce dla Rzeczypospolitej korzystnego, świadczącego, że „Kurozwęccy nie byli narzędziem w ręku dynastii, ale uzyskali korzyści dla swego społeczeństwa”. Oczywiście społeczeństwa „barnów, rycerstwa, nobiliów”, którym król Ludwik zniósł podatki (z wyjątkiem groszy od łanu), w zamian za uznanie jednej ze swych córek dziedziczką korony polskiej. Nie poszło to gładko. Na trzecim zjeździe w Koszycach, latem 1379, dopiero zamknięciem bram miasta zmusił Zawisza z Kurozwęk duchowieństwo i opornych panów wielkopolskich do ostatecznej akceptacji Andegawenek.

Ale dnia 15 października 1384 roku, uwieńczenia swych zabiegów — uroczystej koronacji tej, której „nieba użyczyły w darze tak cudną i wdzięczną postać jakiej żadne nie wydały wieki” — Jadwigi, córki Ludwika, już „wicekról” z Kurozwęk nie dożył.

Jego konterfekt namalowany kolorytem dostojnym, wypadnie skorygować. Miał bowiem Zawisza śmiertelnego wroga. Odebrał

mu podkanclerstwo metoda brzydką, acz każdej epoce właściwą. Donosem. Że będąc zwolennikiem księcia Kaźka, usiłował skraść i przekazać temu wnukowi Kazimierza Wielkiego insygnia królewskie. Nieszczęściem Zawiszy stał się fakt, że jego przeciwnik świetnie władał piórem. I zemścił się najokrutniej: przekazał potomności taki obraz kanclerza-biskupa, że i po sześciu wiekach włos staje na głowie.

Był to Janko z Czarnkowa. Syn wojta, całym sercem przywiązany do swej rodzinnej Wielkopolski, wielbiciel żarliwy Kazimierza Wielkiego, towarzyszył jego ostatniej w życiu myśliwskiej na Sandomierszczyznę wyprawy i śmierci, po denuncjacji Zawiszy utracił wszelkie dostojenstwa, przesiedział trochę w więzieniu, trochę na wygnaniu. Do Gniezna powróciwszy napisał swą „Kronikę”, której stulecia zatracili koniec i początek, ale zachowały lata 1370—1384 z opisem dokumentnym „wstępnego życia i przesznych mów” Zawiszy Kurozwęckiego.

Dowiadujemy się więc, że biskupem już będąc „cugie swawoliu popuścił”, że żył w przepychu, że „konie cugowych, rzedów na nie i szat dla ubrania swego ciała mnóstwo nadzwyczajne posiadał”. Że nie przepuścił żadnej białce.

Mściwe pióro Janka z Czarnkowa sprawiło, iż wspominając Zawiszę z Kurozwęk, pamięta się przede wszystkim nie dostojne działania męża stanu, lecz widzi się jak jego eminencja sapiąc włazi na słoń siana, ujrzawszy „pięknego lica córkę jakiegoś biedaka”. I z huktem pada, przytoczony drabiną, przez wieśniaka-ojca odepchnięta.

Ojciec Dobiesław z bratem Krzesławem — kasztelanem sandomierskim, sprawiają mu pogrzeb „w przepychu kolas i koni”, które odziane purpurą biją kopytami o posadzkę wawelskiej katedry. Nocą słysząc jeszcze tętent. Ale to już szaleją diabły, po Zawiszową zleciawszy się duszę z okrzykiem: „pojedziemy na opsi!” (na rozpustę!).

Na tym wystawnym pogrzebie (skrzywił się na jego świecką pompę Długosz), nie kończy się wszakże „rola polityczna panów

z Kurozwęk” (że użyje tytułu rozprawy historycznej, rodowi temu poświęconej).

Dobiesław i Krzesław będą czynnymi świadkami wjazdu ze „wspaniałą królewską wyprawą w złocie, srebrze, naczyniach i szatach kosztownych, klejnotach, purpurach i jedwabiach” — „zacznej i cnotliwej” królowej Jadwigi. A gdy w rok po jej koronacji — w 1385 niespodziewanie przybył do Krakowa kandydat do jej ręki Wilhelm — przyjazd ten, jak powiada Długosz „zmieszał niepomatu i zakłopotał Dobiesława z Kurozwęk (...), ażeby układy z Jagiełłą, księciem litewskim, rozpoczęte, nie spełzły bez skutku...”

I onże „Dobiesław z Kurozwęk, kasztelan krakowski, podówczas zamek krakowski dzierżący w swej straży i sprawujący wielkorządy, Wilhelmowi, księciu Austrii, nie dozwolił bywać w zamku”.

„Sromotnie wypchnięty” przez Kurozwęckiego Wilhelma „wymknął się potajemnie” z Krakowa, a w kilka miesięcy potem — u progu roku 1386 przybył Jagiełło. Królowa „uprzedzona o jego szpetności” wysłała na spotkanie „jednego z najzaufañszych dworzan”, by się też dobrze litewskiemu przypatrzył księżciu. Tym dworzanie (którego misji się domyśliwszy Jagiełło... „wziął ze sobą do łóżni” — „aby zaś dokładniej się przypatrzeć nie tylko jego urodzie, ale i budowie pojedynczych ciała części”) — był wnuk Dobiesława, syn Małgorzaty Kurozwęckiej, Zawisza z Oleśnicy.

Do końca życia trwa Dobiesław z Kurozwęk u boku królowej Jadwigi. Asystuje z satysfakcją przy upokorzeniu Gniewsza z Dalewic, przyjaciela Wilhelmu, „plotkarskiego i świągotliwego”, który usiłował „nasiać niezgody” między Jagiełłą i Jadwigą, „fałszywie łącząc potwarzając tę niezwykłą, piękną, mądrą i cnotliwą” dziewczynę — królową (miała wtedy piętnaście lat) — za co „musiał schyliwszy grzbiet wleźć pod ławę”, by „obyczajem psów odszczekać swoje kłamstwo”. Głośno.

„Stary pan z Kurozwęk” — jak nazywają historycy Dobiesława, przeżył obydwu swych

synów, umierając w 1397 roku. Łos oszczędził mu żaloby po królowej.

„Gwiazda”, która „ogniem się stała Litwinów i Polaków”, jak mówi napis nagrobny, zmarła w dwa lata potem.

Annę Cylejską — wnuczkę Kazimierza Wielkiego, wybraną na Jadwigę następczynią, wita jesienią 1400 roku na granicy, nowy dziedzic Kurozwęk — Mikołaj, wnuk Dobiesława. (Anna zresztą nie mówi ani słowa po polsku i jest tak paskudna, że Jagiełło odwieka i ślub, i koronację!)

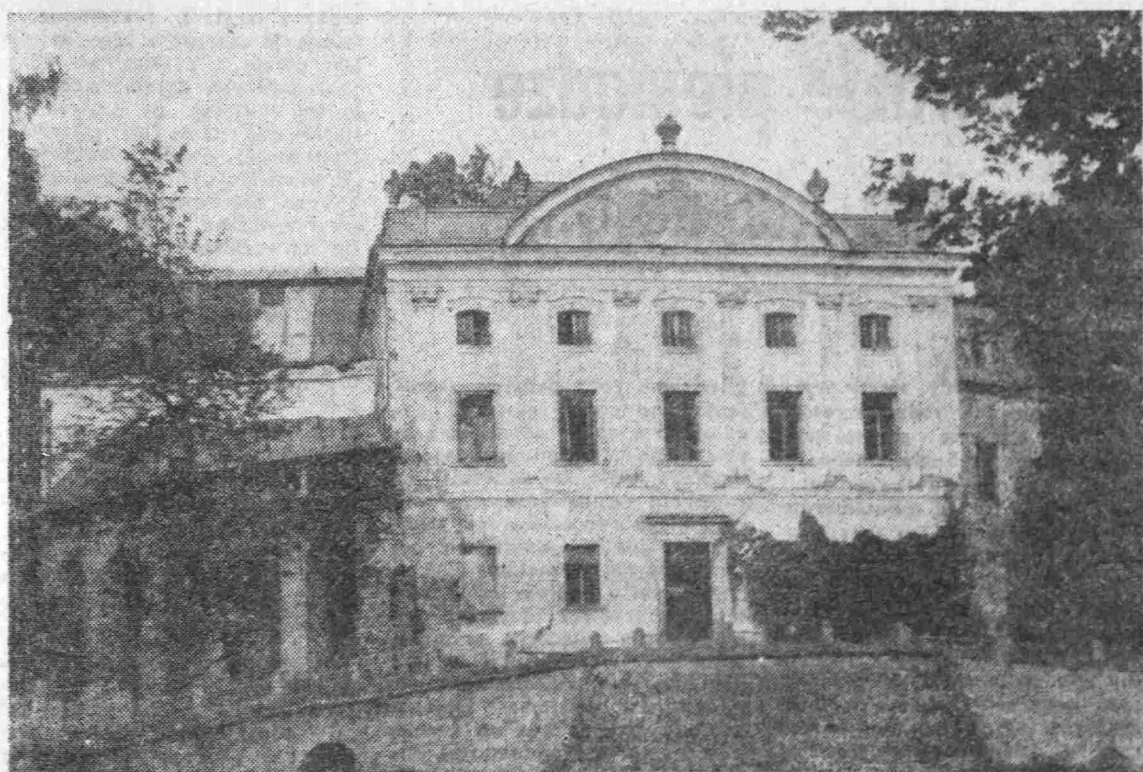
W marcu 1400 Mikołaj świadczy na dokumencie radomskim, zatwierdzającym prawa i przywileje Wielkiego Księstwa Litewskiego. Od tej chwili datuje się jego dożgonna przyjaźń ze stryjczynym bratem Jagiełły — wielkim księciem Witoldem, synem Kiejstuta i westalki Biruty, któremu (jak mówi kronika rumska) „rada była cała ziemia litewska i rumska”.

„W ostatnim dziesiątku lat XIV w. przyszedł się zdawała gwiazda Dobiesławowej rodziny” — pisze autor rozprawy „Rola polityczna panów z Kurozwęk w XIV wieku” — „Wskrzesa ją na nowo, by długo utrzymać, syn Krzesława, Mikołaj (...) ten sam „magnificus vir”, który pod Grunwaldem prowadził rodową chorągiew Porajów”. Ostatni odciłek rozprawy tymi słowami się kończący, ukazał się w „Miesięczniku Heraldycznym” z datą: „Warszawa, wrzesień 1939”.

Zmierzch rodu

Mikołaj z Kurozwęk (1370—1438), syn gospodarnego, spokojnego Krzesława, zwany Białucha, wojewoda sandomierski, dyplomata i wódz, powołany przez Jagiełłę do rady wojennej przywiesił po Grunwaldzie swą pieczęć do aktu pokoju z Krzyżakami w 1411. W 1423 będzie koronnym świadkiem na procesie, jaki wytoczył im Poleka przed legatem papieskim, w 1433 zmierzy się z nimi jako dowódca pospolitego ruszenia Małopolski i Wielkopolski, w zastępstwie sędziwego króla...

Ten „przychylnością mierząc czyny i zasługi swego rycerstwa” nagradza Mikołaja i za Grun-



Zamek w Kurozwękach opisanych jako Grudno w „Popołach”. Tu była siedziba możnych i wiele w Rzeczypospolitej znaczących rodów — Kurozwęckich, Lanckorońskich, Soltysów, Popielów. Dziś raczyliśmy opowiadać tego zamku historię.

Fot. BARBARA WACHOWICZ

wald, i za całą działalność polityczną sowiecie.

Wielki spadek po Mikołaju o-dziedziczył jego bratanek, Krzesław, piszący się „z Grzybowa i Kurozwęk”, kasztelan lubelski, ostatni Małopolanin sprawujący funkcję starosty generalnego wielkopolskiego. Właściciel wsi dwudziestu i zamku jednego — w Kurozwękach. Bogacz, który pożyczal... Jagielle nie tylko pieniądze, ale nawet płaszcze i futra na podarki, a kosztowności na potrzeby wojenne Jagielly synowi — Kazimierzowi Jagiellończykowi. Zmarł u schyłku 1458 roku, zostawiając sześciu synów, zwanych od jego kasztelanii Lubelczykami. Kurozwęki przypadły w spadku najmłodszemu i najmniej ciekawemu, Mikołajowi, o niezbyt pojętym przydomku — Wrzód. Ten się procesował, za-jeżdżał, uprawdzał poddanych, w 1472 sprzedał Kurozwęki najstarszemu bratu Piotrowi (marszałkowi i podskarbiemu koron-nemu, zaufanemu Jana Olbrach-ta, fundatorowi klasztoru w Ku-rozwękach), potem się z nim wa-

dził o skarb, ukryty w murach zamku Kurozwęckiego przez Mi-kołaja „Białuchę” i przegrał.

Ale że Piotr (zwany dla od-miany Piorunem), zamieszany w fałszowanie monet, zbiegi i zma-ri bezdzietnie, Kurozwęki na krótko skonfiskowano (1499), potem na interwencję możnych i wy-soko postawionych braci, szybko oddano (1502) i w 1503 roku Wrzód panował już tam znów niepodzielnie. Dla odmiany pro-cusując się z rodzonym synem Adamem, który najechał tatusia, tegie łupy zagarniając, za co zo-stał skazany na banicję. A tatuś co rychlej rozszedł się z żoną — piękną Ewą z Rytwian, wszakże skrzętnie zachowując sobie jej Rytwiany, Polaniec i jeszcze 37 wsi w Małopolsce.

Jako ich protoplaści — tak i szesnastowieczni bracia Kuro-zwęcscy, stoją z oddaniem przy królu.

Stanisław — duchowny, absol-went Akademii Krakowskiej, któremu Kazimierz Jagiellończyk powierza stanowisko pierwszego

sekretarza po szarej eminencji Jagiellowych czasów — Zbignie-wie Oleśnickim. Dobiesław — wojewoda lubelski i sandomier-ski, także student Almae Matris Cracoviensis, rosły, silny, urodzi-wy, dworzanin, dyplomata „zręcz-ny, sztuki wymowy wielce świad-omy”, który posługując na sejmie praskim w 1471 roku, wygłosił tak porwijącą mowę o jagielloń-skich prawach do czeskiej koro-ny i słowiańskich związkach o-bydwu narodów, że zdobył nią tron dla Władysława Jagielloń-czyka!

Wreszcie — Krzesław, kanclerz, wielki koronny, którego współ-cześni nam historycy zwą „pra-wą ręką Kazimierza Jagielloń-czyka”, towarzysz ostatniej wy-prawy króla na Litwę i świadek jego śmierci w Grodnie, wiosną 1492 roku...

Razem z tym zgonem zmierz-cha świetność Polski. Karleje i zamiera ród Kurozwęckich.

□

BARBARA WACHOWICZ

Wprowadźcie pieniądze szczęścia nie dają...

Kulturze nigdy się nie przelewano i w rodzinie resortów zawsze pozostawała krewniakiem, którego trzeba otaczać opiekuńczym ramieniem i wspomagać. Już to spontanicznie szczerym datkiem, już to rzuconą z wielkopańskim gestem złotówką, już to hojnością pobudzaną administracyjnym nakazem. Nastąpił kryzys, z nim ogólna bieda, która najbardziej nadojdała tym, co mieli najmniej i którym zawsze brakowało, więc w kulturze zaczęło okropnie skrzeczeć. I dziś, znacznie częściej, aniżeli przed niewiele jeszcze laty — rozważania na temat jej kondycji sprowadzają się do spraw elementarnych i są wyrażane językiem bliższym księgowemu niż humaniście; obydwa są strażnikami wartości, choć ten drugi nieco wyższych, wznoszących się ponad przyziemność liczydeł, niechby nawet elektronicznych.

A tu dziś taka proza i pospolitość, że trzeba mówić o pieniądzach, o materialnym zapleczu i oparciu dla kultury, bez których grozi jej uwiędnięcie albo komercjalizacja, co prowadzi różnymi drogami, ale do tego samego smutnego końca. Trzeba mówić o pieniądzach, bo się wykruszyły zastępy mecenasów, bo obowiązki alimentacyjne wobec kultury nader często pozostają martwą literą. Powstała tak zwana złożona sytuacja: dawni mecenas z przekonania może i dziś chciałby sięgnąć do sakiewki, ale tam często pustki, zaś sprzymierzeńcy muz z przymusu znaleźli się w dogodnej dla siebie sytuacji i mogą wziąć z nimi rozwód, bo jak kiedyś dawać musieli tak dzisiaj tylko powinni, więc w ramach samostanowienia nie dają.

Z grona mecenasów ubył najmożliwszy: związki zawodowe, które łożyły na kulturę prawie

tyle samo co i państwo reprezentowane przez resortową administrację, co się odnosi do czasów CRZZ, niechlubnej sławy skądinąd. Ubył, ale wcześniej niż z dniem wprowadzenia stanu wojennego zawieszającego związki, bo już w miesiącach październikowych; pamiętamy, jak w imię troski o interesy załóg, tu i tam związkowcy domagali się zaprzestania świadczeń na zakładowe placówki kultury, bo jak państwo chce kulturę rozwijać, to niechaj ono płaci. Obecnie przeszły te placówki na garnuszek zakładowego funduszu socjalnego stanowiąc dla niego na pewno obciążenie, ale czy jednak dostateczny powód, aby wypierać się jakichkolwiek powinności wobec na przykład domu kultury (co jest źle powiedziane, bo przecież nie chodzi o zobowiązania wobec martwego obiektu, a wobec fabrycznych załóg, czego dostateczną świadomość ma — powinien mieć — każdy trzeźwo myślący ekonomista, który musi przyznać, że wydatki na kulturę, acz nieprodukcyjne, są na pewno opłacalnym inwestowaniem w człowieka).

Można przytoczyć wiele przykładów świadczących o silnej tendencji do pozbywania się placówek kultury przez zakłady pracy; mówimy o tendencji, na szczęście nie w każdym przypadku spełnionej, co nam pozwala na odrobinę optymizmu i stwierdzenie, iż zakładowa samodzielność i „reformatorskie” poszukiwania zysku przybierające wobec kultury formę sknerstwa — poczyniły jednak mniejsze spustoszenie, aniżeli sądzić by można. Bez ofiar się nie obyło i na placu boju padło w województwie kieleckim trochę — no, kilkadziesiąt — pomniejszych klubów i świetlic będących zakładowymi placówkami kultury bardziej z nazwy, lokalu i statystyki, aniżeli z faktycznej działalności. Oczywiście, wszystkiego szkoda, ale w tej biedzie trzeba

szukać jakiegoś pocieszenia i można je czerpać z tego, że nie jest gorzej i z tego, że kilka znaczących batalii zakończyło się wiktoria, co oznacza, że status quo udało się utrzymać. Najtrudniej poszło z zakładami „Predom-Mesko” w Skarżysku, którego kierownictwo wykazało nieprzejednaną wolę skupienia się na sprawach produkcyjnych wyłącznie, czemu wadzi utrzymanek, którym jest ZDK, a więc niech go sobie weźmie w pacht kulturą. W zwadzie mediował wojewoda, interweniował resort, Wydział Kultury UW wyasygnował 5 mln zł (tj. 40 proc. rocznych kosztów związanych z działalnością ZDK), obiecał więcej, dom kultury pozostał zakładowy. No więc w zakładach pracy zapanała przedwczesna radość, którą wywołało utworzenie Funduszu Rozwoju Kultury, bo sądzono, że on wszystko przejmie...

Trzeba otóż powiedzieć z melancholią, że uprawnienia wypływające z tego czy tamtego „S” obnażyły w sposób bezwzględny i okrutny rzeczywisty stosunek do kultury i jej potrzeb. Ale nie tylko w wielkim przemyśle, także i na wsi. Wprowadzie „Ruch”, który został ze swoimi klubami na łodzi, utworzył przy swoim Zarządzie Głównym specjalny fundusz na wspomaganie swoich placówek — snadź wystarczyło go tylko na rok (w ub.r. „Ruch” sfinansował samodzielnie działalność klubów), bo już w tym roku zwrócił się o wsparcie do Wydziału Kultury UW wnosząc o dofinansowanie w niewielkiej kwocie 30 mln zł. Natomiast gminni menadżerowie spod znaku spółdzielczości patronującej Klubom Rolnika — nader o choczko skorzystali z możliwości, aby uwolnić się od balastu kultury. Owszem, nie wszystkim sponsorom wiejskiej kultury wiedzie się jednakowo, ale mimo wszystko rodzi się w człowieku przekorna tęsknota za czasami arbitralnych decyzji wojewódzkiej centrali załatwiającej odgórnie, co należy. Być może, nie musielibyśmy odnotować, że ponad dwadzieścia klubów Rolnika zamknięto w ostatnich dwu latach na wsi kieleckiej.

Kryzys zdziesiątkował zastępy mecenasów wykazujących swą wspaniałomyślność nie tylko w odniesieniu do obszarów upowszechniania, ale i wobec twórców, którzy w skrajnych przypadkach zostali po prostu bez

źródeł utrzymania. Bodaj najbardziej dotkliwie odczuli to plastycy. Zakłady pracy — znów do nich wracamy — popadły w ascetyczną wręcz powściągliwość i nie ujawniają żadnych potrzeb na usługi artystów, więc w Pracowniach Sztuk Plastycznych portfel zleceń cieniutki, więc wydatki na dzieła sztuki kupowane kiedyś na targach plastycznych i wystawach — przestały być uwzględniane w fabrycznych preliminarzach, zostały potraktowane jako zbędny luksus. Zawodzą nawet tacy wypróbowani mecenasi jak Kieleckie Zakłady Wyrobów Papierowych — hojny współorganizator pienerów rzeźbiarskich. Zrobiło się po prostu bardzo chudo.

W tej sytuacji mecenat państwowy pozostał nieledwie w osamotnieniu i wobec rzeczywistości trudnych zadań. Akcja ratunkowa trwa, administracja aktywizuje się jak nigdy. Powstał Państwowy Fundusz Zamówień Plastycznych, którym zawiadują PSP i tym kanałem płynie jakiś grosz do kieszeni plastyków. Wydział Kultury UW przeznaczył na zakupy dzieł sztuki milion złotych. I ciągle trwają poszukiwania rozwiązań oraz inicjatyw mogących złagodzić skutki kryzysu odczuwane przez uprawiających działalność artystyczną. Debataje się w Kielcach nad projektem regionalnego funduszu stypendialnego utworzonego ze środków Funduszu Rozwoju Kultury i będącego instytucją niezależną od funduszu staszycowskiego (a propoz: od dwu lat na „staszycowskie” konto wpływają pieniądze tylko od Komitetu Organizacyjnego Dni Prasy i Akcji Społecznych przy Kieleckim Wydawnictwie Prasowym, bo chyba nie należy liczyć wpłaty — przemilczmy, z jakiego zakładu pochodzącej — wysokości pięciuset złotych. Ten sam mecenas — nasz wydawca — ufundował całkiem przyzwoite wadia dla kieleckich autorów — uczestników rozpisane przed pół rokiem konkursu literackiego).

No cóż, w dobrym towarzystwie nie powinno się mówić o pieniądzach. Być może... Zapewne wypada się zgodzić także z obiegową sentencją, że pieniądze szczęścia nie dają. Ale — przynajmniej — trudno o szczęście bez pieniędzy...

J.D.

Ryszard Miernik

Dni Oświaty

Poeta jest bogaty w maju
Gdy wtedy różne instytucje dają mu jałmużnę
Wtedy zebrze po domach kultury bibliotekach i szkołach
Wysła się żeby przeciętny czytelnik zrozumiał
O co mu chodzi w tym pisaniu
Czyta to co spłodził i to co zamierza
I podpisuje rachunki na poczet straconego czasu
I utworów które jeszcze powstaną
Poeta bogaty w maju zdycha z głodu w czerwcu
I czeka na następną okazję
Żeby się wytłumaczyć
Żenująca sprawa
Szczególnie dla tych którzy przecież żyją
Z napisanych przez kogoś książek
Gdyby jeszcze czytali



Rys. Zbigniew Kurkowski

Przeklęta gadanina

TAK mówi Bohater „Kartoteki” do Dziennikarki: „Widzi pani, jestem zbyt prymitywny. Wszystkie nieporozumienia między mną a światem wywodzą się z tego, że jestem prymitywny i chcę poważnie traktować życie. Taki byłem, a teraz to nie wiem, jaki jestem. Podobnie jak większość ludzi. A już najgorsi są ci, co o tym myślą. Przeklęta gadanina, gdyby ludzkość razem ze mną zamknęła na wieki albrzymią jadaczkę”. Ta prezentacja czy autoprezentacja Bohatera stanowi jeden z istotnych kluczy, którym — myślę — można otworzyć jeden z ważnych zakamarków jego pamięci, a chyba także postawić diagnozę: Bohater nie znosi szumu informacyjnego, bo dostrzegł absolutną dewaluację słowa. Cytując „zagranicznego pisarza, filozofa”, wybiera odpowiedni fragment: „Jakże przepaść między impresją a ekspresją! Taki już jest nasz ironiczny los — żywić szekspirowskie uczucia, a mówić o nich językiem sprzedawcy samochodów, wyrostka lub gimnazjalnego profesora”.

Jak powiedziałem, Różewicz podjął wiele wątków, chcąc niejako rozwikłać los indywidualnej egzystencji, szukać możliwości adaptacji społecznej, dać człowiekowi szansę bycia sobą. Jego Bohater cierpi z nadmiaru złych doświadczeń w czasie wojny. Tragedia polega także na tym, że po wojnie zmieniła się tylko jakość doświadczeń, ale pozostał ich koszmarny charakter. Koszmar polega na ubezwłasnowolnieniu jednostki.

Potwierdzenie tego wszystkiego znajdujemy także w poezji. W jednym z wierszy woła: „Zapomnijcie o nas (o naszym pokoleniu) życie jak ludzie”. Początkowo wydaje się Bohaterowi, że wystarczy oderwać się od przeszłości, zapomnieć wojnę, a już można będzie żyć jak

człowiek. Okazało się, że to jest niemożliwe, bo zapomnieć trudno, a nawet gdyby się zapomniało — to nowe doświadczenia wcale nie ułatwiają stania się człowiekiem.

Z takim bagażem intelektualnym pojawił się Bohater wielu imion, prawie anonimowy, „człowiek bez określonego dokładniej wieku, zajęcia i wyglądu”. Jest to „rozrzedzenie” osobowości. Rozrzedzenie, które jednak nie ma na celu unicestwienia Bohatera, lecz raczej jego zwielokrotnienie jako reprezentanta pokolenia.

Piszę o tych sprawach, bo chcę pokazać jak trudnym zadaniem i przedsięwzięciem jest wystawianie „Kartoteki”. Podobno sam Różewicz nie uznał żadnej z dotychczasowych inscenizacji za odpowiadającą jego wyobrażeniu. Tym bardziej podjęcie ryzyka w skromnych warunkach kieleckich jest godne uwagi i uznania. Cokolwiek powiedziec wypadnie o tej realizacji — dobrego czy złego — jest to niezaprzeczalnie znaczące wydarzenie w życiu naszego teatru.

Ale dla realizacji takiego repertuaru, trudnego i ambitnego, największe trudności sprawić może warsztat aktorski zespołu, który musi się przestawić z konwencji Fredrowskiej w Różewiczowską, czyli z dramatu fabularnego w dramat intelektualny. Przecież same postacie są tutaj umowne i trzeba je grać inaczej, niż żywych ludzi. Wydaje się jednak, że reżyser (Bogdan Augustyniak) wiedział o słabościach zespołu i dlatego mógł je eliminować, osiągając widoczne efekty. Główna rola (Zdzisław Nowicki) wypadła zupełnie poprawnie, chociaż ten aktor rzadko pojawia się w roli głównej. Twierdzą, że poradził sobie z trudną postacią Bohatera, potrafił wygrać najważniejsze treści, ujawniając tym samym spore możliwości warsztatowe.

Wujek (Bogdan Budziszewski) i Bohater (Zdzisław Nowicki) stworzyli w tym przedstawieniu interesujący duet, który udrził intelektualne obciążenie, grał świadomie. Trzeba to podkreślić dobitnie, bowiem nierzadko na tej scenie zdarzały się improwizacje aktorskie zdryli „grać jak leci”. Przy Różewiczu w ogóle, a przy jego „Kartoteczce” w szczególności, byłoby to samobójstwo.

Pisał Kazimierz Wyka, że „teksty teatralne Różewicza, chociaż przy udziale reżyserów umiejących je przekazać scenie oraz wykonawstwu aktorskiemu, chociaż wszystkie one wytrzymały próbę sceny — ludziom teatru owej próby nie ułatwiają. Już najdawniejsza z nich „Kartoteka” (1958–1959), pokazuje dlaczego: konwencje sceniczne zostały w nich całkowicie przetasowane”. Natomiast Marta Fik pisze, iż „debiut sceniczny „Kartoteka”, był w zakresie polskiego powojennego dramatu swoistą rewolucją, choć utwór wystawiany został przez Teatr Dramatyczny w roku 1960, a więc już po wieluawangardowych pozycjach zachodnich, a także po Gombrowiczowskiej „Iwonie” i „Policjantach” Mrożka. Ale „Kartoteka” z obowiązkowymi wcześniej konwencjami scenicznymi obchodziła się najbardziej bezczeremonialnie. Była dziełem twórcy, który oświadczał wprost, iż jego stosunek do teatru współczesnego jest bezkompromisowy. Zrywała z tradycyjną fabułą i budowaniem postaci. Bohater, którego osobowość określali przede wszystkim jego doświadczenia historyczne, nie miał określonego imienia ani zawodu; kwestie, jakie wypowiadał, mieszały się i przeplatały z kwestiami innych — związanych z nim lub nie — osób.”

Tadeusz Różewicz jest niewątpliwie jedynym ze współczesnych dramaturgów w kraju, który każdym swym tekstem bulwersuje teatr, krytyków, publiczność. Wydaje się, że tylko on jeden może zakłócić w sposób widomy statyczność i martwość repertuaru i naszych scen. Myślę także, że cały ciężar intelektualny tego tekstu można przekazać leżąc w łóżku. Trzeba tylko wiedzieć, co się przekazuje. Odbiorca powinien właśnie nastawiać się na odbiór tego tekstu i zawartych w nim prawd filozoficznych. Różewicz, jak się okazuje, umie doskonale obserwować i podpatrywać życie, codzienność. A chyba największą jego pasją jest wykpiwanie wszelkiej karności i patosu. W tym jest bezlitośnie drogie. Reżyserowi kieleckiego przedstawienia „Kartoteki” oraz współpracującemu z nim scenografowi (Marek Lewandowski) udało się stworzyć konsekwentnie

jednolity spektakl w tej własnie warstwie intelektualnej. Scenografia jest w tym przedstawieniu niezwykle funkcjonalna. Chcialoby sie powiedziec, ze zmusza do uwagi, nie dopuszcza rozproszenia. Ciemna kolorystycznie intensyfikuje niejako gwałtowne ewokacje pamieci, erupcje podswiadomosci. Jedynym uzytecznym przedmiotem na scenie jest lózko, w którym Bohater lezyzaniem sie rozpoczyna gra. Scena otwarta – jak ulica, przechodnie ocierajac sie o Tadzia, Wladzia, Kazia, Stasia... Krytycy teatralni i literaccy pisza, ze w „Kartotece” mamy pokazany proces dezintegracji czlowieka pod wplywem doswiadczen wojennych. Wydaje sie, ze Rózewicz jest bardziej obiektywny i wszechstronniejszy, wychodzi przeciez poza aranie wojny. Bohater dokonuje pewnego rozrachunku z epoką powojenną takze, która jawi mu sie jako „epoka klaskania”: „Ja wiem, ze wielu klaskalo, ale oni juz zapomnieli. Teraz zajmują sie markami samochodów albo bawią sie na balach maskowych, a ja ciagle jeszcze skladam ręce i tamto klaskanie klaskze we mnie. We mnie jest czasem takie ogromne klaskanie. Jestem jak bazylika w nocy. Klaskanie, wuju, klaskanie...”

Wprowadzając ten motyw „klaskanie” Rózewicz usiluje narzucic odbiorcy pewien ironiczny stosunek do rzeczywistosci dopiero co minionej (albo jemu sie zdawalo, ze minionej), ale takze stosuje autoironie, w której ujawnia swoja naiwnosc.

Dramat Rózewiczowskiego Bohatera polega na niemoznosci oderwania sie od przeszlosci; ale równiez – i to jest bardzo istotne – na ciaglym dokladaniu do doswiadczen wojennych nowych przezyc, które wprowadzie nie sa wojenne, ale równie odrazajace. Czyli nie zawsze mozna usprawiedliwic wszystko warunkami, nie zawsze trzeba oskarzac innych o własne upodlenie. Najczesciej ponosimy – jesli nie cala odpowiedzialnosc – to znaczną jej czesc sami. Tutaj Rózewicz przesunal rozważania na plaszczyne etyczno-moralną, jakby chcial uratowac czlowieka przed „amputacją czlowieczestwa”, a takze ostrzec przed zbyt latwym rozgrzeszaniem siebie i obciażaniem innych.

Nie wiem, czy w sposob zamierzony przez rezysera (chyba tak), ale w kieleckim przedstawieniu „Kartoteki” te problemy sa zauważalne, nawet wyakcentowane. W tej inscenizacji jest duza zdobycz i – powiedzialbym – myśl przewodnia. Ten Bohater ma sumienie i mysl. Dlatego nie jest on, albo przestal wreszcie być, workiem staroci, manekinem naladowanym i porusza-

nym przeszloscia. Stal sie czlowiekiem, który szuka w historii ladu moralnego, jako zasady organizujacej zycie indywidualne i spoleczne.

„Kartoteka”, jak juz wspomnialem, posluguje sie iranią, a nawet niekiedy sarkazmem. Doskonale wiadc to w wywiadzie, jaki przeprowadza Dziennikarz z Bohaterem. Dziennikarz sugeruje odpowiedzialnosc Bohatera „za losy swiata”.

czlowieka, jego bezradnosc wobec wielkiej polityki i decyzji Wodzów. Jest to jeszcze jeden argument potwierdzajacy wysoką inteligencję Bohatera, jasnosc myslenia, doskonałą orientację w mechanizmach polityki i pełną swiadomosc własnej bezsily. Zapytany o poglądy polityczne Bohater odpowiada: „Kto ma o piątej rano poglądy polityczne? Oszalał. Chce, zeby miał o swiecie poglądy! Trzeba sie umyc, ubrac, zalatwic, wyczyszcic zęby, zmienic



Scena zbiorowa. Centralnie Bohater (Zdzisław Nowicki)

Fot. JERZY MAKOWSKI

DZIENNIKARZ: Co pan zamierza zrobic, aby zachowac pokój na swiecie?

BOHATER: Nie wiem.

DZIENNIKARZ: Czy pan zdaje sobie sprawe z tego, ze w wypadku wojny wodorowej zginie ludzkość?

BOHATER (prawie wesolo): Oczywiście, oczywiście.

DZIENNIKARZ: I co pan robi, zeby nie dopuscic do wybuchu?

BOHATER (śmieje się): Nic.

Adres tego ataku jest jasny; demagogia pokrywajaca lekceważenie

koszulę, zalozyć krawat, wciagnąć spodnie i dopiero poglądy...”

Ta scena wywiadu jest jedną z najlepszych w „Kartotece”, chociaz w przedstawieniu wypadła slabo, a to dzięki zacierananiu przez aktorów (Józef Józefczyk, Jan Parandyrk) dynamiki i polemicznosci tekstu. Na koniec trzeba jeszcze raz powiedziec, ze to przedstawienie jest kolejnym przejawem ozywiania kieleckiej sceny. □

STANISŁAW ŻAK

Twórcze podpatrywanie

OŚMEGO kwietnia w kieleckiej Galerii XXXVII (Klub MPiK przy ul. Szkolnej) odbył się niecodzienny wernisaż. Helena Naksianowicz, kończąc dwudziestopięcioletni okres pracy w Teatrze Lalki i Aktora „Kubuś”, zaprezentowała wybór prac z dotychczasowego dorobku twórczego. Projekty lalek i scenografii wzbogacili autentyczni bohaterowie dziecięcych spektakli spośród sześćdziesięciu plastycznych opracowań wykonanych przez artystkę. Ideą przewodnią jej scenograficznych realizacji było przekonanie, że „dziecko cieszy się niezwykle żywiołowo, głęboko, całkowicie i tą umiejętnością przerasta człowieka dorosłego”. Stąd do wielu projektów używała materiałów z dziecięcych gier i zabaw, a inspiracji — z dziecięcej bajecznej wyobraźni. Sztuka to trudna, ale radość zeń płynącą ocenić mogą tylko najmłodsi widzowie nie skażeni bon tonem estetycznego odbioru.

W osobnym wnętrzu zaprezentowała autorka wybór kolaży z kilkunastu ostatnich lat, które obrazują drogę poszukiwań języka artystycznego przekazu w oparciu o naturalne tworzywo jak drewno, łądygi, pestki, słomki i inne suche fragmenty roślin. Nie imitacja natury jest sensem tych prac lecz poszukiwanie plastycznego ekwiwalentu idei. „Świat roślinności przywołuje naturalne prawa przyrodnicze z tak charakterystyczną symbolią wielości podporządkowanej jednoci jakby wyższego rzędu. (...) W pierwszych kolażach Naksianowicz wykorzystywała naturalne walory materiału (barwę, kolor, fakturę) tworząc z nich malownicze układy obrazopodobne. W miarę rozwoju artystycznej samowiedzy i wzbogacania języka artystycznej wypowiedzi kolejne prace nie były już tylko dekoratywnymi „obrazkami”, a stały się wyrazem podpatrzonych struktur przyrodniczych, układów krajoobrazowych, ale i wyrazem stanów emocjonalnych; oczekiwań, dążeń,

odejść i nadziei...” — czytamy w katalogu wystawy. Kolaże Naksianowicz to niemal symbol przystawowej benedyktyńskiej pracy by dopasować „ziarno do ziarnka”, by zbudować nową całość, by dać wyraz idei.

Są wreszcie jakby powtórną organizacją elementów natury, tym razem na wzór i podobieństwo ludzkiej wyobraźni. Relacje pomiędzy światem natury i kultury to główny temat i problem w plastycznej twórczości jubilatki, która etyczną zasadę non-violence przenosi w świat sztuki.

Miejmy nadzieję, że ta dziewiętnasta indywidualna wystawa otwiera nowy rozdział twórczej pracy „Pani Helenki”, a nam, galeeryjnym widzom, przysporzy jeszcze wielu artystycznych przeżyć i doznań.

Niedzielne sny i powszednia jawa

SZTUKĘ, zwłaszcza sztuki plastyczne, zwykliśmy u nas w Kielcach dzielić na sztukę artystyczną, czyli zawodową i nieprofesjonalną, więc amatorską, wyodrębniając z tej grupy oddzielne (?) zjawisko — sztukę ludową. Mniej już za to, zwłaszcza wśród samych twórców i tak zwanych animatorów kultury, mowy o podziale sztuki na dobrą, bardzo dobrą, znakomitą, byle jaką, złą i straszną. Nie dziwcie się zatem, że jeden z tych ostatnich wpadł na szatański niby pomysł, aby urządzić w Kielcach wystawę obrazów kupionych przez miasto u artystów zawodowych i amatorów, która to wystawa miałaby świadczyć o artystycznej równości obu stron, a może także przy okazji dać zawodowcom po nosie.

Możliwe, możliwe, proszę szanownego Animatora — wszystko przecież zależy od tego, jakie się obrazy — i kto — kupuje.

Byłem odtąd na otwarciu pokonkursowej wystawy plastycznej „Kielce 83” Stowarzyszenia Klubu Artystów Amatorów i mógłbym — trawestując zdanie Stanisława Zielińskiego (tego od „Statku zezowatych” i „Wycieczek balonem”) napisane zresztą przy innej okazji — powiedzieć, że trudno robić to co się powinno, bo nie przedostało

się jeszcze z niedzielnych snów na jawę dnia powszedniego.

Chociaż — zgoda, nie o wszystkich wystawiających w Klubie Nauczycieli chciałbym to powiedzieć, prac — wystawionych przy bardzo lichym oświetleniu — jest kilkadziesiąt, a autorów trzydziestoro i trzech, jak obszył. Z tej trzydziestki trójki znalazły we mnie przychylnie oglądacza prace Borysa Kononowa (pejzaże: „Stare...” coś tam i „Psie Górki”), Mieczysława Peli (znów „stare”, ale za to dobre i nagrodzone „Stare Kielce”), Napoleona Piotrowskiego („Karczówka od Czarnowa”), Edwarda Tkaczyka (akwarelowe „Ruiny ulicy Armii Czerwonej” i dobrzy „Zamek wieczorem”) oraz Danuty Ziach (rysunki piórkiem — wszystkie). Z tkanin podobał mi się, owszem, jak wielu innym, niewielkich rozmiarów gobelin Ireny Mrozowej przedstawiający Chęcin, chociaż powiedzieć muszę, jest trochę zbyt bajecznie kolorowy. Ale niech tam, nad tym dziełkiem, a właściwie pod, bo wisiało bardzo wysoko, emokala większość obecnych na wernisażu (z lichą herbatką w bufecie), a gości było, że obdzieliłby co najmniej trzy otwarcia wystaw kieleckich plastyków zawodowych. Powiedziałem to komuś, aby usłyszeć: „u cioci się bywa nie tylko na imieninach”.

Prawda, ale chyba jednak...

Młodzi, zdolni...

OTO już po raz trzeci (a więc chciałoby się powiedzieć, że zgodnie z tradycją) Galeria SWA „Piwnice” w Kielcach, salon zany i najbardziej szacowany w mieście, goszczący w swoich progach sławy i znakomitości — udostępniła w kwietniu swój ekspozycyjny metraż wystawie innej, niż wszystkie. Wystawie prezentującej nieznaną — to ich pierwszy publiczny występ, wystawie „tylko” młodych — bo jeszcze uczniowie i — zapewne nie poczuja się dotknięci — jeszcze nie twórców, bo zanim staną się artystami, muszą przebyć długą drogę. Ale na pewno zdolnych, o czym przekonują wykonane przez nich prace będące ich ostatnim już szkolnym, bo dyplomowym zadaniem, uwierzytelniającym ich umiejętności, nierzadko przecież i talent, rozwijane w toku kilkuletniej nauki w

Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych.

Na wystawie znalazło się najwięcej prac z dziedziny tkactwa artystycznego, co odpowiada powodzeniu, jakim ono cieszy się u młodzieży podejmującej naukę w liceum. I chyba w tym dziale, z racji mnogości technik i zróżnicowania tworzywa — panowało bogactwo propozycji. Gobeliny, kilimy kostkowe i skokowe, tkaniny nicielnicowe i dwuosnowowe, dywany — ujawniły w wielu przypadkach nie tylko dużą sprawność warsztatową ich wykonawców, ale także wyobraźnię, a nade wszystko zmysł estetyczny i wysoką już kulturę plastyczną.

Aczkolwiek konserwacja rzeźby i meblarstwo artystyczne są sobie dosyć odległe, a w szkole są odrębnymi specjalnościami — to jednak mogą w tym miejscu wystąpić razem, bowiem przed wykonawcami prac dyplomowych stało podobne — jeśli idzie o zasadę — zadanie. Jedni i drudzy mieli przygotować trójwymiarową replikę obiektu przedstawionego na fotografii bądź ilustracji. Konserwatorzy przedstawili, odtworzone w gipsie, rzeźby, płaskorzeźby, ściennie dekoracje, fryzy pochodzące z różnych epok i miejscowości: od Weniawy do Pergamonu. Meblarze natomiast odtwarzali w szkolnej stolarni, także na podstawie ilustracji, meble z różnych epok. Laik będzie się zastanawiał, jak to zrobić, w jaki sposób uzyskać właściwe proporcje i pożądaną efekt przestrzenny oraz wierność wobec oryginału.

Interesująco, choć może najmniej spektakularnie, przedstawili się ceramicy, którzy zaprezentowali indywidualne projekty ogrodzenia szkolnego terenu. Powiedzione słowami brzmi nieefektywnie, ale oczekujemy do realizacji tych projektów, bo realizowane będą.

Ta wystawa, której inicjatorom tylko przyklasnąć, bo wprowadza szkołę do szerszego obiegu i oswaja mieszkańców miasta z jej istnieniem — pobudza wszak jedną melancholijną refleksję — pytanie: oto kolejny rocznik zdolnych, plastycznie utalentowanych młodych ludzi opuszcza szkołę i... I gdzie oni są, gdzie się podziewają, jakie są ich koleje losu (wszak zapewne nie wszyscy zaraz pędzą na studia), bo jakby znikali; dookoła szarżyna, brzydota panują prawie niepodzielnie, a oni — młodzi, zdolni — niemożliwe, by z tym się godzili...

GALERNIK

Dziedzic Staszowa na sułtańskim dworze

Maria Garbaczowa
Wacław Urban

DOSC sielankowy był dla Polski wiek XVI, podczas gdy w Europie szalały zmagania między Francją a Habsburgami, wojny religijne, a w dodatku odbierały ludziom nadzieje groźby choroby gallickiej i nawały tureckie. Dla Węgler (podówczas pięciokrotnie większych niż dzisiejsze) stulecie owo było chyba najcięższym w dziejach i może dlatego ciągnął do tego kraju (nie znając nawet jego języka) młody i rzutki dziedzic Staszowa i 50 wsi, m.in. Rytwian, Hieronim czyli Jarosz Łaski (1496—1541). W ojczyźnie było mu chyba zbyt spokojnie, a tam chciał widać łapać ryby w mętnej wodzie, czyli wybić się korzystając z rozbicia struktur państwowych Węgler.

Nasz renesansowy kondotier nie był bynajmniej chudopacholkiem. Wykształcony we Wioszech znał kilka języków. Jego stryjcem był prymas Jan Łaski, a żoną od 1519 r. Anna z Kurozwęk, dziedziczka około 50 wsi w Małopolsce. Sam Hieronim był Wielkopolaninem i miał niewiele mniejsze dobra, a mimo to cierpiał zwykle na brak pieniędzy. Głównymi posiadłościami sta-

szowsko-rytwiańskimi zarządzała zwykle żona, mąż zaś wojował i intrygował za granicami. Zdażył jednak Łaski założyć miasto Staszów i rozwinąć tam przemysł wojskowy na potrzeby swych wypraw.

Zaledwie doszedł pan Jarosz do pełnoletności, a już zyskał godność wojewody sieradzkiego. Zdawało się, że otoczony opieką królowej Bony i stryja prymasa, uzdolniony i przystojny młody człowiek pospybuje ku najwyższej karierze. W 1524 r. odbył ważne poselstwo do Francji, a w rok później powierzono mu w czasie hołdu pruskiego opiekę nad królewiczem, Zygmuntem Augustem, co zresztą przedstawił Jan Matejko na swym słynnym obrazie.

Stało się jednak inaczej. W 1527 r. zrażony do intryg magnackich panicz pod pretekstem pielgrzymki do Matki Boskiej Loretańskiej wyjechał na Węgry, gdzie aktualnie panowało dwóch walczących ze sobą królów: Ferdynand I Habsburg, niemiecki i możnowładczy, oraz Jan Zapolya, węgierski narodowy. Wstąpił, oczywiście, do służby tego ostatniego i jesienią wypra-

wił się jako jego poseł do sultana tureckiego, najpotężniejszego chyba podówczas monarchy świata. Do Stambułu (Konstantynopola) dotarł 22 grudnia i bawił tam do 29 lutego 1528 r., odegrawszy wielką rolę w zawiązaniu pierwszego w dziejach układu przymerza między walczącymi dotąd ze sobą Węgrami a Turkami, płynącego z wspólnej nienawiści do Niemców. Właściwie układ był sformułowany tak, że król Jan został lennikiem potężnego sultana Sulejmana, a za to uzyskał jego pomoc przeciwko Habsburgom. Jaką rolę w tym układzie odegrali nienawidzący Niemców królowa Bona i prymas Jan Łaski?

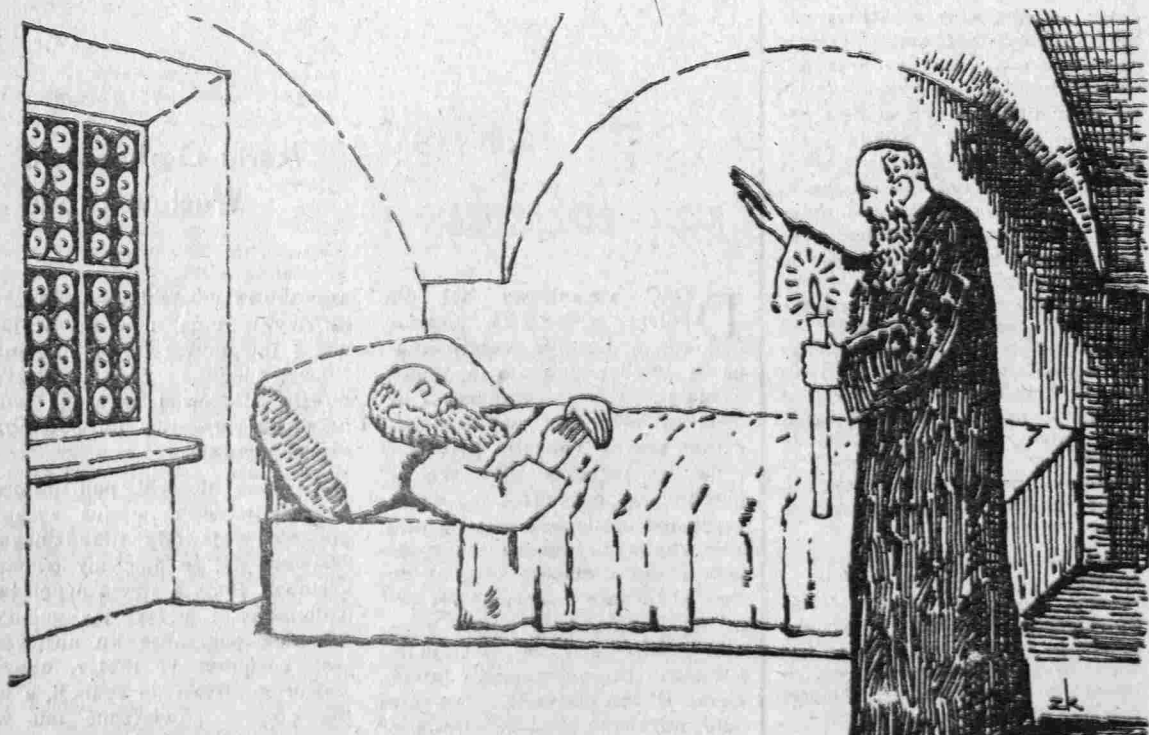
obrotnym Polakiem, o czym nie powinniśmy zapominać nawet w roku jubileuszu odsieczy wiedeńskiej.

Jarosz kilkanaście razy poślował jeszcze przy różnych okazjach do Turcji. W 1528 r. król Jan zrobił go za zasługi hrabią spiskim oraz nadał mu miasto i zamek Klezmark, a także zamek Niedzień nad Dunajcem. Klezmark stał się teraz stolicą rodu Łaskich, wypierając dotychczasowe Łaski i Staszów.

Hieronim utworzył sobie na Spiszu jakby państwko. W ówczesnych Węgrzech, gdzie każdy nienawidził każdego, walczył ze zmiennym szczęściem na czele „zamków polskich” z sąsiadami,

odlewał z dzwonów kościelnych. Z królową Boną wojewoda sieradzki zerwał i krwawo rozstrzygał spory graniczne z Polską w okolicach Białki Tatrzańskiej, tak jakby był zakamieniałym Węgrem, a nie polskim senatorem.

Również zresztą Węgrów nienawidził i był przez nich nienawidzony. Witaił za to uroczyście (rzecz w ich poczuciu haniebna) wraz z królem Janem sultana na polach mohackich, które kilka lat wcześniej były świadkiem klęski narodowej. W 1530 r. uzyskał od Zapolój jedną z najwyższych w państwie węgierskim godności — wojewody siedmiogrodzkiego, już jednak w



Zmarł w Krakowie, w 14 rocznicę swego pierwszego pobytu w mieście cesarzy nad Bosforem. Przy jego śmierci obecny był sługa Łaskich, Andrzej Frycz Modrzewski, późniejszy słynny pisarz.

Rys. Zygmunt Kacior

Hieronim Łaski, już ze Stambułu wypowiedział prywatną wojnę Ferdynandowi i niebawem spotkał się z Zapolją, który w międzyczasie musiał uciekać przed przewagą habsburską do Polski do Tarnowa. Z pomocą sultanską powrócił oboj w triumfie na Węgry, a Sulejman po raz pierwszy w 1529 r. zagroził Wiedniowi. Stało się to właśnie dzięki układowi zawartemu z

a m.in. z największym miastem spiskim Lewoczą, którą złupił jako konkurentkę handlową Klezmarku. Bratanek prymasa (zmarłego zresztą w 1531 r. w stanie ekskomunikacji orzeczonej przez papieża) grabił miejscowe duchowieństwo, przyjaźnie odnosił się natomiast do sekularzy nowochrześcijańskich, których pomawiano o wywołanie wojny chłopskiej w Niemczech. Armaty

1534 r. zaczął zdradzać Zapolję i został przezeń uwięziony w stolicy państwa Budzie (dziś Budapeszt).

W 1536 r. wojewoda sieradzki przeszedł na stronę swego dotychczasowego wroga drugiego króla węgierskiego Ferdynanda. Od niego otrzymał „na otarcie lez” po straconym Siedmiogrodzie wysoką godność bana Chorwacji i Sławonii. Ale gwiazda

wą przemyślnością. On to nie tylko sam siebie koronował, ale koronowali go panowie i stany Królestwa Węgierskiego, to mając na względzie, aby sam przez swój spryt, przez bogactwa, przez swoje siły, przyszedł z pomocą pognębionemu przez was królestwu. A działo się tak poprzez uroczystą elekcję dokonaną przez tych, którzy mają prawo i swobodę w wybieraniu królów. Tak to ze względu na dopełnienie tego zwyczaju pan mój ma już pełne prawa co do elekcji i koronacji. Byłem wtedy na Węgrzech, gdy cesarz turecki do nich wtargnął, kiedy to pan mój nie był jeszcze koronowany. Ale jest powszechna opinia, że wasz pan to ma w zwyczaju, że pałac nieprzyjacielski zawsze pozostawia nienaruszony; albo w nim uciekają albo odpoczywają. Inni mówią, że Budę opuścił w strachu, jeszcze inni donoszą, że ze względu na niedostatek żywności. Tak więc inna jest wśród Węgrów opinia, niż ty to podajesz. Dlatego nie wystąpił mnie tu pan mój do podważania władzy sultana, lecz do pozdrowienia go i podania mu ręki, jak to jest w zwyczaju oraz do zawarcia z nim takiego pokoju i przymierza, jakie bytoby trwałe i prawdziwe. Pan mój bowiem, dopóki był człowiekiem niższego stanu, zawsze radził swym królom, aby z cesarzami królewskimi żyli w przyjaźni i pokoju. Ale teraz zdanie innych miało przewagę, choć pan mój będąc królem sam jest skłonny i gotów uczynić to, co radzi panom i swym poprzednikom, mianowicie dobrą przyjaźń, ścisły związek i pewne przymierze. Ze zaś tu dochodzą nowiny ze wszystkich stron, nie dziwię się, bo czynią to w pierwszym rzędzie kupcy. Lecz czy kupcy wszystko wiedzą lub jeśli wiedzą, czy mówią prawdę, to nie zawsze jest pewne, bo boją się tu was i ze strachu wam schlebiają. Pewne jednak jest, że wielcy są i nas chętniej pan królowie i potężni, choć teraz wzaajemnie w pewien sposób niezgodni.

Basza do Łaskiego:

Donoszę o twym przybyciu wielkiemu memu panu, którego niewolnikiem jestem, i powiem ci, jak jest do ciebie nastawiony.

Powiem także, że przybyłeś z miłą pokój i przyjaźnią.

Łaski do baszy:

Jego Majestat nie by mi nie odpowiedział, jeśli chce, by było mu ofiarowane przez mojego króla miłe przymierze (do jego zawarcia mam ze sobą pełnomocnictwo). Chce bowiem połączyć się pan mój nie tylko z sultanem, lecz także z tobą, który kierujesz krokami sultana.

Basza do Łaskiego:

Uśmiechając się powiedziałem to — rzecze — powiedziałem ci, że jestem niewolnikiem pana mego. Uczciwy zaś niewolnik niczego nie czyni bez wiedzy swojego pana. Tak więc, chociaż jako niewolnicy naszego pana niczego więcej sobie nie życzymy jak dobra naszego pana, od którego bezpieczeństwa nie ma dla nas, wiernej służby, większego dobra, to z pewnością jednak jestem bardzo wdzięczny za przyjaźń twojego pana. Trzeba jednak, bym zapowiedział wprzód naszemu wielkiemu panu twoje przybycie. Z wyrazu jego twarzy powinienem się zorientować, jak będzie nastawiony do twego tu przybycia. Powiedz mi jednak — rzecze — ile zbrojnego ludu ma Ferdynand? Słyszeliśmy, że 25 tysięcy. Czy jest to dużo przeciwko twojemu panu? Ten to siedząc w Siedmiogrodzie stworzył dwukrotnie większe wojsko. Ale prawda jest też, że potęga naszego pana starła i pomniejsza siły węgierskie. Oczywiście wierzyliśmy, że Węgrzy są wyjątkowymi mężami. Lecz nie widzieliśmy w nich dobrych wojaków, jeśli nie umieli uratować swego króla Ludwika nie tylko od nas, ale od małej rzeczki. A my nie zezwolilibyśmy, aby umarł taką śmiercią nasz poddany nawet najniższego stanu. I tu polecał swoje starania i przemyślność przypominając tragedię wojny.

Łaski do baszy:

Prawdą jest, że Ferdynand, jak słusznie mówisz, ma niewielkie wojsko; lud zbrojny jest mniejszy, niż wymaga jego potęga, lecz lud to wybrany. Ma 10 tysięcy zbrojnej konnicy, 5 ty-

sięcy konnicy lekkobrodznej, 10 tysięcy wybranej piechoty, między którą jest do 4 tysięcy arkebuzerów i strzelców, cały w końcu ryszunek wojenny ma przygotowany jak najlepiej. Ma 200 dział większych i mniejszych, wytrwale prowadzi ze sobą most pontonowy. Wiesz, że takie wojsko w jednym dniu może stanąć do walki z największą potęgą, ponieważ nie wazysej, którzy stają do walki, walczą jednocześnie. Rzeczywiście, gdyby król Ludwik miał takie wojsko, nie walczyłby aż z tak bardzo opłakany skutkiem. Pan zaś mój z tej to przyczyny był słabszy od tych sił, że był zmuszony trzymać wojsko podzielone; jedno wielkie wojsko pod wodzą hrabiego Krzysztofa utrzymywał w Sławonii z powodu waszych najeżdżów z Bośni, Radieć zaś dowodził wieloma tysiącami ludzi na Węgrzech nadcisańskich ze względu na sandzaka semendryjskiego. Lecz teraz — sądzę — za łaską Pana Boga usłyszycie wkrótce dobre nowiny, że pan mój na moim wyjeździe wyruszył w celu połączenia się z żołnierzami przybywającymi z Siedmiogrodu i z Polski oraz z Radiczem.

Basza do Łaskiego:

Ow zaczął kazanie o potęgę swego pana i wielce chętnie się z jej powodu. Ja mu nie chciałem się przeciwstawić i gdy już tak wysoko ocenił swego pana, a i siebie samego, powiedział: późna jest już pora, kiedy indziej chętniej z tobą porozmawiam. Dobranoc.

Łaski do baszy:

Mam — rzecze listy do innych baszów, ale pan mój nie kazał mi ich przekazywać tamtym bez twojej zgody. Król mój bowiem wie, że ty wszystko czynisz, wszystkim kierujesz i wszystko możesz. Niczego więc innego nie przekazuję baszom, jak tylko pozdrowienia.

Basza do Łaskiego:

Wiem dobrze, że pan twój napisał listy i do innych. Wyruszaj jutro i pozdrów ich.

MARIA GARBACZOWA
WACŁAW URBAN



Rys. Zbigniew Moralski

OPOWIADANIE

Kochany Walusiu Mój!

Jan Krzysztofczyk

I NO co położyłam Grzegorzka do kolebki i zaraz biorę się w Imię Ojca i Syna do pisania do ciebie żebyś wiedział że z Łaski Pana Jezusa i Najświętszej Pa-

nienki ja jestem zdrowa i Zeniek i Bożenka i Jadwisia i Gieniusz i toto co nie możesz przecie znać bo się uległo jak ciebie już w chałupie nie stało, ale dałam mu

na kszcie jak my wcześniej ugadali Grzegorzka. No, to on też jest zdrowy. Kochany Walusiu Mój. A ty czy zdrowy jesteś z Łaski Pana Boga? Ubieraj się ciepło bo już jesienią śmiedzi. Kalisony wdziewaj jedne na drugie i dopiero na to portki wciągaj i spod kapoty swetra nie wydzieraj jeno na sweter kapotę noś i niech ciebie Bóg uchwata żebyś nie chłodził wody, bo woda jest zimna na schyłku lata i dychanie ciebie może uciąć i bolączka w piersiach.

Kochany Walusiu Mój wczoraj byłam w Kielcach u prekuratora i to ci chcę sumiennie powiedzieć co ja z nim rozmawiałam i co on ze mną rozmawiał i jak się wszystkiego czepiał i jak mu się, we łbie nie mogło pomieścić, że niby my tak ze starym zrobili. Ale Kochany Walusiu Mój opowiadałam ci teraz jak prekurator rozmawiał ze mną i jak ja z nim niby z prekuratorem. Siednąc mi kazał nie powiem że nie i na miętym Kochany Walusiu Mój i kazał se opowiadać jak to było. To ja mu mówię niby prekuratorowi. Była nas czwórka i wszystkie my byliśmy małe jak nas matka obumarli Panie święci nad jej duszą i stary został z nami bez kobiety. Najmłodsza była Gabryska na dziesiąty rok jej szło później Hela szła z rokiem wcześniej, później ja no i Stasiak na koniec co już piętnaście lat bez mała miał na śmierć matuli. Stary nie przyprowadził se kobiety innej bo mówił że będzie nas poszturchiwała jak on nie będzie widział to już lepiej nie będzie przyprowadzał innej. Nie było nam lekko dziesięć mórg do obrobienia ornego, cztery łaki no i przy gadzinie trza było się zwinąć. A przecież panie prekuratorze mówię do niego piachowa u nas ziemia. Aż się zółci, a na takiej trza robić od ćmoka do ćmoka i do krwi trza robić. No, a później to my wychodziliśmy z domu. Hela się wydała dobrze za maszynistę na parowozie, Gabryska poszła za stolarza, Stasiakowi przyniosła kobieta dwie krowy z cycami do ziemi i grosza dość, a ja poszłam za mojego na pięć mórg i dom po ojciec jego. Ale z ziemi u nas nic nie ma bo piachowa. Tyle jeno że jest ale nic z niej nie idzie wydrapać choć pazury się w niej zostawia. Na

pozazeszły rok na ten przykład co taki siapisty był to my i jednego ziemniaka nie wzięli bo wszystko w błoto się obróciło. A latoś na odwyrtkę znowu duchota panowała taka, że my na Mszę Świętą nosili ale i tak wszystko wypaliło. A tu nawozy trza kupić bydłu dać chlać, a i ludzie też przecie muszą żyć. I z czego to wszystko? Dobrze, że mój jest uczony panie prekuratorze mówię do niego. Różne kursa pokonczyli i chodzi do reperacji torów. Nawet tu w Kielcach się przez niego nie mogli obyć i reperował kole stacji. Fachowiec z niego fest i przez niego ani rusz nie mogą. Jak mu wyjdzie że przypije kapkę więcej i nie wstanie do roboty to zaraz wieczorem do niego przychodzą koledzy z flaszkami i proszą żeby już przyszedł bo nijako przez niego na torach. A on niby prekurator mówi żeby nie gadala w cały świat jeno żebym się trzymała sprawy. To ja do niego to pan prekurator chce założyć sprawę? Tu przecie nie ma żadnej sprawy. Nikogusienko my nie zabili ani nie puścili z dymem to i o co sprawa? No, to niby prekurator mówi że jemu chodzi o sprawę z ojcem. To ja mówię po porządku tylko Kochany Walusiu Mój nie indorz się na to co ci zaraz powiem bo musiałam mu przecie niby prekuratorowi jak na spowiedzi powiedzieć, no to powiedziałam, że rozsierdziłeś się o tego gąsiora co to okulał nie wiedzieć dla czego i że jak przyszedłeś z roboty i zobaczyłeś tego gąsiora to cię poniosło i kopnąłeś mnie dwa czy trzy razy i że to nie było, ale że byłam z Grzesiem w ósmym miesiącu to trza było do szpitala pogotowiem czy tam się co nie zrobiło, ale za dwa dni byłam już w chałupie i Hela siostra moja przyleciała wtedy zaraz do mnie i mówi, że ojciec zlegli na dobre już chyba.

Na czym to ja stanęłam Kochany Walusiu Mój bo musiałam do tego nańducha z cykiem do kolebki lecieć tak się dął, ale teraz znowu chcę mówić do cie.

Już wiem na Heli i starym stanęłam. Jak przyleciała Hela to ja wieczorem jak przyszedłeś z roboty i jak my się naradzili co mam staremu mówić zajrzałam do niego mówię do prekuratora. Trza było przecie pogadać o pobudynkach starego o krowie o tym kawałku piachu co stary go se zostawił na dożywotkę i o ćwierci morgi łąki nad strumykiem i o kliniku krzaków co go wszyscy nazywali zagajnikiem. Nic to wszystko warte nie było panie prekuratorze mówię. Stodolina na pół tylko stała obórka na jedną krowę jeno i podparta dragami chałupa strzechą ziemi dotykała krowina co by ją tasiemką związał, no a ten łaszek piachu, albo ćwiartka trawy albo te parę krzaków było co warte? Nic to wszystko nie było warte panie prekuratorze, ale trza było wiedzieć jak to ze sprawiedliwością będzie mówię. No to przyszedłam mówię do prekuratora dalej i zaraz ode drzwi zapytuję grzecznie bardzo. Jak ojciec będą to dzielić? A on na mnie z gębą niby ojciec. Ani Boga nie pochwalisz, ani dnia ani nie pytasz jak ze mną jest jeno od razu ode proga upominasz się o tę ociupinę co mi pozostała z całego życia? Mówię, że nie przyszedłam się upominać jeno chcę wiedzieć co komu po sprawiedliwości będzie zapisane. Ojciec popatrzeni na mnie, a brzuch sterczał mi wtedy pod sam nos mówię prekuratorowi obrócił głowę później do ściany niby ojciec i powiedział. Jutro się dowiesz wszystkiego i swoje też dostaniesz. Ale jak pani wychodziła z domu ojciec dał pani dwie morgi i krowę pyta prekurator. A czemu miał nie dać jak wszystkim za jednakowo nam dawał ja do prekuratora.

Kochany Walusiu Mój nie żałuję się że przerwałam rozmowę z tobą, ale musiałam znowu do tego nańducha lecieć bo ulai się jak kobyła przy oźrebieciu i musiałam wszystko to frygnąć w ką i suche samoty mu podłożyć ale teraz już śpi i rozmawiam zaś z tobą. Jak powiedziałam że

wszystkim dawał to kazał mi o powiedzieć jak z tym podziałem na następny dzień było niby prekurator mi kazał. To mu mówię niby prekuratorowi. Zeszli my się wszyscy pod wieczór. Hela Gabryśka ja i Stasiek. Później przyszedł taki jeden nauczyciel z drugiej wsi z maszynką do pisania co brat Stasiek go powiadomił żeby przyszedł bo ojciec na umarcu i chcą wszystko po porządku rozpiścić. No, to on przyszedł i ojciec zaczęli dzielić mówię do prekuratora. Staśkowi krowę Heli ziemię, mnie pobudynki z placem Gabryśce łąkę. Ten na maszynce pisze to wszystko ojciec patrzajom po nas my patrzymy na ojca i nic. Czekaemy bo przecie zostały jeszcze te krzaki i czekamy komu je ojciec dadzom. Ale ojciec nic nie mówiom, chociaż ten na maszynce przestał już stukać. No to ja mówię do prekuratora zapytałam ojca co z tymi krzakami. A on niby ojciec patrzajom długo w powale a później mówiom. Stachu niech weźmie. I jak to powiedziałam niby prekuratorowi to on niby prekurator wstał i powiedział do mnie ostro. I wtedy właśnie zaczęła się wojna. Pan prekurator to zaraz wojna mówię. Wojna to nie żadna była jeno takie przemawiania. Przemawiania on na to krzykiem niby prekurator, a szyby w oknach zostały wybite kredens połamany i stół. Wojna to była krzyczy dalej prekurator, maszynę potrząskaliście nauczycielowi on sam musiał uciekać a później pobiliście ojca mocno do krwi i kto to zrobił? Nie wiem mówię do prekuratora ale mówię ci jak krzychał niby prekurator aż mnie ciarkami krzyże obsypało i chyba zbłądłam na gębie.

Żas musiałam Kochany Walusiu Mój przerwać z tobą gadanie bo ktoś walił w okno do pokoju tego od podwórza, ale to był Felek pijany od Barbuzików i chciał z tobą wypić pół litra bo myślał że jesteś w chałupie, ale jak mu powiedziałam że cię nie

ma w chałupie bo jesteś za krętami od miesiący dwóch to poszedł sobie z Panem Bogiem, a ja mogę zaś z tobą Kochany Walusiu Mój rozmawiać. A skończyłam że dał się na mnie niby prekurator a mnie po krzyżach łachotało. No to on niby prekurator usiadł na nowo i kazał mi dalej opowiadać. To ja mówię że dalej poszłam do chałupy. To on niby prekurator wygrzebał z kupy papierzyk jeden jakiś papiurek na maszynie pisany i powiedział, że to prawda ale co dalej było niby jakie wypadki były dalej. Nie było żadnych wypadków panie prekuratorze mówię. To on niby prekurator zajrzał do tego papiura na maszynie pisanego jak Święty Mikołaj do wora i zaczął mi czytać co na nim stoi. Kochany Walusiu Mój nie śiep się bo szkoda twoich nerwów ale ci powiem, że stało w tym papiurze wszystko. Jak wieczora tego poleciałeś do Staśka z bagną co świnię bijemy i on niby Stasiak, że uciekł z kobitą i dziećmi bez okna do ogrodu później na łąki a później

do lasu i tam do rana siedzieli a ty im pobiełeś wszystkie graty w chałupie i oni się bali ciebie do chałupy wrócić. Stało też jak staremu chciałeś bebechy wypuścić ale on zwał się z wyrka wcześniej i zasunął rygiel przy drzwiach to ty zaczęłaś ciaskać kamiorami we drzwi aż drzazgi fręgały i skurwysyniłeś starego. A później wygrzebał in-szy papiur niby prekurator i też mi, przeczytał wszysciusięko. A wiesz co tam stało zaś Kochany Walusiu Mój niby w tym drugim papiurze? Jak stary wężwał na drugi dzień naczelnika i zapisał wszystko gminie i jak zaraz zmarł po tym zapisie. I było też że tydzień leżał umarli bo nikt z nas nie chciał go pogrzebać i że gmina w papierzanym ubranu musiała go pochować. Jeno że z gminy ludzie nie mogli wleźć do izby niby starego izby bo taki był smród no i że óma od much wielka była i nie szło tam wleźć. I że buczyły bardzo te muszyska bo to te od cyckania były te wielkie bardzo. Ale ja Kochany Walusiu Mój powiedział-

łam prekuratorowi że na naukach jak chodziłam za młodu Ję-gomość Proboszcz mówił że muchy umarłemu nic nie zrobią bo krew ma zamrożoną i nie wy-cyckają jej już a łaźć se po cie-le zimnym to mogą jak chcą. No i powiedziałam prekuratorowi też Kochany Walusiu Mój żeś dobry bardzo jest człowiek serce byś każdemu dał i dlatego tak się wnerwiłeś bo krzywdę wielką widziałeś a ty takie masz serce że nie możesz patrzeć na niczyją krzywdę. A to była prze-cie wielka krzywda, że Stasiak miał dostać więcej chociaż wszystko to nie było nic warte. Ale dlaczego on znaczy się Sta-siak miał dostać więcej? I preku-rator powiedział wtedy, że rozu-mie i nie krzyczał już na mnie i miarkuję tak że po mojej roz-mowie jest po naszej stronie i że każe cię rychło bardzo uwol-nić Kochany Walusiu Mój i że rychło będziemy znowu razem co daj Panie Boże amen.

□

JAN KRZYSZTOFCZYK

kino

Pechowy kowboj „Tom Horn”

WILLIAM WIARD nakręcił „Toma Horna” ze Steve'em McQuennem w roli tytułowej na zasadzie ostrego antywesternu, a więc jest to film kolorowy wprowadzie, ale z bottem i śniegiem oraz kowbojem świetnie strzelającym, męskim i jeżdżącym na koniu wprowadzie, tyle że przegrywającym niemal od początku, ale najbardziej na końcu.

„Tom Horn”, jak wynika z napisów w czołowie filmu, był postacią autentyczną, jego przygody i życie również nie są za bardzo upiększane co zresztą reżyser podkreśla każdym ujęciem w filmie. Horn więc dobrze strzelał z pistoletu i strzelby, zatrudniał się chętnie w charakterze „łowcy

nagród” tzn. ścigał przestępców, za których potem otrzymywał sówite wynagrodzenie oraz zapewniał ochronę tym, których było na to stać. Opowieść zaczyna się w tym właśnie miejscu: kilkunastu hodowców krów, wobec bezkarnie działającej bandy złodziei, nad wyraz skutecznie ogataczającej ich wielotysięczne stada, postanawia wynająć człowieka zdolnego chronić ich dobytek.

Wybór pada na Toma Horna właśnie, jedynego odpowiedniego człowieka w tych stronach, który zrećnię i skutecznie — trzeba przyznać — rozprawia się ze złodziejską bandą. I dotąd wszystko jest w porządku, wszystko jak w prawdziwym westernie, gdyż i dziewczyna jest ładna, i kowboj zwycięża, tyle że za często, co przestaje podobać się nawet pracodawcom nie mówiąc już o skurwipowianych szeryfach. Jest zrozumiałe, że przy tego rodzaju pracy Horn nie może być litośiwą nianką, ale przecież swoiste normy prawne obowiązujące rycerzy prerii w zasadzie są przestrzegane. Niestety, nie przez wszystkich i Tom pakuje się lub raczej jest wpakowany, w tarapaty bez wyjścia.

Świetne dialogi, doskonała gra zmęczonego już trochę życiem McQuenna, trochę dobrych zdjęć, nieco mniej życiowej filozofii, ale ojejżeć można mimo zakończenia, żadną miarą nie przystającego do znanych standardów gatunku.

□

WIESŁAW BARAŃSKI

Zenon Guldón

Chłopi wobec Konstytucji 3 Maja

NIEWIELE miejsca w Konstytucji 3 Maja zajęła kwestia włościańska. Konstytucja zachęcała jedynie dziedziców do zawierania umów z chłopami, które miały stanowić obopólne zobowiązanie pozostające pod opieką rządu krajowego. Ponadto zapewniała wolność osobistą przybyszom z zagranicy i zbiegom, którzy by chcieli powrócić do kraju.



Zachowane materiały źródłowe nie pozwalają na szersze omówienie stosunku chłopów do postanowień konstytucji. Jeden z nielicznych wyjątków stanowi tu zachowane w archiwum krakowskim protokoły Komisji Porządkowej Cywilno-Wojskowej Powiatów Książskiego i Lelowskiego. Otóż 24 czerwca 1791 r. w czasie mszy w kościele parafialnym w Lelowie kaznodzieja obwieszczył: „Opowiadam wam ludzie, iż jesteście już wolni, nie jesteście poddani; wolno wam iść gdzie lepiej; nie powinniście robić tylko jak się z panami umówicie; dawno to prawo nastało, ale go przed wami panowie tają. Wy, najemnicy i kumorni-cie nie powinniście robić, gdy nie macie roli i pań za matą zapłatą nie może was do najmu przyniewolać. Tam idźcie robić, gdzie wam lepiej płacą”. W związku

z tym chłopci ze wsi Turzyna i Białej Wielkiej oświadczyli dzierżawcy: „Iż są już wolni, iż z rozkazu księży i mieszczanów powinni uczynić z panami umowy, iż im wolno wychodzić gdzie im się podoba, na koniec iż do żadnej powinności ani na pańskie nie wyjdą”. Zaniepokojony tym dziedzic pobliskiego Melchowa prosił o „umiędrzenie takowych rozruchów i zapobieżenie dalszych buntów”. Tak więc chłopci uznali, że konstytucja dała im wolność osobistą, a wysokość pańszczyzny miała zależeć od umowy z właścicielem.

Bardzo zróżnicowany był stosunek do chłopów właścicieli ziemskich. Stosunkowo dokładnie znamy poglądy i działalność gospodarczą marszałka Sejmu Czteroletniego Stanisława Nałęcz-Malachowskiego, który był między innymi właścicielem dóbr białaczowskich w dawnym powiecie opoczyńskim.

Już w 1790 r. z poszczególnymi chłopami Malachowski zawierał kontrakty, w których stwierdzał: „iż ja przywodząc do skutku powzięte chęci ku uszczęśliwieniu ludu w dobrach moich dziedzicznych zamieszkanego, a świeżo osobnym prawem przeze mnie wydanym od poddaństwa uwolnionego, postanowiłem grunta w tychże dobrach moich przez włościan posiadane, a z woli mej rozmierzone, pomienionym włościanom i ich potomkom na wieczność dać, darować i za ich własność zawsze poczytać ani od teźże własności nie oddalać, byleby przystosowane do tychże gruntów obowiązki, a początkowym prawem i inwentarzem objęte, pełnić”. Chodziło więc o uwolnienie od poddaństwa osobistego i nadanie gruntów w dziedziczne użytkowanie.

W 1791 r. Malachowski w trzech ustawach uregulował położenie włościan kluczy białaczowskiego i skronińskiego. 1 stycznia 1791 r. określone zostały dokładnie powinności włościan. Z półnawowego gospodarstwa kmięcie zobowiązani byli do odrabiania własnymi narzędziami i sprzężem 3 dni pańszczyzny tygodniowo — „powinność tę mieli odrabiać „bez żadnego oszukaństwa”. Tak więc nie było mowy o zniesieniu systemu pańszczyźnianego, a jedynie ściśle określone zostały obowiązki pańszczyźnianie.

Ustawa z 10 października 1791 r. dotyczyła powinności wójtów. Chłopi wybierali trzech kandydatów „uwzględniając, aby ci kandydaci byli stateczni, poczciwi i mający rozsądek”. Spośród tych kandydatów dwór mianował wójta. Wreszcie 29 października 1791 r. włościanie uwolnieni zostali od poddaństwa.

Reformy włościańskie Stanisława Malachowskiego już współcześnie oceniane były bardzo wysoko i stawiane jako wzór do naśladowania. Nie brak było jednak i ostrych głosów krytyki. Konserwatywny poseł Michał Zaleski stwierdzał, że Malachowski „w części dóbr swoich ogłosił to, co obłuda nazwała wolnością, a co było tylko zmianą nazwania i zachowania obowiązków użyteczniejszych dla właścicieli ziemi, trudniejszych do wykonania wieśniakowi”.

Stwierdzić można, że reformy włościańskie Malachowskiego miały charakter umiarkowany, zgodny zresztą z postanowieniami Konstytucji 3 Maja.

* O wszystkich rzeczach i niektórych innych

Listy romantyków

Ten rodzaj piśmiennictwa — bo przecież listy, nawet te prywatne i intymne, przynależą bardziej do literatury niż sfery porozumiewania się ludzi — należał zawsze do lektury trapiącej i kształcącej. Listy wielkich twórców romantycznych posiadają dla potomnych walor szczególny. Są nie tylko zwierciadłem duszy autora, dokumentując stan jego umysłu, stanowią zarazem istotne zwierciadło epoki. Ponadto są bardzo często niezastąpionym komentarzem do twórczości, odsłaniają genezę wielu utworów osadzając je w klimacie tamtych czasów.

Autorami prezentowanych tu listów do krewnych i przyjaciół są wielkie indywidualności, twórcy posługujący się własnym stylem, barwnym, czasem dosadnym. W tych zapiskach, a raczej rozbudowanych wypowiedziach na różne tematy, ujawniają się charaktery ludzkie wraz ze słabościami i nawet małostkowością. Nie bez znaczenia jest i to, że odsłaniają nam one codzienne kłopoty poetów i kompozytorów, przybliżając nam ich ludzkie oblicze.

Styl romantyczny obecny jest w tych dokumentach w całej swej rozległej krasie, można już właściwie mówić o sztuce pisania listów, właściwej tej właśnie epoce. Nawet z cytowanych tu listów stanowiących przecież zaledwie niewielką czastkę wydanej korespondencji, układają się fascynujące autoportrety, przy czym — jak wspomniano — każdy z autorów zachowuje swoją indywidualność. Prześledzenie tej, uchwytnie owych czynników niepowtarzalnych, może stanowić dodatkowe źródło fascynacji.

ADAM CZARTKOWSKI, ZOFIA JEZEWSKA — „Fryderyk Chopin”. PIW, Warszawa 1987 r. wyd. 3.

Najukochańsi Rodzice.

Jestem zdrow z łaski Pana Boga i najprzyjemniej zawsze czas mi schodzi. Nie czytam, nie piszę, ale gram, rysuję, biegam, używam świeżego powietrza, już to jadąc w pojeździe na spacer, już też na siwym *participe du verbe connaitre*, tak jak właśnie wczoraj, pola objeżdżając. Jem z nadzwyczajnym apetytem, a nie mi nie potrzeba do zupełnego zadowolenia chudego brzucha, który już tyć zaczyna, jak tylko na pozwolenia (!) i wolności jada-

nia chleba wiejskiego. Gerardot wprowadzić nie pozwolił mi jeść chleba żytniego, lecz to się ścigało tylko do chleba warszawskiego, nie zaś do wiejskiego. Nie pozwolił mi go jeść, bo kwaśny, a szafarski bez najmniejszego kwasu. Ten czarny, a ten biały. Tamten z grubej maki, a ten z pięknej, na koniec ten był lepiej Gerardemu smakował niż tamten, i żeby go mógł skosztować, pewnie by mi go jeść pozwolił, bo zwyczajem doktorskim jest pozwalać pacjentom to, co sami lubią.

Lecz nie dość na tym; Warszawa miasto, a Szafarnia wieś. Tam dla wszystkich bułki, a tu prawie tylko dla mnie jednego. Jakże więc można, żeby mi Ma-

ma pozwolenia nie dała? Czyliż nie dosyć jasno wystawiłem, że mogę jeść chleb wiejski? Żeby tylko Gerardot był w Warszawie, zaraz bym poprosił pani Dzięwanowski (!) o bochenek chleba i przez pocztę w pudełeczku przesłał, a za pierwszym ugryzieniem kromeczki Gerardot dałby pozwolenie. W nadziei więc, iż uzyskam to, o co tak bardzo proszę (za pozwoleniem panny Ludwiki i panny Józefy, które mi już raz pozwoliły w nadziei mającego przyjść pozwolenia), kończę w tej materii moją dySSERTACJĄ. (...)

Biore pigułki regularnie i tyżanny co dzień po pół karafinki wypijam nie przerywając. Przy stole nic nie pijam, tylko trochę słodkiego wina, frukta jem, ale jak najdojrzalsze i zaaprobowane przez pannę Ludwikę. Oczekujemy Papy z największą niecierpliwością, a ja Papy proszę, żeby Papa był łaskaw i kupił u Brzeziny *Air Moore variée pour le pianoforte à quatre mains pur Ries* i przywiózł, ponieważ chcę je grać z panią Dzięwanowską: prócz tego, żeby Papa mógł przywieźć albo receptę, albo słojelek pigulek, bo te tylko, które mam, podług dzisiejszej rachuby na 27 dni wystarczą. Zresztą nie mam nic do pisania, jak tylko, żeby mi Ludwika doniosła o zdrowiu Mamy i Papy, o którym nie wątpię, że już zupełnie zdrow na swój krzyż. — Ludkę, Izabelkę, Emilkę, Zuzię, panią Dekert, pannę Leszczyńską ściskam serdecznie. Konikowi Polnemu i Chomontowskiemu ukłony zasylam. Całuję rączki i nóżki Najukochańszych Rodziców najprzywiałszy syn

10 sierpień 1824 r.

F. F. Chopin

Kochany Wilusiu.

Dziękuję Ci za Twoją pamięć o mnie, ale z drugiej strony, gniewam się na Ciebie, żeś taki brzydki, niedobry, bla, na koniec, żeś taki *et caetera* i do mnie tylko półpiórkiem pisał. Czy Ci papieru, czy pióra, czy atramentu szkoda było? Możeś czasu nie miał? Czy też na koniec nie chciało Ci się jak się należy pisać, a nie przypominać sobie na końcu o mnie. Ej, bo, to to: na koniu jeździ — bawi się dobrze, o mnie nie myśli... Ale co tam — daj mi buzi, i zgoda.

Cieszę się, żeś zdrowi i żeś wesół, bo tego na wsi potrzeba, a zarazem to mi jest przyjemne, że do Ciebie pisać mogę. Ja się też wcale nieźle bawię, a nie tylko Ty jeździsz na koniu, bo i ja umiem na nim siedzieć. Nie pytaj, czy dobrze, ale umiem; przynajmniej tak, że koń powoli, gdzie chce, idzie, a ja, jak małpa na niedźwiedziu na nim ze strachem siedzę. Dotąd nie miałem jeszcze przypadku, zlecenia z konia, bo koń mnie nie zrzucił, ale... może kiedy zlecę, jeżeli mu się spodoba.

Nie będę Ci głowy zawracał moimi interesami, bo wiem, że Ci się to na nic nie przyda. Muchy mi często na wyniosłym siadają nosie, ale to mniejsza, bo to jest prawie zwyczajem tych namiętnych zwierzątek. Komary mnie gryzą, lecz to mniejsza, bo nie w nos. Bujam po ogrodzie, a czasem chodzę. Chodzę do lasu, a czasem jeżdżę, notabene nie na koniu, lecz w bryczce lub w koczku, lub w karecie, z takimi jednak honorami (!) iż zawsze na tyle siadam, a nigdy na przódku. — Możem Cię już znudzić, ale cóż robić. Jeżeli zaś nie, napisz na najbliższą pocztę, a ja czym prędzej moje literaty kontynuować będę.

Bez żadnych tedy komplementów kończę mój list, ale po przyjacielsku. Bądź zdrow Kochany Wilusiu, a proszę Cię, pisz do mnie, a nie tylko przypisuj.

Za 4 tygodnie widzieć się będziemy. Ściskam Cię serdecznie, szczerzy Twój przyjaciel.

sierpień 1824 r.

F. F. Chopin

JULIUSZ SŁOWACKI — „Dzieła” pod red. Juliana Krzyżanowskiego t. XIV „Listy do krewnych, przyjaciół i znajomych (1820—1849)”. Oprac. Jerzy Peło, Ossolineum, Wrocław 1952, wyd. II.

6 grudnia 1827 r. Włno

Kochany Stryjaszku!

W tych dniach odebrałem list od kochanego Stryjaszka donoszący mi o wszystkich staraniach i trudach, podjętych we wspólnym naszym interesie, i śpieszę z podziękowaniem za nie. Plenipotencja żądana na osobę Łukawieckiego i Godlewskiego już jest napisana w kancelarii grodzkiej,

ale jej dziś odebrać nie mogę z powodu kmiennin cesarskich i chyba na przyszłą pocztę ją przysłać. Szkoda bardzo, że mi Stryjaszek nie wymienił urzędów i godności tych dwóch panów: pytało mnie o nie w kancelarii — i w plenipotencji wyrażone będą prosto, bez żadnych tytułów, ich imiona; lękam się, żeby się oni za to nie obrazili. Co do dokumentów, zdaje się, że jeszcze tych niewiele mamy; rad bym bardzo, żeby się co odkryło w aktach lwowskich, rad bym bardzo, żeby się jeszcze nie tak prędko księgi zamknęły. Śluszne kochanego Stryjaszka wymówki za moje krótkie i lakoniczne listy; od mojej Mamy często odbieram podobne napomnienia; ja sam czuję się winnym, ale przełamanie mego wrogiego lenistwa z wielką mi przychodzi trudnością.

Podróż do Odessy i morskie kąpiele bardzo dobry miały wpływ na moje zdrowie i przez lato nie czułem żadnego bólu w piersiach, teraz jednak po odechnięciu klimatem wileńskim znów czasami ten ból powraca. Słyszałem niedawno, że Fortunat jedzie do Włoch dla polepszenia zdrowia żałuję bardzo, że nie skończyłem nauk, bo może by i dobrze było z nim razem pojechać, a jeżeli w Warszawie lub na wsi nie będzie mi lepiej, to może się i na tym skończy, że do Włoch pojedę i tam przyjemne jakieś miejsce za mieszkanie obiorę; ale z tym wszystkim wolałbym na własnej mojej rodzinnej ziemi, we własnym domu życie moje przepędzić i dlatego bardzo myślę o kupieniu wioski; ale chciałbym, żeby ta była blisko Krzemienca, szczególnie dla biblioteki i dla łatwości dostawiania nowych dzieł.

Zygmierz na pozór bardzo mi się nie podobał, jedno tylko sąsiedztwo kochanego Stryjaszka mogłoby mnie ściągnąć w tamtą stronę. Daleko lepiej podobają mi się okolice Tulczyzna. Co się tyczy funduszów naszych, o tych z pewnością jeszcze się nie wiedziałem i właśnie teraz piszę do Mamy, żeby na te kontrakta zapowiedziała wszystkim dłużnikom złożenie i oddanie kapitałów. Kochany Stryjaszku, nie opuszczaj mnie i pomagaj mi na tym świecie, a ja za to będę Was kochać jak zastępujących mi miejsce Ojca. Całuję serdecznie

Stryjaszka, Stryjenkę, kochane Siostrzyczki i Braciszka.

Julio

JULIUSZ SŁOWACKI — „Dzieła” pod red. Juliana Krzyżanowskiego, t. XIII „Listy do Matki”, oprac. Zofia Krzyżanowska, Ossolineum Wrocław 1952, wyd. II.

Paryż, d. 3 września 1832 r.

... Dnia 7 sierpnia. Od kilku dni przyjechał Mickiewicz. Zaden z nas nie chciał zrobić pierwszego do poznania się kroku — a było kilka osób którym mówił że mnie chciałby widzieć — starano się więc sprowadzić nas gdzie razem i poznać... Dziś zeszedłszy się na wielkim obiedzie... Mickiewicz improwizował — ale dosyć słabo. Po obiedzie, kiedy chodziło o towarzystwo po ogrodzie, Mickiewicz przystąpił do mnie i zaczęliśmy sobie nawzajem mówić komplementa... Mówił mi, że mnie znał — dzieckiem... przypomniałem mu ową jego wizytę u nas, gdy się zszedł tak nieszczęśliwie z Janem Śniadeckim. Śmiał się z przypomniał mi, że mu Maleski moje wiersze za granicę przysłał. Kiedyśmy zabrnęli w komplementa, kiedy mu mówiłem, że go uważam za pierwszego poetę... jeden z Polaków stojących za mną i podechmielony zapewne, powtórzył jak echo: „Nadto jesteś skromny” i tymi słowami pomieszał zupełnie naszą rozmowę. — Podczas obiadu Cezary biegał i zapraszał nas na wieczór artystów do siebie — był to wieczór z mężczyzn samych złożony... Szopen, sławny fortepianista, grał nam... gadaliśmy różne poezje, słowem, że dobrze nam zszedł wieczór. Wielu było Wołyniaków — wiele wypiliśmy szampana... Wieczór ten był naśladowaniem świetnych wieczorów, które tu dają artyści francuscy — na takich wieczorach muzycy najpierwsi grają, malarze przy stolikach rysują karykatury i często korzystają z twarzy przytomnych sawantek — wojażerowie opowiadają swoje podróże, uczeni swoje odkrycia itd. (...)

Genewa, 1833 r. 24 kwietnia.

... 25 kwiet. (o) 11 w nocy. Wracam teraz z ogrodu — cała

godzinę po herbacie chodziłem po alei sam jeden. Księżyć świecił mi — i w ciszy głębokiej śpiewał jeden słowik smutno, jakby płakał... O Matko moja! myślałem o Twoich projektach kupienia domu — mebli i cichego życia. Nie podobna! Nie podobna!... Przebac mi, Matko, że ja tak niczym jestem dla Twego szczęścia — ja nie nawet dla własnego nie robię... Twoje pismo okropnie mi przedstawiło obrazy... Wy coraz mniej macie dostatków... zdaje się, że los wziął teraz za cel naszą rodzinę.

Mówią mi czasem ludzie, że ja mam wyższe zdolności; po takich mówach ludzi często myślę z goryczą, że jest tylu, którzy z małymi talentami utrzymują całe rodziny, zasłaniają je od niedostatku... a ja jestem jak niepotrzebne ziele... Jestem nawet ciężarem dla Ciebie, Mamo moja... Przebac mi, Matko moja, że taką drogę obrałem... Ale wrócić nie mogę, Teofilu! czuwał tam nad wszystkimi... strzeż i bądź ich aniołem... a ja-kiedyś zapłacę za Ciebie dług, podczas księżycowej nocy kiedyś zaciągniemy.

Nie śmiecie się z tego listu, bo ja go ze łzami piszę... Ty mi, Matko, piszesz o ożenieniu — nie chciałbym niszczyć Twoich marzeń... A jednak zdaje mi się, że ja wiecznie na samotność skazany jestem, bo mojej żonie ciężarem być nie myślę... dosyć, że nim jestem dla Ciebie... Wierzę w przyszłe życie — bo to nie podobna, aby Bóg Ciebie nie nagrodził za to, że Ci dał takiego syna...

Florencja 1838, 2 stycznia

Otóż rok przeszedł nowy, a ja się nie kocham — co to będzie? Poznałem tu teraz ładną jak anioła Amerykankę i to był kamień probierczy mojego ostyłego serca. Zdawało mi się z razu, że to była jedna z nimf Niagary — podobnych do tych widm, które Manfred wywoływał z tęczy nad wodospadami — i już miałem zachwycić ognia z jej błękitnych oczu, kiedy mnie odstręczyła od niej ciągła wesołość, ciągnął prawie uśmiech na rozkwitłych ustach — włożyłem

włosem znów jak ptak głowę pod skrzydło i pograżyłem się w moje sny melancholiczne. (...)

„Kraśński — Listy do Stanisława Małachowskiego” (Korespondencja Zygmunta Kraśńskiego), oprac. Zdzisław Sudolski, PIW, Warszawa 1979 r.

9 lutego 1847, Nicea

Zapewnieś słyszał, że puściłem się na próbę eterową i najszczęśliwsze skutki mi z niej wyniknęły, to jest, że nerwów moich stan się poprawił i melancholia zelżała. W istocie dziwna, arcydziwna potęga. Myślę, że jej nadużycie mogłoby człowieka zamordować i na ciele, i na duchu, ale że rzadko, w razach ważnych i desperackich, użyta może przynieść wstrząśnienie nerwom pożyteczne i być ratunkiem. Nigdy w życiu nie podobnego nie byłem doznał, jak stan nastąpił po wznieceniu nosem pół uncji eteru. Powietrze ustami wyziewasz, woń zaś z flaszki pełnej nosem wdziewasz; po kilku minutach czujesz, że światu temu pożegnawczo kłania się Twoja dusza, odpada od Ciebie ciężar ciała twego. Zdaje Ci się, że płasiejesz, niesłychaną stajesz się lekkością, spójrz w górę, w niebo, w gwiazdy, a pomyślisz, że to Twoje wszystko, a uczujesz, że mógłbyś się puścić na przebój przez Wszechświat i dojść aż do Pana Boga. Później zaczyna następować zwykła reakcja. Widzisz jakoby śmierć wieczną nasuwającą się na widnokrąg Twego żywota, zdaje Ci się, że wieki upłynęły, od kiedyś zaczął wachać, że wciąż jakieś wieki płyną, a w miarę jak upływają, śmierć Twoja, przed Tobą samym ciemnościami wyrażona na widnokręgu lazurowym życia Twego, coraz mniej lazurowym rośnie i rośnie, jak owe cienie na ziemi, w miarę jak słońce pochyla się ku zachodowi. Wreszcie tylko punkt jeden światła, błękitu, życia zostaje. Już wtedy nie możesz mówić do otaczających, żal Cię chwyta, że nikt nie będzie wiedział, co się w tej ostatniej w Tobie odbyło godzinie; jednak żaden strach ni wstręt od śmierci onej Cię nie ogarnia, bo w końcu końców czujesz, żeś nieśmiertelny, stokroć silniejszy we wnętrzu włas-

nej ukrytej istoty niż ona. Jeśli chcesz pomyśleć o czymś ziemskim, o sobie, idei, sprawie, dziele, książce, piśmie jakimś, nie sposób. Jesteś gdzieś, gdzie nie ma prócz ostatecznego jądra Twojej istoty własnej, ale takowego, który (!) już wokół siebie promieni czynów ni pomysłów siać nie może; jednak wiesz i czujesz, że owe jądro, owa jaźń nienaruszalna, nieobalalna, nieśmiertelna, boska na wieki wieków, amen. A im bardziej ciemności się narzucają, im szum bardziej i piekielny turkot rośnie Ci w uszach wewnętrznych mózgu, tym też bardziej hart ten stalowego ducha swego im przeciwstawiasz, i choć na niteczce wisisz wśród wieczności, wiesz, czujesz, że ta nitka nie może się urwać, żeś jest boś jest. Wreszcie śmierć odchodzi pobita i wracasz na ziemię z tych stanów, które mi zupełnie wydają na stany pośmiertne duszy naszej, nim się powtórnego gdzie dorobi żywota. Umarłym tak być musi: oddzieleni od wszelkiej możliwości dopełniania czynów, nie mogąc obcować z osobami i ideami pozostawionymi na ziemi, pod słońcem, ale trwający, nieśpożyty, nieśmiertelni, z głazu kuci tego, z którego Bóg wieczność wybudował! Niezawodnie ten eter niczym innym, jeno potęgą tak nasz organizm modyfikującą na chwilę, jak go śmierć przemodyfikuje na chwilę wiele, mutatis mutandis; pojmujesz, ale to stanowi rys właściwy tego objawu, rys jest charakterystyczny. Byłoby świątwnem i grzechem się rozpić, nawet z celem by się człowiek mniał, bo w miarę nadużywania, przestałby doznawać całej dziwności i cudowności tych wrażeń; spróbować dla nauki, przestrogi i wyimiarkowania za życia jeszcze, czym może być pogrobowy stan, warto. Nad dwie uncje od razu wywonić nie radzę nikomu, zresztą każdy sam czuje, kiedy mu zaczyna być dosyć. Jam trzy razy próbował, nigdy nie potrafił dojść do martwości, zawsze śmierć porażona uciekała od środka mej istoty! Raz na ból okropny głowy zażyłem tego środka: jak ręką odjął. (...)



W pomroce jaźni

W TRZECIEJ części najnowszego tomiku Ryszarda Zamojskiego*) przykuwa uwagę, pro- wokuje wiersz „Idiom”:

Miałem kiedyś obszary
jasnych rozstrzygnięć
jak chociażby
kolejny wiersz
o nigdy nieprzewidzianej strategii
a teraz
popatrz
do czego doszedłem
w jakiej analizie się próżni
gdy mówię

zwycięski
tylko mniej przegrany

przegrany
tylko mniej zwycięski

Nie wykluczone że jestem teraz
ciągłym zaprzeczeniem
przytwarzającym martwo
na wadze

i nawet prawda
nie jest doświadczeniem
granic.

Jasne rozstrzygnięcia nigdy nie- przewidywanej w każdym kolejnym wiersze strategii? — toż to oczywi- sty paradoks. Próżnia wypowiedzi, przegrane po części zwycięstwo, zwycięska po części przegrana, martwy przybór na wadze ciągłym zaprzeczeniami? — to jawne po- zory. „Prawda, której nie można osiągnąć u granic poznania? — to obehwytająca daremność.

Poeta tropi sens bytu — ludzacz się, że docieczy. Pomnaża jedynie słowa. Trudno je uszeregować w jakiś logiczny ciąg, bo co raz sobie przecza. Bvt to po prostu „pobyt” (tytuł wspomnianej części, z której pochodzi cytowany tekst) u wrót innego, tj. czegoś nieuchwytnego i pociągającego zarazem.

Czyżby dokonał sztuki niemoż- liwej: przłamał język dys- kursywny hermetyczne metafory i frazy Zamojskiego? To także po- zór. Tajemnica tkwi chyba głębiej, w metafizyce poetyckiego przeży- cia.

Ono tu ma znaczenie decydujące. Właściwie tylko ono się liczy tak naprawdę. Jeśli czytelnik uprze się i zapręgnie wyluskać ukryte sensy z obywatelstwa poematów („Wewnątrz I” i „Wewnątrz II”), zapewne uda mu się to. Jak mi w przypadku za- trąsnętego na cztery spusty

„Idiomu”. Ale nie przysporzy wiele satysfakcji. Lepiej poprze- stać na odbiorze czysto intuicyj- nym, na domyślnym ledwie po- chwyć treści, tam gdzie się ona z magny skojarzeń wynurza i co- kolwiek klaruje.

Liryka Zamojskiego rzadzi „bez- prawie” swobodnej kreacji. Na po- ruszonej impulsom inicjujących skojarzeń fali możliwości wy- obraźnia przebiega wzdłuż i w szerz, tam i z powrotem czas oraz prze- strzeń od genealogicznej przeszło- ści po trajektorie kosmosu, szamo- cąc się pomiędzy obsesyjnymi ho- ryzontami. Wiedzie ją Bergsonow- ski „uswiadomiony instynkt”, lecz spowija i powściąga mrok gdzie- niegdzie tylko przeswitującej ab- strakcji.

Konsekwencja — po „Igrzyskach misternych” (1973) i „Układzie zam- kniętym” (1979) — widoczna. Ol- śniewających pomysłów, sformuło- wań-strzałów „w sama dziesiątkę” — o ile jednak mniej. Słabnie jak- by wisor zadziornej do niedawna fantazji, której osiągnęła zatruta strzała refleksji o odwiecznym przemijaniu.

STANISŁAW NYCZAJ

*) RYSZARD ZAMOJSKI: „We- wnętrz”, Łódź 1982, Biblioteka Święto- krzyska, s. 41, 3 nrb.

Tramwaj zwany powieścią

DEBIUTANCKA powieść*) An- drzeja Lenartowskiego, autora wydanego przed dwoma laty i dobrze przyjętego, również debiu- tanckiego tomu poezji „Umaria po- dróż” — opowiada o dziennikarzu, młodym, ale już nie początkują- cym, bo mającym za sobą udany start w stołecznej prasie i już pe- wne uznanie wprawnego reportera. Otóż ów odznaczający się nonkon- formizmem żurnalista także i tym podkreśla swoją odrębność, iż jak sam o sobie powiada (zresztą nie do końca prawdziwie), nie lubi za- grzewać miejsca, więc zamienia Warszawę na prowincję. Owa pro- wincja jest miastem nie wymienio- nym z nazwy, ale nie jest też mia- stem jakimkolwiek, wyimaginowa- nym, bo tekst książki zawiera dość wiele czytelnich tropów (choćby ów coroczny festiwal harcerski), aby nie mieć wątpliwości, gdzie się znajdujemy. Bohater, Michał Cza- mara, przystaje w redakcji „Pog- łosu Miasta” na wolnego strzelca, zostaje „bezetatowcem”, który o- trzymał skromny ryczałt i szeroko otwarte łamy, by — określenie z książki — „przerabiać na wierszówkę” życie, acz pod warunkiem, ażeby nikogo nie drażnić, gdyż —

jak mu prawi naczelnny „Pogłosu” po lekturze jego reportażu przy- wiezionego z terenu — „Drażnienie to sztuka dla sztuki. (...) Artysta musi mieć sprecyzowaną jasno myśl przewodnią, zeży wiać było, po której stronie barykady stoimy.” Po prostu „gazeta jest bezproblemowa” — jak rzecz kwi- tuje fotoreporter „Pogłosu”. Cza- mara albo udaje, albo faktycznie zaraża się tym oportunistycznym właściwym dla epoki propagandy sukcesu (którą Lenartowski pryncy- pialnie obsmarowuje; należy jej się!) — raz jeszcze przywołanie tekstu — stara się, by utracić w to, czego od niego oczekują, a oče- kują mianowicie, aby prezentował budującą całość, a nie dziury okrop- nie ją szpecące. Alieci przychodzi sierpniowa odnowa i najbardziej zagorzali wyznawcy sukcesu prze- istaczają się w neofitów nowego, przedstawiają się jako ci, którzy już dawno wiedzieli, czym to wszystko pachnie i do czego pro- wadzi, którzy wiedzieli, że dłużej tak być nie może, wszystko się wali, kryzys za progiem, a ich, wbrew sumieniu, nakłaniano do laskierstwa i tak dalej. A Cza- mara? Czamara ma charakter (być może cudzysłowy ujmujący to sło- wo byłby na miejscu) i nie da się porwać koniunkturalnej fali...

Dziennikarskie sprawy tworzą linie powieści, wokół której Le- nartowski organizuje inne wątki. Czamara wspomina nieudane dzie- ciństwo, rozpamiętuje, nieudane również, małżeństwo, przeżywa przygody knajpiant i łózkowe. W autorskim zamyśle zapewne te wszystkie sytuacje i epizody mają służyć charakterystyce Czamary, wyjaśniać jego motywacje, jego postawę. I zapewne przysługują się temu. Co jednak w żadnym wy- padku nie oznacza stwierdzenia komplementującego książki. Otóż bowiem (zaraz padnie okropny — pardon — truizm) w literaturze „jak” nie powinno przegrywać z „co”. Powieść nie może sprawić wrażenia, jakby była robiona z ka- wałków, które mogą być albo nie, do których można doczepiać naj- różniejsze sceny, epizody i situa- cje.

Otóż książka Lenartowskiego jest takim tramwajem, który sobie je- dzie, ludzie wsiadają i wysiadają, zagadują do siebie, przystanek, zmienia się tramwajowe towarzy- stwo, pojawia się ktoś nowy, coś mówi, dzieją się jakieś scenki, każda z nich może być sama w sobie nawet ciekawa, ale postaw- my dosadne pytanie: i co z tego? Taką rolę tramwajowego pasażera odgrywa m.in. opowieść wdowy, u której mieszka Czamara. Rzecz zrobiona zrecznie, na pewno, ale trzeba postawić pytanie o jej — opowieści — znaczenie dla książ- kowej dramaturgii. Chyba że przy- pomnimy sobie, na czym zasadza się rola motorniczego w tramwa- ju...

ANDRZEJ LENARTOWSKI — „Wol- ny strzelec”. Iskry. Warszawa 1982, s. 183, cena 50 zł.

Na usługach gestapo

DZIAŁO się to wszystko pod samymi oknami bocznego skrzydła Gestapo. Za szczytami ukazywały się przerażone twarze, a jedno z okien otworzyło się z hukiem i zaraz z góry padł strzał rewolwerowy. Zamachowcy zmienili teraz magazynki i obrócili broń w kierunku okien. Kule dziobały bryk, a natrafiwszy na swej drodze na szyby rozżarzyły je na chwilę do czerwoności. Trafione szkło odwijano się jak miękki liść, a potem z brzękiem kruszyło się na tysiące dzwoniących odłamków. Twarze gestapowców znikły...

Powyższy fragment pochodzi z wydanej w Londynie powieści Wacława Lieberta, której bohaterem jest Hans Wittke, osławiony szef agentów kieleckiego gestapo. Opis dotyczy ostatniego, udanego zamachu żołnierzy AK na Wittka dokonanego w Kielcach u zbiegu ulic Szerokiej (dzisiaj Bucza) i Solnej, obok budynku gestapo. Z wyroku Polskiej Podziemnej zginał wówczas człowiek mający „szczególne zasługi” w rozpracowywaniu konspiracji, ruchu oporu i dokonywanych przez okupanta zbrodniach. Wystarczy powiedzieć, że z jego imieniem łączono zorganizowanie akcji przeciwko „Hubalowi”, pacyfikację Szalas, zbrodnie dokonane w rejonie Łysogór wiosną i latem 1943 roku, m.in. egzekucję 39 Polaków w Bodzentynie podejrzanych o udzielanie pomocy partyzantom, a także szereg aresztowań i pojedynczych zabójstw członków ruchu oporu.

Wittka, Chorwata z pochodzenia, byłego oficera armii austriackiej otaczał nimb tajemnicy. Wiele szczegółów z jego życiorysu pozostaje w sferze domysłów. Podobno uczestniczył w zamachu na króla Jugosławii, Aleksandra, dokonanym w Marsylii w 1934 roku, był agentem policji włoskiej, a przed samą wojną niemieckiej. Do Polski przybył w 1936 roku i zatrudnił się w Zakładach Starachowickich, stanowiących jedno z ogniw polskiego przemysłu obronnego. Działal zapewne w osławionej V kolumnie. Po wybuchu wojny początkowo był tłumaczem w kieleckim gestapo, a następnie kierował siatką agentów, ciesząc się wyjątkowymi względami szefa urzędu Karla Essiga. Na Wittka wydano 8, może 9 wyroków śmierci i tyleż razy próbowano je wykonać. Dziwnym zrządzeniem losu z zamachów wychodził cało, aż do czerwca 1944 roku.

Akcja powieści Wacława Lieberta rozgrywa się na dwu płaszczyznach. Jedną z nich obrazuje okupacyjną rzeczywistość kielecczą, widzianą przez członków ruchu oporu i Wittka, drugą natomiast jest retrospekcja, w której

bohater relacjonuje swe burzliwe przedwojenne lata. W treść książki wplecione są fragmenty meldunków wywiadu akowskiego o działalności Wittka, które ewidencjonowano pod kryptonimem „W.16”. W pewnych fragmentach stylem i narracją powieść Lieberta przypomina pisarstwo Cezarego Chlebowskiego.

WACŁAW LIEBERT — „Ewidencja W. 16” Polska Fundacja Kulturalna. Londyn 1980 r., s. 249.

Szare reportaże

RYSZARD CIEMIŃSKI znowu wydał książkę; jest ona zbiorem reportaży pt. „Ale odejść pan musi...”. Czytelnika województw kieleckiego i radomskiego może ona zainteresować z tego względu, że penetracją reporterską zostały objęte również i te regiony. W reportażu „Spółdzielienka” autor eksponuje łamanie praw pracowniczych i tłumienie krytyki w radomskim „Cheminecie”. Z tegoż regionu jest też „Ci z Gerlach” — rzecz o kombinacji nożowniczym w Drzewicy. Kieleccyzna została uciechona reportażami „Gorycz i odraza” — o sytuacji ludzi starych, ich biednym życiu; a także „Ja jestem od decyzji majstrom” — dość nudażne enuncjacje o problemach fabrycznych kieleckiego „Chemaru” i ówczesnego dyrektora inż. Kucharzyka.

Mottem tomiku mógłby być cytat z Janusza Korczaka: „Nie dajemy wam ojczyzny, bo ją trzeba mieć w sercu, nie dajemy wam majątku, bo go nie mamy, dajemy wam tęsknotę za lepszym życiem.” Niestety, to hasło wywoławcze okazało się za trudne dla znanego już w kraju reportera.

Wędrujemy z autorem po różnych zakładach pracy w kraju, obiektach socjalnych, placówkach służby zdrowia, zaglądamy na wieś, do małych miasteczek, przyglądamy się różnym sprawom fabrycznych załóg i cóż dostrzegamy? Sporo łajdactw, przewinień urągających prawu, a przede wszystkim ogromna szarżyzna dnia codziennego. Trzeba zgodzić się z twierdzeniem, że Ciemiński nie potrafi nas zainteresować bulwersującymi opowieściami.

Za bardzo to wszystko sprawozdawcze, szare, nijakie, a chciało by się poczytać trochę dobrej literatury. Zawartość tomu jest obciążona bieżącą, gazetową interwencyjnością; czytelnik pragnąłby dorzeć w tych reportażach trochę wartości estetycznych. Zresztą informacja zawarta w owych doniesieniach jest mocno przestarzała, a więc niepotrzebna, pozbawiona waloru aktualności, interwencje

reporterskie stanowczo zbyt spóźnione, sprzed wielu lat. Czyja to wina: autora czy wydawnictwa?

Okazuje się jeszcze raz, że reportaż w książce, jeśli już interesuje, nie powinien mieć charakteru skrzynki życzeń i zapałek. Wymagana jest raczej interwencja w świadomość społeczną, w warstwę kulturową, zaś prezentowane fakty niechby zdążyły do ukazania zjawisk bardziej typowych, w wymiarze bardziej ogólnym, by nie rzec — ponadczasowym. Uogólnienie nobilituje reportaż, nie zaś drobne, jednostkowe bolączki.

Zbiór reportaży Ryszarda Ciemińskiego został rzucony na rynek księgarski w nakładzie aż dwudziestu tysięcy egzemplarzy. Nie szkoda to papieru?

RYSZARD CIEMIŃSKI „Ale odejść pan musi...” Krajowa Agencja Wydawnicza, 1982, s. 218, cena 80 zł.

Z regionalnej witryny

HALINA STRÓŻEWSKA
MAREK BIELSKI — „Szlakiem Jana z Czarnolasu”. Przewodnik turystyczny. KAW Łódź 1982, s. 44, ilustr., cena 65 zł.

Czarnolas, Sycyna, Zwolen i... I w gruncie rzeczy tyle, bo chyba nie więcej jednak nazw miejscowości kojarzy się przeciętnemu Polakowi z rodzinnymi stronami Kochanowskiego. Jakby zatem w zamiarze poszerzenia tej skąpej wiedzy i uświadomienia współczesnym, że ziemia radomska przechowuje w pamięci liczne ślady opowiadające o życiu poety i jego najbliższych — spółka autorska Halina Stróżewska i Marek Bielski przygotowała w popularnej formie przewodnika turystycznego wykład o rodowym gnieździe Kochanowskich. Jest więc w przewodniku mowa o przodkach poety, ich kolicach i powiązaniach z poszczególnymi miejscowościami, jest w przewodniku nagromadzenie informacji tylko pozornie różnej wagi, bo każda z nich stanowi ważny przyczynek ilustrujący czas i charakterystyczny postać, o której mamy tak mało przekazów.

Autorzy proponują zwiedzanie ziemi Kochanowskiej jedną z czterech tras pieszych bądź trasą samochodową. Naturalnie, przy okazji niejako sprzedają region, jego dzieje, zwracają uwagę na zalety, na wszystko, co przedstawia turystyczną atrakcję co może zaciekać „po drodze”. Ale właśnie na to ma zwracać uwagę przewodnik.

BABCIA I ROZBÓJNICY

Tadeusz Zamogilski

BABCIA, powiedzmy Michalina, ma sześćdziesiąt szesc lat i mieszka samotnie w przydzielonym w ramach opieki społecznej przez władze gminne parterowym domku, w pewnej małej wiosce w bok od Pierzchnicy. Babułka nie ma renty, dostaje 4000 złotych zapomogi miesięcznie i hoduje na podwórku kilkanaście gęsi. Z zapomogi i gęsiego pierza się utrzymuje.

Babcia nie była jednak tak zupełnie biedna, jakby się mogło wydawać, choć trzeba przyznać, że bardzo smutne muszą być samotne wieczory takich starszych kobiet, zwłaszcza gdy są to długie zimowe wieczory. A to był właśnie taki styczniowy wieczór 1983 roku.

Babcia Michalina siedziała sobie na krawędzi łóżka, drobiaz swoją ulubioną kurkę kromkę podeschłego chleba, kiedy zgasło światło. To nie było jednak zwyczajne gniebiące zresztą okoliczne wsie wyłączenie elektryczności; to było to, czego się babcia najmniej chyba spodziewała. Natychmiast po zgasnięciu żarówki otwarły się nie zamknięte jeszcze na noc drzwi i ktoś przyświecił staruszkę elektryczną latarką w oczy. Światło było ostre, zbliżało się, oślepiło.

Michalina zdenerwowała się i zaczęła głośno pytać, kto to i czego chce, ale wiedziała, wyczuła raczej, że to zbyteczne pytania. To byli, musieli być bandyci. Nie wiedziała tylko ilu ich jest — jeden, dwóch, czy może więcej, ale zaraz się miała dowiedzieć.

W zbliżającym się ostrym świetle zobaczyła rękę mężczyzny trzymającą scyzoryk z otwartym groźnym ostrzem. Ręka zbliżała się, jej właściciel milczał.

Podeszedł do babci Michaliny w milczeniu, ciagle — mimo protestów — świecić jej w oczy i ręką, w której trzymał latarkę, zadart kobiecinie podbródek do góry, drugą zaś przystawił nóż do gardła.

Kobieta zasłoniła się ręką. Wtedy poczuła, jakby z boku, dwa silne uderzenia w czoło czymś dosyć twardym. Zakreśliło się jej w głowie, oprócz światła baterijki ujrzała przed oczami mnóstwo gwiazd i upadła do tyłu, na łóżko. Na chwilę straciła przytomność.

Kiedy przyszła do siebie, pomyślała, że nie powinna się zdradzić, że jeszcze żyje, tym bardziej że dwaj napastnicy dotykając ją i badając, mówili: „już kapota”.

Nie wiedziała jeszcze kim są, mieli na twarzach jakieś szmaty (w śledztwie ustalono: pończochy). Zaczeli rozmawiać o workach z nie skubanym pierzem i puchu, wtedy od razu poznała ich — sąsiedzi zza miedzy.

Sąsiad kierowca stwierdziwszy, że Michalina chyba nie żyje, wyjął jej z kieszeni starego serdaka 35.000 złotych w jedno- i dwutyślnych banknotach i dodatkowo stare, wycofane z obiegu 10.000, które babcia miała jeszcze nadzieję w banku wymienić, zabrał też kartki na mięso, talon na buty i pięć tysięcy drobnymi, cały babcin majątek, po czym wraz z drugim młodszym od siebie sąsiadem, wzięli się do przepakowywania pierza.

Skończyli. Teraz sąsiad-kierowca podeszedł jeszcze raz do leżącej ciagle na łóżku nieruchomej babci i podniósł jej rękę. Opuszcza ją bezwładnie.

Wyszli z domu i zamknęli wejściowe drzwi na skobel, okręcając go mocno grubym drutem. Coś widocznie zaniepokoiło ich w zachowaniu Michaliny, bo poczekali chwilę przed domem, odkręcili drut i ponownie weszli do mieszkania sprawdzić, czy Michalina jeszcze żyje.

Nie ruszała się. Macali przeguby rąk, jakby sprawdzając bicie pulsu, mówili „już z nią kapota” i odeszli, z powrotem zakrecając skobel drutem.

Babcia Michalina nie słyszała ich tam przed domem, lecz aby się nie zdradzić, że jednak żyje i jest całkiem przytomna, leżała jeszcze godzinę na łóżku, nie zmieniając pozycji, w jakiej zostawili ją bandyci — sąsiedzi. Do rana nie paliła też światła.

Gdy się rozwidniło, wyszła z domu oknem. Najpierw nakarmiła swoje gęsi, a potem poszła na posterunek, gdzie opowiedziała o sąsiedzkiej wizycie dwóch dobrych znajomych. Babcia nie wiedziała, że w rozboju brał udział i trzeci, stojący na obstawie sąsiad, robotnik leśny, który dostał za tę przysługę tysiąc złotych i wraz z dwoma głównymi sprawcami wprost od niego udał się do sąsiedniej wioski, gdzie u znajomego śpiewajaco opijali wyprawę winem nieoficjalnej marki „siarka” i wódka, po czym oddzielnie, już nad ranem, wrócili do wsi. W głowie się babci Michalinie nie mieściło, że sąsiedzi potrafili coś takiego zrobić.

Nie mieściło się też w głowie sąsiadom i w sprawie doraźnej toczącej się przed Sądem Wojewódzkim w Kielcach na mocy artykułu 216 § 2 kk („Jeżeli sprawca rozboju posługuje się bronią palną lub innym niebezpiecznym narzędziem albo działa wspólnie z osobą, która posługuje się taką bronią lub takim narzędziem, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci.”) skazali sąsiada kierowcę i jego młodszego kolegę na kary po 10 lat więzienia oraz po 30.000 złotych grzywny z zamianą w wypadku niezapłacenia w terminie na karę zastępczą po 60 dni pozbawienia wolności, przy przyjęciu, że jeden dzień tej kary jest równoważny grzywnie w kwocie 500 złotych oraz orzekli pozbawienie ich praw publicznych na okresy po 3 lata. Sąsiad z obstawy dostał cztery lata mniej.

Czytelnikom pozostaje informacja, ile nas kosztuje każdy dzień utrzymywania w więzieniach sporę liczby skazanych oraz świadomość, że tylekroć wychwalana wiejska pomoc sąsiedzka, działa czasem tylko w jedną stronę i coś na kształt ostrzeżenia przed chytrością niewinnie wyglądających wiejskich babuleńek.

APITERAPIA ^(III)

Wskazania lecznicze: anemia, astma wysiłkowa, awitaminioza, cukrzyca, choroba wieńcowa serca, choroba wrzodowa żołądka i dwunastnicy, dolegliwości serca, zaburzenia czynności gruczołów nerkowych, niezbyt jelita grubego, infekcja, miażdżyca, niedobory aminokwasów, enzymów i witamin, niedokrwienie narządów, niedomogi narządów przemian materii oraz gruczołów wydzielania wewnętrznego, niedorozwój fizyczny i umysłowy dzieci, niedowład kończyn po Heine-Medina i po wylewach krwi do mózgu, stany chorobowe nerwów, zmiany na dnie oka oraz jego stany zapalne i osłabienie wzroku, osłabienie słuchu, niewydolność wątroby po zółtacze zakaźnej i po zatruciach, zawroty głowy, zrosty zapalne, zapalenia.

IV. PYLEK KWIATOWY I PIERZGA

Pylek kwiatowy (pollen) odznacza się szczególnym bogactwem składników i bardzo korzystnymi właściwościami. Istnieje mało przykładów, aby jeden naturalny produkt spożywczy miał aż taką moc odżywcza i energetyczną przy absolutnej nieszkodliwości.

Zgromadzony zapas pyłku kwiatowego nazywamy pierzgą, która pszczoły powlekają warstwą miodu i zaklepiają woskiem, aby ją chronić przed dostępem powietrza. W warunkach beztlennych pierzga ulega fermentacji mlekowej. Wytworzony kwas mlekowy kon-

serwuje pierzgę. Od składu chemicznego pierzgi zależy wartość mlekaka pszczelego.

Bardzo korzystne, szczególnie w przypadku leczenia chorób uchodzących za nieuleczalne, jest stosowanie pyłku kwiatowego z mlekakiem pszczelim, gdy te składniki występują w stosunku 1:1 (wagowo po 0,05 g). Taki preparat poprawia przemianę materii, aktywizuje procesy życiowe, narządy są lepiej ukrwione i ich czynności życiowe są bardziej aktywne. Dzięki temu znikają stany skurczowe naczyń, które wzmagają się u ludzi starszych, w szczególności na skutek napięcia nerwowego i innych szkodliwych wpływów.

Pyłek kwiatowy, który jest bardzo bogatym źródłem witamin i pierwiastków metalnych wzmagających ich działanie — ma następujące właściwości: aktywizuje przemianę materii (węglowodanów, tłuszczu i białek), wydzielanie soku żołądkowego, oddychanie komórek pobudza czynności szpiku kostnego, a więc dojrzewanie erytrocytów, normalizuje pracę wątroby, nerek, żołądka, układów nerwowych i oddechowego, sprzyja utrzymaniu normalnej wagi ciała, przeciwdziała zapaleniu nerwów, anemii, krwawieniu dziąseł, wypadaniu włosów, chorobom zakaźnym, krzywiczy, bezpłodności u mężczyzn, poronieniom, zmianom anatomicznym w mózgu, zanikowi mięśni prądkowanych, zakłóceniu trawienia, niedokrwistości, łuszczycom naskórka, zanikowi brodawek językowych, łojotokowi, senności, przebiegniom, zawrotom i bólom głowy, brzucha, zakłóceniom pamięci, zakłóceniom psychicznym.

Suchy pyłek kwiatowy można przechowywać w hermetycznie zamkniętych torebkach z tworzyw sztucznych. Pyłek i mlekako pszczele zawiera Apivit — preparat produkcji polskiej.

CEBULA

CEBULA (*Allium cepa* L.) ze względu na właściwości lecznicze jest ceniona od czasów starożytnych. Znane są jej zalety wzmacniające i dezynfekujące, a także geriatryczne (przedłużające życie). Tam, gdzie jada się dużo cebuli, np. w Gruzji i Bułgarii — ludzie słyną z długowieczności. Przemysł farmaceutyczny wielu krajów stosuje cebulę do produkcji preparatów bakteriobójczych i przeciwschorbutowych.

WŁAŚCIWOŚCI CEBULI I WSKAZANIA LEŻNICZE

Cebula, stosowana wewnętrznie, jest środkiem antyinfekcyjnym, przeciwrumatycznym, antyseptycznym, przeciwschlorbutycznym, przeciwschorbutowym i przeciwkrzepowym, leczy skórę i jej owłosienie, wzmacnia i upiększa paznokcie, leczy gruźlicę węzłów chłonnych, jest środkiem lekko nasennym, obniża poziom cukru we krwi, osłabia napięcie jelit, pobudza popęd piciowy, wzmacnia czynności nerek, jelit, wątroby, układu nerwowego, jest środkiem moczopędnym, rozpuszcza i eliminuje moczniak i chlorki, działa przeciwczerniowo, wykrztuśnie i wydzielniczo, ułatwia trawienie produktów mącznych, utrzymuje w równowadze pracę gruczołów wydzielania wewnętrznego. Daje dobre skutki w leczeniu następujących chorób i dolegliwości: angina, astma, awitaminioza, biegunka, cukrzyca, dolegliwości w oddychaniu, grypa, infekcje moczopięciowe, katar, kamica żółciowa, krzywica, nadfermentacja jelitowa, nadmiar chlorków we krwi, niedomogi prostaty, niemoc piciowa, niezbyt nosa i pogrypowy, obecność moczniaka, ogólne osłabienie fizyczne i umysłowe, obrzęki, otyłość, pasożyty jelitowe, przebiegnię, przerost układu chłonn-

nego (stan limfatyczny), puchlina brzuszna i wodna, skąpomocz, stwardnienie tętnic, wadliwa przemiana materii, zakłócenia wzrostu włosów, zapalenie krtań, opłucnej, osierdzia, oskrzeli i węzłów chłonnych, skrzepy (leczy zważenia naczyń krwionośnych, hamuje krzepnięcie krwi rozpuszczając włókienki czyli fibryny, tj. nierozpuszczalne białko będące podstawą skrzepów).

Stosowana zewnętrznie leczy brodawki, brzęczenie w uszach, czyraki, głuchotę, migrenę, nerwoból zębów, odmroziły, oparzenia, zapalenia opon mózgowych, wzmacnia porost włosów, leczy rany, ropień, wrzody, zastrzał, ukąszenia osy, usmierza bole, odstrasza komary.

POSTACI LEKU I SPOSOBY ICH UŻYCIA

Na użytek wewnętrzny

Cebula surowa. Dodawać do sałatek, zakąsek i zup. Można również stosować cebulę macerowaną w oliwie z oliwek przez kilka godzin.

Cebula cienko siekana. Dodawać do mleka lub do rosolu, smarować kanapki z masłem lub olejem. Pacjent chory od 18 lat na gościec stawowy wyleczył się w ten sposób.

Cebula siekana. Macerować przez kilka godzin w ciepłej wodzie. Popijać rano na czczo z dodatkiem kilku kropel cytryny.

Nalewka. Macerować przez 10 dni świeże cebule w alkoholu 90-proc. w stosunku 1:1. Popijać 3-5 łyżeczek dziennie (1 łyżeczka zawiera 5 g cebuli) na zaparcia i kamice moczowa.

Nalewka słabsza. Macerować cebulę jak wyżej w alkoholu 20-proc. Stosować 5-10 g dwa razy dziennie z dodatkiem wody ośłodzonej przy posiłkach.

(ciąg dalszy na następnej stronie)

CEBULA

(ciąg dalszy ze strony 43)

Działa to bakteriobójczo i pobudzająco na czynność wydzielniczą jelit.

Wino z cebuli. 200 g cienko pokrojonej cebuli, 100 g jasnego, płynnego miodu, 600 g wina białego. Macerować przez 48 godz. Przefiltrować. Brać 2—4 łyżeczki dziennie na awitaminozy.

Świeży sok. Stosuje się na żylaki odbytu, na nieżyt jelit. Fitonocydy świeżego soku wdycha się w celu leczenia anginy, ropni płuc, nieżytów grypowych i nieżyty nosa.

Na grypę: macerować w pół litrze wody dwie cebule pokrojone w plasterki. Popijać codziennie przez dwa tygodnie po jednej szklance przed snem.

Na biegunkę: garść skórek z cebuli gotować przez 10 min. w litrze wody. Popijać pół litra dziennie.

Na biegunkę u niemowlęcia: naciągać trzy pocięte cebule w litrze gotującej się wody przez 2 godz. Ostudzić i podawać dziecku. Cebula gotowana jest łatwostrawna.

Na pasożyty jelitowe: macerować przez 6 dni w litrze wina białego dużą cebulę pokrojoną w plasterki. Popijać codziennie rano przez 1 tydzień (w okresie ostatniej kwadry księżycy wg Valneta). Powtórzyć po 2—3 miesiącach.

Na reumatyzm: trzy nie obrane, ale pokrojone w plasterki cebule, gotować w wodzie przez 15 min. Przecedzić. Popijać po jednej szklance rano na czczo i wieczorem.

Na kamicę żółciową: dusić dużą cebulę cienko pokrojoną w 4 łyżkach oliwy z oliwek. Dodać 150 g wody i 40 g słoniny nie solonej. Gotować 10 min. Popijać ciepłe raz z razem i kilkakrotnie. Przed ułożeniem się do snu wypić filiżankę wywaru z kruszyny pospolitej (2—5 g wysuszonej kory na 1 filiżankę wody). Po gotowaniu zostawić na 4 godz. do naciągnięcia. Stosować ten zabieg raz w roku.

Na żółdąk: gotowana cebula usuwa skutki picia alkoholu.

Na użytek zewnętrzny

Surowa cebula z plastrzem gorczycznym na reumatyzm, gościec, wysypki, odciski, brodawki, piegi, wargi.

Miazga ze świeżej cebuli i sok leczą rany, oparzenia, odmrożenia, wrzody, urazy.

Sok z miodem — pić przy kaszlu, zapaleniu oskrzeli i koklusz, przy zapaleniu opon mózgowych. Jako leczenie uzupełniające — pocierać cebulą skrośnię. Owinąć nogi na 8—10 godz. w 1—2 kg posiekanej cebuli.

Tampony z tartej cebuli w wacie lub gazie wkłada się trzy razy dziennie na 15 min. w nozdrza przy grypie. Można również stosować miazgę z tartej cebuli, jabłka i miodu.

Okład na migreny. Przyłożyć cebulę do czoła. To samo zaleca się przy stwardnieniu tętnic mózgu.

Okład z surowej cebuli na dolną część brzucha na bezmocz lub na wstrzymanie moczu.

Cebula + sól morską + glinka w równych częściach — na brodawki. Inny sposób: do wydrążonej cebuli włożyć grubą sól. Otrzymanym płynem pocierać brodawkę rano i wieczorem.

Na ukąszenia os i komarów pocierać miejsce ukąszenia przez 1—2 minuty kawałkiem cebuli. Nie zapomnieć wyciągnąć żądla.

Kataplazmy z cebuli gotowanej — na ropień, czyrak, hemoroidy. Jedna cebula upieczona w piecyku, ciepła, przyspiesza dojrzewanie ropnia, czyraka, ropowicy.

Skórką cebuli można owinać zastrzał, leczyć odmrożenia, zadrapania lub pęknięcia skóry.

Kompres z soku cebuli — na rany, zacięcia, wrzody, oparzenia.

Cienka błonka między warstwami cebuli stanowi okład aseptyczny (jałowy). Nałożyć na uszkodzoną skórę, przykryć gazą i dokończyć opatrunkiem.

Zmiażdżoną cebulą albo sokiem z dodatkiem octu, pocierać piegi.

Watkę nasiąkniętą sokiem z cebuli umieścić w uchu na szumy. Tamponik z watki z sokiem umieszczony w wydrążeniu zęba — usuwa jego ból.

Macerat — 30 g soku z cebuli i 30 g wódki, lekko ocieplony, 3—4 krople trzy razy dziennie do ucha na głuchotę.

Cebula rozcięta — położona w pobliżu łóżka odstrasza komary. Wydzielające się fitonocydy leczą również katar i łagodzą stany zdenerwowania.

Zupa cebulowa — działa dobrze na niestrawność, wzdęcia, wiatry, na kaca. Na wiosnę zaleca się szczypiorek, dymkę na surowo lub w zupie.

Syrop. Pociąć cebulę na plasterki, ułożyć na talerzu, posypać cukrem. Macerować przez 24 godz. Stosować do 5 łyżeczek dziennie.

Zupy mleczne z posiekaną cebulą zjadać dwa razy dziennie na puchlinę wodną. Poprawa występuje po tygodniu.

Upieczoną w piecyku cebulę umieścić na noc na podszewkach stóp przy dolegliwościach astmatycznych i sercowych.

Sok z cebuli wzmacnia porost włosów. Smarować głowę. Arabowie dodają jeszcze sól i pieprz.

Mieszanina wyciągu z cebuli z gliceryną jest stosowana do leczenia pochwy u kobiet przy zapaleniu wywołanym przez rzęsistka.

UWAGA. Chociaż cebula odznacza się doskonałymi właściwościami leczniczymi to należy pamiętać, że nadmierne jej używanie może okazać się szkodliwe w przypadkach ciężkich chorób nerek, wątroby, żołądka i serca.

Przekrojona cebula nie powinna być przechowywana, bowiem łatwo utlenia się i może stać się szkodliwa, a po dłuższym czasie — toksyczna.

Cebula obierana pod bieżącą wodą lub nad gorącą płytą kuchenną nie wywołuje łzawienia.

Zapach cebuli z oddechu usuwamy gryząc 2—3 ziarenka kawy, natkę pietruszki, jabłko. Wyplukać usta miętowym alkoholem. Aby usunąć zapach cebuli z rąk — należy natrzeć dłonie wodą soloną lub wodą z amoniakiem (2 łyżki na litr wody).

Kreska, kropka i przecinek

CZĘSTO słyszymy, że ten czy ów dobrze posługuje się językiem w mowie i w piśmie. Jakkolwiek to stwierdzenie odnosi się zwykle do znajomości języków obcych, to można je również zastosować do polszczyzny.

Nawet językoznawcy, odróżniając język mówiony od pisanego, przypisują temu pierwszemu znacznie większe przywileje. O wiele łatwiej można wybaczyć błąd mówiącemu niż piszącemu, zresztą język pisany rządzi się innymi prawami niż mówiony. Na tych, którzy posługują się językiem utrwalo-nym w piśmie, spada szczególna odpowiedzialność, pełni on bowiem rolę społeczną nie tylko jako forma językowego porozumienia, ale i jako sposób upowszechnienia kultury językowej. I rzeczywiście, żywot słów wypowiedzianych bywa niedługi, tymczasem pismo może przetrwać setki i tysiące lat oraz spełniać swą rolę wielokrotnie. Działa przy tym silniej, niż nawet często odtwarzany tekst dźwiękowy, który angażuje tylko słuch, podczas gdy pismo — trwalsze na ogół — pamięć wzroko-wą.

Najwięcej kłopotów sprawia piszącym oczywiście ortografia, w polszczyźnie dość skomplikowana. Nie czas i miejsce, by przypominać zasady ortograficzne czy omówić wszystkie, choćby najczęściej występujące błędy, warto natomiast wspomnieć o tej grupie uchybień ortograficznych, które najłatwiej są dostrzegane, gdyż widnieją na drukach urzędowych, reklamach, szyldach, etykietach. Bardzo rażą i drażnią napisy przymiotników złożonych typu: makaron cztero-jajeczny, warsztat samochodowo-motoryzacyjny, stan zimno-wojenny, wskaźnik wysoko-procentowy itd. Przymiotniki te pisze się łącznie, bez kreski, gdyż złożone są z członów nierównorzędnych (warsztat motorów samochodowych, a nie motorów i samochodów; wskaźnik wysokiego procentu, a nie wysokiego i procentu). Z łącznikiem tzw. kreską, pisze się przymiotniki złożone z członów równorzędnych

znaczeniowo, np. flaga biało-czerwona, zakład szkoleniowo-wypoczynkowy, wiatr południowo-wschodni (flaga z kolorem białym i czerwonym; zakład szkoleniowy i wypoczynkowy; wiatr wiejący z południa i ze wschodu).

Sporo zamieszania wnoszą błędy w pisowni skrótów i skrótowców. Kropkę po skrócie stawia się tylko w przypadku odrzucenia końca wyrazu np. inż. ks. tow., w. (wiek). Zgodnie z tą zasadą nie stawia się kropki, jeśli koniec skrótu jest równocześnie końcem wyrazu, np. mgr, dr, nr, mjr, wg (według).

Skrótowce (połączenie kilku skrótów) pisze się dużą literą i nie rozdziela się kropkami, np. PRL, PKP, PKO, PAN itd.

Bardzo wiele kłopotów i to nie tylko uczniom sprawia przecinek, ten ważny znak interpunkcyjny. Niektórzy lekceważą przecinek i sądzą, że stanowi on w mowie pisaną nieistotny dodatek, który nie ma wpływu na znaczenie wypowiedzi. Czy tak, za chwilę się o tym przekonamy.

Młodzież szkolna wpada często w rozpacz z rozważenia, że wypracowanie, dobre pod innymi względami, zostało ocenione na dwójkę z powodu nadmiaru lub niedoboru przecinków. I znów nie miejsce na pełny wykład o poprawnym stosowaniu przecinka, są bowiem odpowiednie do tych celów podręczniki, idzie w tej chwili o to, by właściwie wykazać, jak przecinek potrafi zmienić znaczenie, a nawet wprowadzić w błąd odbiorcę. Oto przykłady zmiany znaczenia wypowiedzi spowodowane przecinkiem.

Palmy zamki na Bosforze.

Palmy, zamki na Bosforze.

W pierwszej wersji idzie o palenie zamków, w drugiej — o stwierdzenie, że na Bosporze rosną palmy i stoją zamki.

Jeśli napiszemy: *spotkałem kolegę Tadeusza* (bez przecinka), to rozumiemy, że doszło do spotkania z kolegą Tadeusza. Jakże zmienia się znaczenie tej wypowiedzi, gdy zastosujemy przecinek i napiszemy: *spotkałem kolegę, Tadeusza*. Tu już nie ma wątpliwości, że spotkano Tadeusza, nie jego kolegę.

Jeśli więc mówimy o kulturze języka, musimy pamiętać nie tylko o właściwie dobranym słowie, poprawnej formie gramatycznej, lecz także o niepopornych, zwykle lekceważonych, a tak ważnych znakach graficznych, jakimi są choćby: kreska, kropka i przecinek.

□

STANISŁAW MEDYŃSKI

pocztą literacką

ADAM K. (Kazimierz Wietka). Sądzę, że bardzo dobrze rozumiem, co Pan chciał swoimi wierszami wyrazić. Ten rodzaj doznań, jakie stara się Pan w swoich tekstach utrwalic — stanowi piękny temat dla poezji. Ale jej — poezji — nie robi tylko temat. A u Pana jest sam temat.

PIOTR R. (Miechów). Umówmy się tak: za pół roku przysyłasz kilka swoich nowych wierszy. Ta propozycja oznacza zachętę do

dalszych prób, a także zamiar sprawdzenia Twoich postępów, których Ci szczerze życzę.

STANISŁAW W. (Opoczno). Ktoś powiedział bardzo mądrze, że dla dzieci trzeba pisać tak, jak dla dorosłych, tylko lepiej. A Pana wiersze przeznaczone dla dzieci nawet dla dorosłych nie są odpowiednie.

ZBIGNIEW D. (Starachowice). Drogi Przyjacielu, wysłuchaj dzielnie: nie o to chodzi w poezji. To wszystko, co mogę powiedzieć o nadesłanych tekstach.

RYSZARD D. (Busko). Czytam w liście: „Chcę wypróbować swój talent napisaniem o opowiadaniu.” No, no, pogratulować dobrego samopoczucia... Co się na-

tomiasz tyczy próby — to najwyższy talent pozostał, bo opowiadania nie ma.

EDWARD Z. (Starachowice). Jeden z dwóch listów nadesłanych nam w odstępie kilku dni kończył pan tymi słowami: „Proszę odpowiedzieć mi, czy się wam coś szalenie podoba, nie podoba. abym wiedział czy pisanina ma jeśli nie biega, jest coś niecoś warta”. Odpisujemy: no więc nie zachwycił nas Pan swoimi satyrkami ani politycznymi, ani obyczajowymi; przy ich lekturze ani śmieszno nam było, ani straszno. I tyle w kwestiach twórczych. Ach, jeszcze jedno. Pisze Pan: nie oczekuję nagrody „Przemian”. Stanie się wedle Pańskiej woli. Nie ubawili nas także Pańskie rozważania na temat musztardy. Naprawdę nie ubawili.

KOMISJA SPECJALNEGO POSTĘPOWANIA PORZĄDKOWEGO została powołana w Kielcach przez wojewodę z zadaniem rozpatrywania spraw w stosunku do osób zajmujących kierownicze stanowiska, które dopuścili się rażącego naruszenia porządku prawnego lub obowiązków służbowych powodując poważne szkody społeczne. Komisja została powołana na czas zawieszenia stanu wojennego.

BADANIA STRUKTURY ZATRUDNIENIA przeprowadzone w pierwszym kwartale br. w 21 zakładach przemysłowych województwa radomskiego, przyniosły równie ciekawe co niepokojące wyniki. Okazało się bowiem, że na siedmiu robotników przypada dwóch pracowników umysłowych. Kwalifikacje administracji gospodarczej nie są — ogólnie mówiąc — wysokie: 16 proc. pracowników tej grupy nie ma wykształcenia średniego, 5,6 proc. nawet zawodowego, a dyplom szkoły wyższej posiada tylko 15 proc. osób.

KRYZYS RODZINY znajduje dodatnie potwierdzenie w statystykach sądowych. Na ok. 10 tys. spraw rozpatrywanych przez sądy województwa radomskiego — aż 6 tys. dotyczy problemów związanych z rodziną, a wśród spraw karnych lokują się one na drugim miejscu, po przestępstwach przeciwko mieniu. Wzrasta ilość spraw rozwodowych (w 1982 r. — 1176) oraz orzeczeń sądowych w kwestiach opiekuńczych. Pod sądową kuratelą pozostaje 2290 nieletnich.

BIBLIOTEKOM KIELECKIM „u-
dź” się wydać na zakupy książek z kwoty dwóch milionów zł, przeznaczonych na nabycie w dwóch pierwszych miesiącach tego roku — tylko piątą część tej sumy. Produkcja książek jest ciągle daleka od potrzeb, ale w tym przypadku istota rzeczy zasadza się na czym innym. Powstała paradoksalna sytuacja. Oto bowiem biblioteki mogą kupić tylko pozycje wcześniej zamówione na podstawie katalogów, które pojawiają się znacznie później, aniżeli książki na rynku. W księgarniach nie odkłada się książek bibliotekom w obawie przed kontrolerami wypełniającymi postanowienia ministra handlu wewnętrznego. A minister kultury zarządził, aby biblioteki nie były pozbawione możliwości nabywania atrakcyjnych tytułów. Nie pierwszy to raz okazuje się, że handel i kultura nie idą w parze...

RADOMSKA WSI wizytował minister nauki, szkolnictwa wyższego i techniki zobowiązując władze uczelni do przygotowania dwueta-

powego (na lata 1983—85 i 1986—90) programu jej rozwoju, co ostatecznie rozwiewa wątpliwości i pytania dotyczące perspektyw tej uczelni i jej dalszego istnienia. Pozostaje tylko ukierunkowanie szkoły pod kątem potrzeb regionu i wypracowanie przez nią miejsca w strukturze wyższych uczelni technicznych w kraju.

HARCERZE z kieleckiej chorągwi noszącej imię Stefana Żeromskiego, w związku z przypadającą w przyszłym roku 120 rocznicą urodzin swojego patrona — wystąpił m.in. z inicjatywą zagospodarowania tzw. Żeromszczyzny, odtworzenia istniejących tu niegdyś terenów zielonych i zrekonstruowania XIX-wiecznego budynku z przeznaczeniem na wystawę pamiątek po pisarzu. Nadto zostanie zorganizowany ogólnopolski rajd szlakiem miejscowości związanych z Żeromskim, nastąpi intensyfikacja akcji „Ciekoty-74”, zostanie zorganizowany letni wypocznik w mieście dla dzieci wiejskich, harcerze będą poznawać historię i tradycje regionu.

Z OKAZJI MIĘDZYNARODOWEGO DNIA TEATRU z zespołem radomskiej sceny spotkali się gospodarze województwa z I sekretarzem i wojewodą, którzy wyrazili wysoką ocenę dorobku zespołu. Podobne spotkanie odbyło się w Kielcach przy okazji premiery „Kartoteki”.

MUZEUM EMIGRACJI POLSKIEJ miało powstać w Warszawie jeszcze przed dziesięciu laty przy Muzeum im. Kazimierza Pułaskiego, będącym jedyną w kraju placówką specjalizującą się w ekspozycji tematyki emigracyjnej. Celem tej placówki byłoby umacnianie kontaktów z Polską, stymulowanie badań naukowych, nawiązywanie współpracy z polonijnymi ośrodkami i instytucjami. Warunek powstania muzeum: poszerzenie bazy. Inicjatywa powraca, a więc może doczekamy się jej urzeczywistnienia przed upływem następnego dziesięciolecia.

ŚWIĘTOKRZYSKIE MUZEUM TURYSTYKI I KRAJOZNAWSTWA otwarto w Kielcach przy okazji obchodów 75-lecia zorganizowanego ruchu turystycznego w regionie. Jego początki wiążą się z powstaniem w 1908 r. Oddziału Kieleckiego Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, którego kontynuatorem jest PTTK. Inicjatorem muzeum, które mieści się w skromnych pomieszczeniach ZW PTTK w Kielcach przy ul. Sienkiewicza, jest wielce zasłużony działacz, nestor krajoznawstwa i turystyki, p. Bohdan Białdowski.

„NARÓDOWY KRAJOBRAZ WSI POLSKIEJ” — została konferencja z tego cyklu na temat ochrony środowiska naturalnego i krajo-

brazu regionu świętokrzyskiego, zorganizował Wojewódzki Oddział Stowarzyszenia PAX w Kielcach.

GRZYWNE w wys. 3 tys. zł wymierzyło ostrowieckie kolegium kierownikowi działu techniczno-eksploatacyjnego w hucie administrującego zakładowymi osiedłami, za to, że podległe mu ekipy opieszałe usuwały awarię wodociągów, która na trzy dni pozbawiła wody kilkanaście tysięcy mieszkańców.

W DOROCZNYM KONKURSIE na ludową plastykę obrzędową przebiegającym pod auspicjami Muzeum Wsi Radomskiej — I nagrodę zdobyła Barbara Jarząbek z Nieznamierowic, dwie drugie — Aniela Mogdziak z Lesiowa i Helena Bojanek z Augustowa.

FOTOGRAFICY skupieni w Świętokrzyskim Okręgu ZPAF otrzymali doroczne nagrody: I — Paweł Pierściński, II — Andrzej Pęczalski, III — Andrzej Borys, wyróżnienia: Janusz Buczkowski i Jan Spatwan. Wystawa nagrodzonych i wyróżnionych prac odbędzie się podczas Świętokrzyskich Dni Kultury.

Wystawę „Przez cztery kraje Europy” eksponował w Galerii Fotografiki Janusz Buczkowski, a Piotr Rosiński przygotował zestaw kilkunastu fotografii obrazujących zabytkowe organy na Kielecczyźnie.

JAN KOCHANOWSKI I JEGO EPOKA — to temat drugiego już ogólnopolskiego konkursu plastycznego (medal, relief, rzeźba kameralna, grafika, rysunek i tkanina) ogłoszonego przez BWA w Radomiu z okazji przypadającej w roku przyszłym czterechsetnej rocznicy śmierci poety.

III OGÓLNOPOLSKIE TRIENNALE „Prezentacje portretu współczesnego” odbędzie się — mowa o wystawie — w kwietniu przyszłego roku w Radomiu, zaś organizatorzy już przygotowali jego szczegółowy regulamin i przyjmują prace. Bliższych informacji w sprawie obydwu konkursów można zasięgnąć pod adresem: BWA, 26-600 Radom, Rynek 4/5, tel. 225-50.

ZMARŁ RED. PIOTR GAN, wielki znawca i miłośnik folkloru od 28 lat związany z kieleckim radiem, dla którego przygotował dziesiątki audycji. Red. Gan był nieustraszoną zbieraczem przejawów ludowej twórczości muzycznej, utrwalił na taśmie ponad trzy tysiące utworów. Był dwukrotnym laureatem nagrody im. Oskara Kolberga. Pośmiertnie został odznaczony Krzyżem Kawalerskim OOP.

Oby do „Wiosny“!

NA początku był niepokój. Cuiusmodi, uzasadniony. Bo i skąd organizatorzy pierwszej Radomskiej Wiosny — zwanej dziś Literacką, a wtedy Poetycką — mogli wiedzieć, czy kilkunastu eksplozja poezji współczesnej to jest akurat to, co radomianie polubią? Gwarancje były żadne, przesłanki też dość mgliste, sądząc po dotychczasowym zainteresowaniu rozmaitymi wieczorami poetyckimi, spotkaniami autorskimi i nowymi tomikami wierszy na półkach księgarskich.

Oferta nie stanowiła więc „odpowiedzi na konkretne potrzeby środowiska“, raczej te potrzeby wyprzedzała, a tym samym i ujawniała.

Od tamtej pory minęło dziesięć lat. Kolejne „Wiosny“ pojawiały się razem z kalendarzowymi, a ziarno padało na grunt coraz bardziej podatny — może dzięki umiejętnie stosowanej zasadzie płodozmianu? Organizatorzy (głównie Wojewódzka Biblioteka Publiczna) wiedzieli dobrze, iż każdy pomysł, nawet najlepszy, powielony wielokrotnie zaczyna nużyć. Tak więc nowymi propozycjami chronili od wyjąłowienia imprezę, która wpisana została w krajobraz kultury radomskiej na czas dość długi.

I zdobyła popularność również poza granicami ziemi radomskiej.

W tegorocznej, jubileuszowej Radomskiej Wiosnie Literackiej wzięło udział 17 literatów z całego kraju. Kilku z nich towarzyszy imprezie od lat, niektórzy pojawili się po raz pierwszy. Wszyscy uczestniczyli w spotkaniach autorskich organizowanych w bibliotekach, placówkach kulturalno-oświatowych, szkołach w Radomiu i województwie. Do ciekawszych spotkań należał niewątpliwie wieczór frašek pt. „Sztandynger aktualny“ z udziałem Anny Sztandynger-Kalisiewicz, która zaprezentowała także pamiątki rodzinne, archiwalia. Szkoda jedynie, że w tym czasie nie ukazała się na półkach radomskich księgarń książka pani Anny o ojcu.

Wiadomo, że z książkami jest kruch, ale niedostatek bywa czasem jeszcze wyolbrzymiany. Nie wiem, czy wystawa pt. „Oficyny wydawnicze prezentują“ wzbudziła więcej zainteresowania czy żalu, skoro edytorzy: „Czytelnik“, „Iskry“, PIW i LSW pokazali swoje nowości wydawnicze na zasadzie cukierka za szybką. Można było zobaczyć i — nacieszyć oczy, nie więcej. „Iskry“ i „Czytelnik“ zawiozły wszystkie swoje „ekspo-

naty“ z powrotem, trochę książek zostawiły PIW i LSW.

Tradycyjnie już finałową imprezę „Wiosny“ stanowi Noc Jednego Wiersza, z kulminacyjnym momentem: ogłoszeniem wyników konkursu poetyckiego. Jak skrupulatnie obliczyła wicedyrektor WBP mgr Danuta Tomczyk, tym razem autorzy z 98 miejscowości w kraju nadesłali w sumie 879 wierszy (293 zestawy — podczas, gdy w roku 1981 nadesłano 88 zestawów). Jury pod przewodnictwem Aleksandra Rymkiewicza przyznało dwie równorzędne drugie nagrody: Jerzemu Stachurskiemu z Gdańska za wiersz „Macierzyństwo“ oraz Tadeuszowi Chętkowskiemu z Płocka za wiersz „Grzech“, a trzecią nagrodę — Czesławowi Mirosławowi Szczepaniakowi z Warszawy za wiersz „Ballada o naszym stole“. Wśród sześciu wyróżnionych znalazły się radomianki: Teodora Górka i Anna Kalbarczyk.

Na program jubileuszowej Radomskiej Wiosny Literackiej złożony się także wieczór poetycko-muzyczny, recitale poezji śpiewanej, spotkanie z literatami okręgu Magdeburga, ciekawie przygotowane seminarium o współczesnej poezji polskiej z udziałem pracowników naukowych Uniwersytetu Warszawskiego.

Już dziś niektórzy mówią: Oby do „Wiosny“, następnej.

JUT

KWESTIA WRAZLIWOSCI

KURATORIUM Oświaty i Wychowania wspólnie z Wydziałem Kultury UW w Kielcach zorganizowało spotkanie nauczycieli, twórców i działaczy kultury na temat edukacji kulturalnej dzieci i młodzieży, aby w tej niesłychanie ważnej i pilnej sprawie — co najistotniej i bez popadania w przesadę podkreślało zaproszenie — wymienić doświadczenia i w toku dyskusji określić modus współdziałania oświaty i kultury oraz najbardziej skuteczne formy wzbudzania i rozwijania uczniowskiej wrażliwości. Wysłuchaliśmy najpierw, dość pobieżnej zresztą (i może dlatego o pozytywnym wydzwieku) oceny realizacji planów i postanowień powziętych na podobnym spotkaniu przed trzema laty, a następnie głosów wypowiadających trafne opinie i słuszne wnioski. Ale dziennikarza zaw sze najbardziej pociągają przejawy tak zwanego życia, bo ono ostatecznie weryfikuje hasła, plany i zamiary.

O niczym innym, jak właśnie o życiu mówił dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, który poświęcił swoją wypowiedź współpracy bibliotecznych placówek szkolnych i publicznych, przedstawiając przykład jeżacy włos na głowie, bo gdy słyszy się, że jeden z dyrektorów szkoły zabronił korzystać uczniom z biblioteki publicznej — to człowiekowi robi się strasznie. A tu wokół tyle słów pięknych. I niechby ten przykład był odoobniony — dość go, by spowodować pytanie, komu najbardziej potrzebna edukacja w dziedzinie wrażliwości.

Ale życie nie składa się tylko z ciemnych stron. Wiemy, że kielecka filharmonia rozwija z powodzeniem program umuzykalniający, cieszy, że przy teatrze Żeromskiego utworzono Międzyszkolny Klub Miłośników Teatru. Te inicjatywy należy docenić, acz nie załatwiają one tego, co załatwić powinna szkolna codzienność. A tu ciągle te same trudności: brak odpowiednio przygotowanych nauczycieli, brak środków, ciasnota; zapewne, zapewne... I takie w tych trudnościach usprawiedliwienie dla opuszczonych rąk, ile racji w przeświadczeniu, że akademie i masowe imprezy wystarczą.

No cóż, kwestia wrażliwości.

Książki nadesłane

JOZSEF BALAZS: „Spotkanie Balinta Fabiana z Panem Bogiem”. Przeł. Krystyna Pisarska. Warszawa 1983. PIW, cena 80 zł. Powieść węgierskiego pisarza ukazuje tragiczne losy człowieka, który po powrocie z wojny do domu, staje przed tajemnicą obłędu żony i w obliczu gwałtownych przemian społecznych.

ICCHAK KECENELSON: „Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie”. Przeł. Jerzy Ficowski. Warszawa 1982. Czytelnik, cena 50 zł. Wstrząsający poemat piszącego po hebrajsku i żydowsku poety i dramaturga z Łodzi, jest dziełem zęgnającym zamordowany naród, dziełem napisanym przez jednego z zamordowanych.

MIŁOSLAV MOULIS: „Akcja „Marzwirbel””. Przeł. Piotr Godlewski. Warszawa 1983. Czytelnik, cena 110 zł. Autor podjął próbę rekonstrukcji wydarzeń poprzedzających najazd hitlerowskich Niemiec na Republikę Czechośłowacką w dniu 15 marca 1939 roku.

ZBIGNIEW ZIEMBIKIEWICZ „SMOK”: „W partyzantce u „Rysia” Wspomnienia żołnierza I Batalionu Oddziałów Hrubieszowskich BCh. (Wydanie II). Warszawa 1982. LSW, cena 120 zł. Autor, podoficer łącznikowy tego największego na Lubelszczyźnie oddziału dowodzonego przez por. Stanisława Basaja opowiada o walce i własne związane z partyzantką przeżycia, m.in. udział w bitwie pod Osuchami i w Puszczy Solińskiej.

JANINA AWGULOWA, WACŁAWA SWIETEK: „Małe formy sceniczne w pracy przedszkola”. Warszawa 1982. WSiP (Biblioteka Pedagogiczna Nauczyciela Przedszkola), cena 50 zł. Autorki podają przykłady inscenizacji małych form scenicznych i omawiają sposoby ich wykonania. Ilustracje, nuty.

ZYGMUNT PFUKER: Statystyka (Wydanie IX zmienione). Warszawa 1982. WSiP, cena 35 zł. Podręcznik dla uczniów klasy III liceów ekonomicznych wszystkich specjalności.

ANNA SOSIŃSKA: „Iskry i płomienie”. Warszawa 1983. LSW, cena 100 zł. Zbiór opowiadań o uczonych, wybitnych i innych pionierach nauki i techniki. Ilustracje.

BARBARA WARD: „Dom człowieka”. Przeł. Tomasz Zalewski, Katarzyna Murawska. Przedmowa opatrzył Julian Goryński. Warszawa 1983. PIW (Biblioteka Myśli Współczesnej), cena 80 zł. Barbara Ward (właściwie Barbara Mary Jackson) napisała tę książkę na zlecenie ONZ, jako nieoficjalny raport w związku z poświęconą problemom osiedli ludzkich konferencją „Habitat” w Vancouver w 1976 r. Jest to książka o wielkich zadaniach ludzkości, którymi są ochrona środowiska życiowego, nakarmienie, głodujących, zapewnienie wszystkim schronienia, większa troska o podstawowe zasoby, od których zależy nasze życie.

przemiany

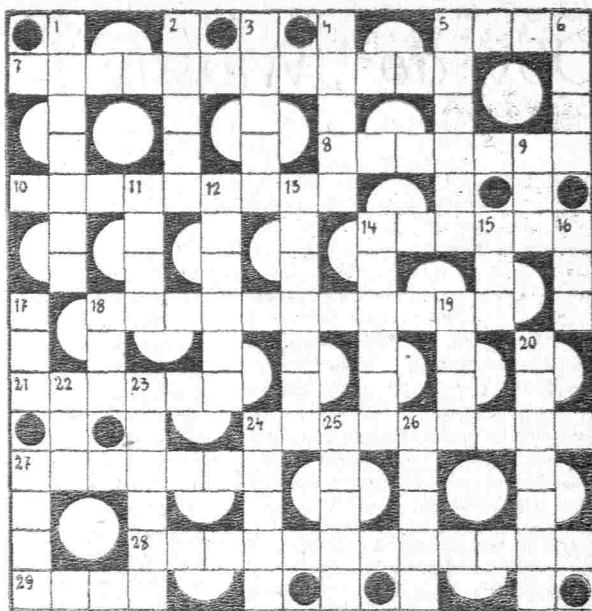
MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY
ul. Śniadeckich 2
25-366 Kielce

ZESPÓŁ: Jerzy Daniel (redaktor naczelny — tel. 489-91), Longin Kaczanowski (sekretarz redakcji — tel. 489-79), Jadwiga Karolczak, Urszula Kendra (redaktor techniczny), Zbigniew Nosal, Stanisław Rams, Julita Twardowska.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo ich skracania.

Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Kieleckie. Wydawnictwo Prasowe w Kielcach. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Kielcach. Informacji o warunkach prenumeraty udziela oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i urzędy pocztowe. Prenumerata kwartalna — 60 zł, roczna — 240 zł. Prenumerata ze zniżką wysyła się za granicę. Przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 25, 00-950 Warszawa. Konto: NRP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Nr indeksu 37240/13743. O-5

ISSN 0478-9718



KRZYŻÓWKA 149

POZIOMO: 5) krzewów las nie u nas, 7) Polonia Maior, 8) nad Odrą i w samym centrum Kotliny Śląskiej, 10) zamiennik stryjkowego rymu-narzędzia, 14) tradycyjna stolica bon-tonu, 18) napisał *Bieg do Fragała*, 21) w zeszycie, 24) królestwo szatniarza, 27) znamy go choćby poprzez *Samotny biały żagiel* i *Kwadraturę koła*, 28) poeta wybitnie odpustowy, 29) z orlem jak tak wiele łączy jak wiele dzieli.

PIONOWO: 1) właśnie rozpoczął się piąty, 2) kuzynka żyrafy odkryta dopiero w naszym stuleciu, 3) w starym, zamczysku strasy, 4) koszulka ziarna, 5) Konopnickiej pan w Brazylii, 6) pod kranem, 9) jej nie wypada, jak chciał śpiewany szlagier, 11) pobrania dowód pisany, 12) uszanowanie nieco już przestarzałe, 13) spadaniem szumiący strumień, 14) prasowy, radiowy i telewizyjny, 15) sportowcom na śniegu, 16) nasz współczesny Verne, 17) po wystrale, 18) podziurawiony przysmak, 19) w całej Afryce skupisko ludzi największe, 20) rzadko reaguje na zawołanie „człowieku”, 22) starorzymski ofiarz ofiarny, 23) kłody pod nogi i można popłynąć, 24) mowa regionalna, 25) krata pod ogniskiem, 26) dopiero co wybrany na urząd, 27) krakowski Wars.

Wśród czytelników, którzy nadesłali rozwiązanie (do 15 maja br.), losujemy bon PKO na 500 zł. Pod adresem redakcji („Przemiany”, ul. Śniadeckich 2 25-366 Kielce) prosimy dopisać „Krzyżówka 149”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI 148

Poziomo: PKZ, korona, adorator, warszawianin, ajer, Nowakowski, spazm, smola, Wyspiański, płot, obskurantyzm, Czukoeki, jeniec, ara.

Pionowo: tonacja, bokser, paramnezja, zasiewy, Horn, karnawał, powłoka, kompilacja, paprotka, synteza, Asturia, bodziec, patyna, siecz.

NAGRODĘ (500 złotowy bon PKO) wylosowaliśmy dla Tomasza Frydrycha, ul. Galenowa 27, 25-705 Kielce.

fotografika



EDWARD HARTWIG — „Wierzby”

JERZY
SZEPETOWSKI
— „Rzeźby w
plenerze”.

W protokole jury VIII Biennale Krajobrazu Polskiego zostało zapisane: „Wzorem lat ubiegłych postanowiliśmy zorganizować wystawę jurorów, traktując ją jako prywatną i osobistą wypowiedź autorską członków zespołu orzekającego.” Wystawa będzie czynna w maju w Galerii Fotografiki ZPAF w Kielcach, a udział w niej biorą: Edward Hartwig z cyklem „Wierzby”, Mirosław Wiśniewski z cyklami „Polskie budownictwo ludowe” oraz „Krajobraz polski” (fotografia barwna), Jerzy Szepetowski — cykl „Rzeźby w plenerze” i Paweł Pierściński — cykl „Przedwiośnie — skraj łąki w Ciekotach”.



MIROSŁAW WIŚNIEWSKI — „Polski pejzaż”





JAN SZOLA — „Stare Kielce”

Repr. PAWEŁ PIERSCIŃSKI

STARE KIELCE

JAN SZOLA ze swą malarską twórczością jest zjawiskiem nieco kuriozalnym w kieleckim środowisku plastycznym. Kto bowiem dziś używa XIX-wiecznych (jeśli nie starszych) środków malarskich, kto z benedyktyńską dokładnością dba o detal i techniczne walory obrazu od gruntu do podrobizy poczynając a na oprawie kończąc!

Obrazy Szoly łączą w sobie wierność odtwarzanej rzeczywistości z dekoratywnością kompozycji. Rzemieślnicza doskonałość *petite maitre'ów* zdumiewa tu w czasach postkonceptualnych nowej sztuki. Mniej zdumiewa społeczne powodzenie tych obrazów noszących znamiona „starej” solidności i zrozumiałych w ich przedmiotowej warstwie dla przeciętnego widza. Sprzyja temu również tęsknota za tym co było; za światem zabytkowych staroci, innym rytmem życia, swoistą atmosferą „dawnych czasów”.

Dokumentacja czy też wskrzeszanie przeszłości we współczesnym malarstwie należy do rzadkości — tym cenniejsze są te prace J. Szoly, które łączą realność przedmiotów i sytuacji współczesnych z czasem wyobrażonym. Malownicze formy dachów i smukłe wieżyczki ginące w mglistej przestrzeni to nie sentymentalne smaczki; to ostatni fragment starych Kielc malowany z dachu nowego już bloku.

Fotograficzny kadr obrazu został tu wzbogacony wyobrażonym sztafażem, który wraz z „malarskością” wykonania łagodzi ostre graficzne z natury formy architektoniczne. Diagonalne rozświetlenie obrazu dynamizuje kompozycję, nadaje jej charakter „żywego obrazu” i podkreśla piękny krój łamanego dachu zabytkowej kamienicy.

Łączenie rzeczywistości realnej z wyobrażoną, od-twarzania z kreacyjnością wyodrębnia ten malarski obraz miasta od fotograficznego dokumentu. Tym cenniejszy to wizerunek, że niemożliwy do zobaczenia nawet przez bardzo dociekliwego turystę.



MARIAN RUMIN